



MONOMU

TOM I
A
S
A
I

Spis treści

Rozdział 1.....	3
Rozdział 2.....	14
Rozdział 3.....	25
Rozdział 4.....	37
Rozdział 5.....	49
Rozdział 6.....	61
Rozdział 7.....	69
Rozdział 8.....	78
Rozdział 9.....	87
Rozdział 10.....	96
Rozdział 11.....	106
Rozdział 12.....	116
Rozdział 13.....	128
Rozdział 14.....	138
Rozdział 15.....	148
Rozdział 16.....	158
Rozdział 17.....	172
Rozdział 18.....	183
Rozdział 19.....	190
Rozdział 20.....	199

Rozdział 1

Do domu ze szpitala wypuszczono go trzy tygodnie po pogrzebie, w którym oczywiście nie uczestniczył. W drodze powrotnej samochód prowadziła matka. Do tej pory nawet nie wiedział, że miała prawo jazdy. Dotąd wszędzie jeździła na rowerze, a ich drugie auto, najzwyczajniejszy w świecie, dziesięcioletni Passat, było do użytku dziadków. Oprócz Volkswagena w ich garażu stał także pick-up ojca. Właśnie przez to wielkie bydło, jak nazywała Toyotę Tundrę matka, nie mogli urządzić tam sobie pralni. Teraz nic nie stało na przeszkodzie, ponieważ nie było już ani samochodu, ani jego upartego właściciela, który nie chciał nawet słyszeć o rozbudowie garażu.

Toyota skończyła na złomowisku, a ojciec... Ojciec był teraz trzy metry pod ziemią. Ryan zacisnął usta i przełknął ślinę. Odwrócił głowę w stronę drzwi, aby matka nie widziała, jak do oczu napływają mu łzy. Nie potrzebowała więcej problemów. A nawet nie lubił tego człowieka, przemknęło mu przez myśl. Źle, on go nawet nie znał.

Ojciec większość życia przepracował jako górnik w odkrywkowej kopalni złota. Ryan nie był nawet pewien, czy mężczyzna skończył jakąś szkołę. Był prostym jak cep, twardym gościem, który niedziele spędzał na bluzganiu do telewizora, na ekranie którego biegali futboliści, picciu piwa i obżeraniu się tłustym żarciem. Ryan zawsze uważał, że nic ich nie łączyło i to nie była jego wina. Teraz, gdy było już za późno, łapał się na myśleniu, że on też nic nie zrobił, aby to zmienić.

Z zamyślenia ocknął się, gdy stanęli przed bramą do ich posesji i matka wystawiła rękę przez otwarte okno, aby otworzyć ją pilotem. Należeli do niewielu rodzin, których posesje były ogrodzone. Nie był to jednak ich wymysł, a poprzedniego właściciela, od którego kupili dom. Zaparkowali na betonowym podjeździe obok rosnącego klonu. Ryan wychylił się do tyłu, aby zabrać z tylnego siedzenia torbę ze swoimi rzeczami, ale wtedy jego pokiereszowany bark dał o sobie znać. Nie udało mu się powstrzymać bolesnego jęku, który wyrwał mu się z ust.

– Ja to zrobię – powiedziała jego matka i sama sięgnęła po bagaż. – Babcia ugotowała dla ciebie coś specjalnego.

– Nie jestem głodny – odparł Ryan po zatrzaśnięciu drzwi od samochodu. –
Wiesz... nie musisz się silić, aby... Sama wiesz.

Jego matka włączyła jeszcze alarm od samochodu i uśmiechnęła się do syna. Była ładną, szczupłą i zadbaną blondynką. Po niej syn odziedziczył szaro-niebieskie oczy o chłodnym, przejrzystym odcieniu.

– Pozwól mi być matką, a sobie pozwól być dzieckiem – odparła.

Kiwnął tylko głową. Nie wiedział, jak rozmawiać teraz z mamą. Coś banalnego, jak „Hej, ładna dziś pogoda” wydawało się nie na miejscu. Na wspomnienie ojca było zaś za wcześnie. Tak samo będzie z dziadkami, a oni przecież stracili już drugiego syna.

Gdy pchnął jak zwykle niezakluczone drzwi, ich górny kant uderzył o zawieszony pod sufitem dzwonek. Puste, metalowe rurki uderzyły o siebie, oznajmiając domownikom, że ktoś wszedł do domu. To też wydawało się Ryanowi w jakiś sposób niewłaściwie. Ten dźwięk był zbyt radosny.

Tak, jak i niski, męski śmiech, który doszedł do jego uszu z wnętrza domu. Ryan spojrzał w stronę kuchni zaskoczony. Z holu nie mógł niczego dojrzeć. Gdy odkładał buty na drewnianą buciarkę, w oczy rzuciły mu się brudne, zniszczone adidas. Nie należały do niego, ani do ojca.

– Ach, zapomniałam ci powiedzieć. – Matka wyminęła Ryana w korytarzu. –
Przyjechał twój wujek, Johnny.

Zaskoczony Ryan zmarszczył brwi. Słyszał to imię wielokrotnie z ust dziadków. Widział też je napisane na pocztówkach, które rzadko do nich przychodziły z najróżniejszych zakątków świata. Raz na rok albo nawet rzadziej. Zawsze była też tylko krótka, lakoniczna notka w stylu „Wciąż żyję”. Dziadkowie nazywali drugiego syna *wędrowcem*, ojciec w ogóle nie wspominał o swoim młodszym bracie. Chyba nie byli zbyt blisko. Zresztą, nawet pocztówki były zaadresowane tylko do dziadków.

W kuchni, przy stole, nad talerzami z zupą pomidorową siedzieli babcia z dziadkiem oraz wysoki facet koło trzydziestki. Był podobny do ojca, a jednocześnie zupełnie inny. Szczupły, bez śladu piwnego brzucha, a jego skóra była spalona przez słońce południowych krajów. Długie do ramion, falowane włosy, które dawno nie widziały fryzjera, komponowały się z niewyprasowaną hawajską koszulą. Tak, Johnny

zupełnie nie przypominał swojego starszego brata, a jednocześnie był do niego ładząco podobny. Mieli takie same lekko orle nosy, mocno zarysowane szczęki i szerokie usta. Nawet ich brwi układały się w taką samą, ostrą linię.

Wyglądało na to, że Johnny jednocześnie jadł pomidorową zupę, którą babcia ugotowała dla wnuka, bo to była jego ulubiona, oraz palił papierosa. A dziadek przecież nienawidził dymu papierosowego. Ojciec zawsze musiał wychodzić z domu na ganek, żeby zapalić. Nawet w zimie. Teraz dziadkom wydawało się to zupełnie nie przeszkadzać. Oboje patrzyli na swojego marnotrawnego syna jak na jakąś świętość. Nawet dziadek lekko się uśmiechał, mimo że na co dzień był zrzędlwym gburem.

„Hej, jeszcze nie minął miesiąc odkąd zmarł wasz pierwszy syn. Ten, który cały czas przy was był” – pomyślał z goryczą Ryan, nic jednak nie powiedział. Już nienawidził tego faceta. Jego farbowanych na blond włosów, niechlujnego zarostu, tatuażu węża oplatającego jego lewe przedramię i tego pobłażającego uśmiechu.

– Och, więc to gówniak Teda – rzucił mężczyzna, nawet nie kwapiąc się, aby się przedstawić. – Ciesz się, dzieciaku, że więcej odziedziczyłeś po mamie.

– Johnny! – ofuknęła go babcia Ryana i klepnęła dłonią w tył głowy.

– No, co? – mruknął mężczyzna, pocierając obolałe miejsce. – Przecież mówię prawdę. Słodki dzieciak. Udał ci się, Jennifer.

– Cały ty – parsknęła kobieta, która stanęła za swoim synem w progu kuchni. Ucałowała go z zaskoczenia w policzek. – Ale to mój skarb. Och, patrz Ryan, wujek chyba zjadł ci całą zupę.

Podeszła do mężczyzny i poklepała go po ramieniu, jakby mówiła „Dobrze, że jesteś”. Ryan nadal stał w progu, przyglądając się całej scenie z rosnącą złością i zaciśniętymi ustami.

– Może chcesz zapiekanki? Ze szczypiorkiem, hmm? – spytała syna Jennifer.

– Ja chcę! – Johnny uniósł rękę do góry, jakby zgłaszał się do odpowiedzi. – Ta zupa to chyba na wodzie była.

Ryan zacisnął dłonie schowane w kieszeniach, wbijając paznokcie w skórę.

– Niczego od was nie chcę! – syknął i wyszedł z kuchni, nie czekając na niczyją odpowiedź.

Szybko wbiegł na pierwsze piętro i pokonał korytarz, na końcu którego było wejście na poddasze. Aby schody się wysunęły, trzeba było pociągnąć za sznurek. Wspiął się na górę i zamknął się w swojej jaskini. Rzucił się na łóżko, nie bacząc na swój stłuczony bark. Po chwili przypomniał sobie, że nie zabrał swojej torby z rzeczami, ale nie zamierzał po nią wracać. Nie po przedstawieniu, które przed momentem odstawił.

– Johnny – syknął, zakrywając oczy przedramieniem. – Pieprzony Johnny.

Ostatnie, co pamiętał, to jak wsiadał do auta, gdy ojciec odbierał go z imprezy. Pomyślał, że to miłe i niecodzienne jak na niego. Zaraz jednak w głowie Ryana pojawiła się myśl, że to pewnie mama go zmusiła. Później ocknął się w szpitalu. W ogóle nie pamiętał momentu wypadku. Od obsługi szpitala dowiedział się jednak, że to najprawdopodobniej jego ojciec zjechał na drugi pas, przez co czoło zderzyli się z ciężarówką. On zmarł na miejscu, a Ryan jakimś cudem skończył jedynie z wstrząśnieniem mózgu, rozciętym czołem i kilkoma poważniejszymi stłuczeniami.

Podobno ojciec w momencie wypadku był pijany. Matka nigdy nie pozwoliłaby mu jechać nawet po piwie, więc pewnie przed odebraniem Ryana zatrzymał się na stacji. Co za idiotyczna śmierć, pomyślał chłopak. Co za idiotyczny sposób na spieprzenie kilku osobom życia.

– Idiota – powiedział na głos przez łzy.

Dłońmi przejechał po swojej twarzy, a potem znieruchomiał. Trwał tak chwilę, z niewidzącymi oczami patrząc się przed siebie, aż nie dobiegł do niego głos matki z dołu:

– Ryan! Zejdź do nas! Proszę cię, nie zachowuj się jak...

– Daj mi spokój! – odkrzyknął.

Czuł się z tym źle, ale chciał być teraz sam. Wiedział, że matka nie wejdzie do góry po drabince, bo ma lęk wysokości. Tu mógł mieć święty spokój od wszystkiego i od wszystkich. Zdziwił się więc, gdy po chwili kłapa się otworzyła i ukazała się w nich głowa Johnny'ego.

– Co ty tu robisz?! To mój pokój! – oburzył się Ryan.

– Taa? – Mężczyzna posłał mu pobłażający uśmiezek, stając na podłodze poddasza. – A ja sądziłem, że ten dom kupili twoi rodzice na spółkę z dziadkami. No popatrz, tak się pomylić.

Trzymając klapę otwartą, machnął ręką Jennifer, która czekała na dole i właśnie chciała coś powiedzieć.

– Poradzę sobie – zapewnił i zatrzasnął za sobą wejście.

Ręce zaplótł na piersi i spojrzał na chłopaka, który w między czasie zdążył unieść się do siadu.

– Co powiesz na małą pogawędkę? – spytał.

– Nic.

Johnny zaśmiał się lekko. Mrużył przy tym oczy.

– Elokwencję masz jednak po ojcu.

– Wal się! – syknął chłopak.

– Ułaa, zabołało – parsknął Johnny, po czym zbliżył się do łóżka. Nagle chwycił Ryana za włosy i nachylił się do niego, zmuszając chłopaka, aby popatrzył mu w oczy. – Słuchaj, szczeniaku. Będę tu przez jakiś czas, czy ci się to podoba, czy nie. Zagryź więc te swoje piękne usteczka i nie przysparzaj swojej mamie więcej zmartwień. Ja tam się mogę nie znać, ale coś mi mówi, że powinienes być dla niej podporą, a nie zachowywać się jak rozkapryszony bachor. Twoja babcia nazywa mnie wędrowcem, ale ja sam wolę określenie włóczęga. Nigdzie nie zagrzewam na dłużej miejsca, więc w końcu odejdę i będziesz mógł odetchnąć z ulgą. Do tej pory będziesz musiał ze mną wytrzymać. Otrzyj więc łezki, zejdz na dół i przeproś mamę i dziadków. Weź przykład z ojca i zachowaj się jak mężczyzna.

Puścił włosy chłopaka i poprawił wisiołek, który uwolnił się spod jego koszuli, gdy się pochylił. Rozglądnął się przy tym po pokoju chłopaka. Na ścianach wisiało sporo plakatów z zespołami muzycznymi. Jeden przykuł jego uwagę.

– Lubisz High Death? – spytał nagle, jak gdyby nigdy nic i scena sprzed chwili nie miała miejsca. – Byłem niedawno na koncercie w Meksyku. Dobra dupa jednak potrafi odmłodzić człowieka o dwadzieścia lat.

Ryan mimowolnie spojrzał na plakat.

– Że co? – spytał, nim zdążył się powstrzymać.

Johnny popukał zgiętym palcem w miejsce, gdzie na zdjęciu zespołu znajdował się basista.

– Myślałem, że to tylko plotki – przyznał niechętnie chłopak. Dlaczego w ogóle z nim rozmawiał?

– Ja w sumie też, aż nie dostałem się na *backstage* po koncercie. Pewnych rzeczy nie da się odzobaczyć.

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze w taki sposób, aby nie było wątpliwości, o jakie rzeczy chodzi, po czym zszedł na dół.

– Nie daj za długo na siebie czekać – rzucił jeszcze na odchodnym.

Ryan znów przetarł twarz dłońmi, wciąż siedząc na brzegu łóżka. Oto trzy rzeczy, jakich się dzisiaj dowiedział: Johnny to kawał chuja, Santa Boy naprawdę jest gejem, a życie jest do dupy. Po chwili jednak zwlókł się z łóżka i udał się do kuchni na te nieszczęsne zapiekanki ze szczypiorkiem.

* * *

W domu przesiedział jeszcze kilka dni. Na szczęście Johnny nie przebywał w nim zbyt często. Znikał gdzieś w dzień i w nocy, ale codziennie wracał, by dać dziadkom Ryana nacieszyć się swoją obecnością chociaż przez kilka godzin. Jednocześnie był w domu całkowicie bezużyteczny. Generował tylko więcej prania, zmuszał babcię do gotowania większych ilości jedzenia i pożyczał jedyne auto, jakie im zostało. Bez pytania oczywiście. Przez te kilka dni zdanie Ryana na temat wujka nie zmieniło się więc na lepsze.

Johnny, aka Karaluch, nie był jednak głównym powodem, dlaczego zdecydował się we wtorek iść po raz pierwszy od wypadku do szkoły. Dzisiaj wypadał czternasty lutego. To idiotyczne, komercyjne święto. Większość ludzi, podobnie jak Ryan, uważało to za głupotę, ale i tak płynęli z nurtem różowych serduszek. Nawet ojciec w ten dzień wstawał sprzed telewizora, zakładał najlepszą koszulę i golił się dokładnie. Co roku zapraszał swoją żonę do restauracji, gdzie się poznali. Matka Ryana w liceum dorabiała w niej jako kelnerka.

Gdy chłopak zszedł na dół, do kuchni na śniadanie, od razu zobaczył to w jej oczach. Jennifer jak zwykle uśmiechnęła się pogodnie do syna i udawała, że wszystko jest w porządku. On wiedział jednak, że dzisiaj było jeszcze mniej „okej” niż zwykle. I po prostu stchórzył. Wolał już iść do szkoły, znosić próbujących pocieszyć go kolegów i walentynkową atmosferę, niż patrzeć na jej cierpienie. Takim był tchórzem. Zupełnie nie jak ojciec, pomyślał, parafrazując słowa Johnny’ego sprzed kilku dni.

Postanowił więc iść, mimo próśb matki, aby jeszcze się wstrzymał.

– Już nic mi nie jest. Większość siniaków już mi zeszła – powiedział, gdy jedli razem jajecznicę. – I nie chcę sobie zrobić więcej zaległości.

– Wszyscy rozumieją – stwierdziła Jennifer.

– Co rozumieją? Nie chcę, by patrzyli na mnie ze współczuciem.

Matka w końcu dała się przekonać, więc wrzucił do plecaka parę zeszytów, nawet nie sprawdzając, czy ma dzisiaj takie przedmioty. Ubrał się ciepło, bo pomimo braku śniegu, rano temperatura utrzymywała się na poziomie kilku stopni poniżej zera. Szkoła było blisko, więc zwykle chodził na nogach. Teraz nie miał nawet innej opcji, bo Johnny znów zabrał samochód.

Gdy Ryan przeszedł już przez bramę posesji, coś rzuciło mu się w oczy. Na ceglanym murze widniał napis zrobiony białą kredą. To było ledwie kilka linijek. Nie umiał odczytać jednak ani słowa, bo tekst nie był po angielsku. Nie wyglądało to też na niemiecki, ani hiszpański, których także się uczył. Litery należały do alfabetu łacińskiego, ale wiele z nich miało u góry i u dołu, a nawet z boku dodatkowe kreski i kropki. Ryanowi przypominało to jakiś elficki albo krasnoludzki język, jak w grach i książkach. Odczytać mógł tylko jeden wyraz. W środku tekstu znajdowała się liczba 179.

– Jeśli to żart, to nieśmieszny – mruknął i nachylił się, aby zmazać bazgroły rękawem kurtki.

Rozglądnał się też wokoło, poszukując żartownisia, ale nie zauważył nikogo podejrzanego, jedynie paru sąsiadów. Jeśli to był jakiś żart, to bardzo niesmaczny. Przecież wszyscy w okolicy wiedzieli o niedawnej śmierci Teda Nortona.

W szkole było dokładnie tak, jak się spodziewał. Koledzy z klasy wygłaszali swoje formułki: „Tak bardzo mi przykro” i „Jeśli tylko czegoś byś potrzebował...”. To

co? – pytał w myślach Ryan. Przecież nikt tak naprawdę nie chciał mu pomóc. To były tylko puste frazesy. Przynajmniej jego koledzy z klasy mogli poczuć, że zrobili, co do nich należało i odetchnąć z ulgą.

Jednak nie ta pusta paplanina była najgorsza, a wzrok tych ludzi. Żalowali go. Współczuli mu. Nawet nauczyciele. Facet od geografii powiedział, że Ryan nie musi przejmować się zbliżającym się sprawdzianem, ponieważ jest w *tej sytuacji*.

Kolejny dzień zapowiadał się dokładnie tak samo. Na śniadanie znów były jajka, chociaż tym razem na bekonie, na dworze nadal panowała niska temperatura, chociaż dalej nie padał śnieg, a na murze znów pojawił się napis. Ryanowi wydawało się, że był taki sam, jak wcześniej, ale nie mógł stwierdzić tego z całą pewnością, bo nie rozumiał ani słowa. Tym razem przed zmazaniem zrobił zdjęcie. Gdy patrzył na nie na ekranie telefonu, coś rzuciło mu się w oczy. Liczba chyba się zmieniła. Dziś było to 178, czyli zmalała o jeden.

– Dziwne – mruknął Ryan.

Równie dobrze mógł po prostu źle zapamiętać.

Ten dziwny napis absorbował jego myśli do tego stopnia, że zamiast skupić się na lekcji, próbował rozwikłać zagadkę. Miał przecież tyle materiału do nadrobienia, a teraz przez myślenie o głupotach dokładał sobie jeszcze więcej. Były jednak też pozytywy całej sytuacji. Przynajmniej jego głowa była czymś zajęta.

Kolejnego poranka miał już pewność. Bazgroły znów widniały na murze. Ryan porównał je ze zdjęciem i stwierdził, że napis jest taki sam, a zmienia się jedynie liczba. To było odliczanie. Tylko do czego? – zastanawiał się. To był jedyny ceglany mur w okolicy. Może jakieś uliczne gangi zostawiały tu sobie wiadomości? Widział już wcześniej na ścianach budynków takie bazgroły – pełne wygrażania, przekleństw i błędów ortograficznych. Te jednak robione były sprejem, a przede wszystkim w języku angielskim.

Podczas lekcji wpadł na pomysł, aby zapytać o napis szkolnego bibliotekarza. Wiedział, że mężczyzna ukończył lingwistykę na jakimś dobrym uniwersytecie. Oprócz ścierania kurzu z bibliotecznych półek, uczył także łaciny. Był młody, dość przystojny, wykształcony i nawet według innych nauczycieli marnował się na tym zadupiu. Ryan nie miał na ten temat zdania. Niech sobie facet robi, co chce.

Do biblioteki poszedł podczas przerwy obiadowej. W środku było kilku uczniów, którzy korzystali z komputerów. Tak, szkolna biblioteka byłaby zupełnie martwa, gdyby nie darmowy dostęp do Internetu. Bibliotekarz siedział za ladą z nosem w jakimś niebotycznie grubym tomie. Ryan musiał powiedzieć „Przepraszam” dwa razy, zanim mężczyzna na niego spojrział.

– Ach, tak – powiedział bibliotekarz, poprawiając wąskie okulary na nosie.
– W czym mogę pomóc?

– Cóż... Znalazłem coś takiego na murze. – Ryan pokazał mężczyźnie zdjęcie na telefonie. – Chciałbym się dowiedzieć, co to za język.

– Hmm... to transkrypcja opierająca się głównie na łacińskich literach. Ze względu na to, że znajdujemy się w pobliżu rezerwatu, stawiam na język nawaho.

– Indiański? – zdziwił się Ryan. – I jest do tego jakiś słownik?

– Z pewnością. Jednak nie w naszej bibliotece. W księgarni także będzie ciężko go zdobyć. Jeśli jesteś bardzo zainteresowany odczytaniem tego, spróbuj poszukać w Internecie.

– A pan by nie potrafił?

– Przykro mi, specjalizuję się jedynie w łacinie i grece.

Bibliotekarz nie był tak pomocny, jak spodziewał się Ryan, ale przynajmniej dowiedział się, co to za język. Dzięki temu miał już plan na resztę dnia. Wieczorem spróbuje rozszyfrować napis, a w nocy złapać jego autora. Gdy sprawdzał wczoraj o dwudziestą trzecią, mur wciąż był czysty. Rano jednak bazgroły znowu się pojawiły.

Gdy wracał po lekcjach do domu, spotkał koło przystanku swoją mamę. Kobieta właśnie wysiadła z autobusu z dwiema siatkami pełnymi zakupów. Teraz więc szli ulicą razem, dzierżąc po jednej reklamówce.

– Czemu tak się ubrałaś, żeby zrobić zakupy? – zapytał Ryan.

Jennifer miała na sobie elegancki komplet z granatowym żakietem, dokładny makijaż i zgrabnego koka na szczycie głowy.

– Byłam na rozmowie o pracę – odparła. – Poszło bardzo dobrze. Pewnie dlatego, że to firma mojego znajomego z liceum, ale wciąż... Będę mogła zacząć od przyszłego tygodnia.

Ryan aż przystanął w miejscu ze zdziwienia.

– No ale jak to?

Do tej pory mama pracowała w sklepie, który należał do dziadków Ryana. Jako jeden z nielicznych rodzinnych biznesów przetrwał budowę centrum handlowego. Może dlatego, że był całodobowy i skupiał się na sprzedaży alkoholu i papierosów. Może dlatego, że przy wejściu stały automaty ze słodczymi, a może dlatego, że ludzie się do niego przyzwyczaili.

– Ryan, teraz, kiedy nie ma twojego taty, potrzebujemy pieniędzy jak nigdy przedtem. Dziadkowie zajmą się sklepem w dzień, a Johnny weźmie nocne zmiany.

– Johnny? – powtórzył Ryan, marszcząc brwi. To wydawała mu się zbyt odpowiedzialna praca dla tego faceta. – A co z Markiem?

Jennifer westchnęła.

– Niestety musimy go zwolnić – przyznała. – Nie stać nas na dodatkową pensję.

– A co z polisą? Przecież ojciec był ubezpieczony, prawda? Pamiętam, że go zmusiłaś.

Doszli już do domu, więc Jennifer otworzyła bramę. Samochód nie stał na podjeździe, więc Johnny znów musiał gdzieś wybyć. Kobieta zatrzasnęła za nimi furtkę i spojrzała na syna.

– Ryan... – zaczęła. – Prawda jest taka, że to twój tata był winny wypadku. Nie wypłacą nam w takiej sytuacji odszkodowania.

– Więc naprawdę był pijany? Co za beznadziejny człowiek – prychnął chłopak i ruszył szybciej w stronę domu, zostawiając matkę za sobą.

– Ryan...

Zjedli obiad razem z dziadkami w niemal całkowitej ciszy, a potem Ryan zamknął się na swoim poddaszu. Wydrukował zdjęcie z napisem i przykleił je na szafce wiszącej nad biurkiem. Po bardzo głębokim przekopaniu Internetu dowiedział się, że językiem nawaho posługuje się jakieś sto tysięcy Indian w USA, którzy zamieszkują głównie rezerwy. Rdzenny język wśród młodszych pokoleń z miast niemal zanikł. Pierwszy słownik powstał jeszcze przed drugą wojną światową, ale nie był on w późniejszych latach zbyt rozwijany. Dobre tłumaczenia także nie istniały.

Po kolejnych męczarniach i godzinach spędzonych w Internecie Ryanowi udało się zainstalować wirtualną klawiaturę ze specjalnymi znakami języka nawaho. Gdy spróbował przepisać tekst ze zdjęcia odkrył, że litery są napisane bardzo niedokładnie i często nie miał pewności, jaki to znak. Gdy wczytał się w zasady gramatyki, jego nadzieja na odczytanie napisu jeszcze zmaląła. Układ zdania był zupełnie inny niż w angielskim, dodatkowo w nawaho w ogóle nie istniały przymiotniki, a ich funkcję pełniły czasowniki.

Spróbował wpisać cały tekst w translator, będący w „fazie rozwoju” chyba od lat dziewięćdziesiątych, ale nie uzyskał żadnych wyników. Wpisywanie wyrazów pojedynczo także nie dało efektów. Nie mógł się też w pełni skupić, bo co chwilę wyglądał przez okno. Ulica przy jego domu była słabo oświetlona, ale liczył, że uda mu się dojrzeć, gdy ktoś podejdzie pod mur. Zbliżała się dwudziesta czwarta, ale nadal nikogo nie zauważył, a jutro musiał wstać wcześniej do szkoły. Postanowił więc iść spać, a polowanie urządzić w weekend. Zrezygnowany wklepał jeszcze jeden wyraz w translator, zmieniając jedną samogłoskę, której odczytania nie był pewien, i nagle wszystko potoczyło się błyskawicznie.

„Zabiję” – to słowo pojawiło się na ekranie jego laptopa. W tym samym momencie wyłapał kątem oka ruch na ulicy. Przy ogrodzeniu posesji przystanął jakiś zakapturzony osobnik. Musiał być wysoki, bo jego głowa wystawała wyraźnie zza muru. Ryan zerwał się z miejsca i niewiele myśląc, zszedł z poddasza, a potem wybiegł z domu.

– Hej, ty!

Rozdział 2

Gdy biegł przez podwórze, przez moment widział jeszcze czubek głowy tego mężczyzny. Brama była otwarta, ponieważ Johnny znów miał wrócić późno w nocy, więc Ryan wypadł przez nią niczym wicher, aby złapać żartownisia na gorącym uczynku. I to mu się udało. Zakapturzony typ właśnie bazgrał pierwsze słowa na czerwonym murze Nortonów. Nie drgnął nawet, gdy Ryan stanął obok, tylko spokojnie kontynuował swoje dzieło.

– Hej, ty! – warknął jeszcze raz chłopak.

Dopiero teraz wandal odwrócił w jego stronę okrytą kapturem szarej bluzy głowę. Ryan spodziewał się wreszcie zobaczyć twarz tego idioty, ale nie było mu to dane. Mężczyzna miał nałożoną białą maskę. Podobną do tych, które były znakiem rozpoznawczym hakerów z Anonymous, ale bez charakterystycznej brudki i uśmiechu. Chociaż nie, pomyślał Ryan, mimowolnie cofając się o krok. Znacznie bardziej przypominała jedną z masek Taylora ze Slipknot. Ryanowi przemknęło przez myśl, że cały ten plan ze złapaniem wandala był idiotyczny i może powinien wycofać się z klasą, póki jeszcze miał szansę. Ale...

– Ale, kurwa, nie! – warknął bardziej do siebie niż do wandala, aby dodać sobie animuszu. – Kim ty w ogóle jesteś?!

Mężczyzna zastygł na chwilę w bezruchu, jakby się nad czymś zastanawiając. Tego Ryan nie mógł stwierdzić z całą pewnością, bo przecież nie widział jego twarzy. Wszystko trwało zaledwie parę sekund, po czym nieznajomy poderwał się do biegu i zaczął uciekać. Ryan ruszył za nim, ale odległość między nimi szybko się powiększała. Dopiero teraz pomyślał o tym, że jest środek zimy, a on ma na sobie jedynie dres i kapcie, które tylko utrudniały biegnięcie. Dodatkowo zamaskowany facet był w bardzo dobrej formie, w przeciwieństwie do Ryana, któremu prędko zabrakło tchu, a obtłuczone po wypadku ciało szybko dało o sobie znać bólem w podbrzuszu i barku. Kiedy mężczyzna przeskoczył jednym susem przez drewniany płot czyjejs nicoświeczonej posesji i zniknął za budynkiem, Ryan po prostu się poddał.

Dysząc ciężko, wysapał przekleństwo i ze złości kopnął w miejski, metalowy kosz na śmieci. Zaraz tego pożałował, bo uderzył się w palec u stopy.

– Kuźwa! – przeklął jeszcze raz i się wyprostował. Wtedy ujrzał, że z nieba zaczął padać pierwszy w tym roku śnieg. – No pięknie.

Rozmasował ramiona, bo zrobiło mu się zimno. Z tego wszystkiego nawet nie patrzył, w którą stronę biegł, więc musiał rozejrzeć się po okolicy. Zdziwiło go, jak bardzo oddalił się od domu. Złość rzeczywiście musiała dodawać siły. Zrezygnowany powlókł się opustoszałą ulicą w drogę powrotną. Drobne, błyszczące w świetle latarni płatki śniegu osiadały na jego włosach i ubraniu.

Przed bramą jego podwórka czekała na niego kolejna niemiła niespodzianka, mianowicie Johnny oparty o ich Passata. Widocznie czekał na niego.

– Muszę przyznać, że epicko to wyglądało, jak w tych klapeczkach popylałeś za tym gościem. – Zaśmiał się. – To o co poszło?

Ryan się skrzywił. A więc widział, pomyślał.

– Daj sobie siana – odparł i spróbował wyminąć Johnny’ego, ale ten chwycił go za ramię.

– Dalej taki elokwentny. Ale jeśli coś jest na rzeczy i gość ci się narzuca czy coś, to mogę go trochę utemperować.

O czym on mówi? – zdziwił się Ryan. Odwrócił twarz, by na niego spojrzeć i odkrył, że mina Johnny’ego była zupełnie inna niż jeszcze przed chwilą. W czystym, zielonym spojrzeniu coś się kryło. Żartobliwy ton z jego głos też jakby wyparował.

– Gdzie ty w ogóle tak znikasz na całe dni? – spytał Ryan, aby zmienić temat.

– Wiesz... – zaczął Johnny i podszedł do bramy, aby ją otworzyć na oścież i wjechać samochodem na posesję. – Długo mnie nie było, więc wypada odnowić stare znajomości, pokłonić się nowym królom.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– To się ciesz.

Więcej już nie rozmawiali. Ryan wrócił do siebie, wykapał się i położył spać. Jutro czeka na niego przecież kolejny dzień. Przed zaśnięciem popatrzył jeszcze przez okno na padający śnieg. Przynajmniej zakryje trochę brudu, pomyślał.

Nowy dzień rozpoczął się jednak inaczej niż przewidywał, a mianowicie miłą niespodzianką. Przed bramą czekała na niego jego najbliższa przyjaciółka, Trish. W

szkole powszechnie nazywano ją „bladą Pocahontas” przez sięgające do pasa czarne włosy i bardzo jasną cerę.

– Trish? Nie było cię ostatnio w szkole.

Dziewczyna czekała na niego z dłońmi wsadzonymi w kieszenie czarnych dżinsów przyozdobionych pojedynczym łańcuchem, żując przy tym powoli gumę. Gdy usłyszała jego głos, spojrzała na Ryana ponad szklami wąskich okularów z czarnymi oprawkami.

– No, ciebie też – odparła tak charakterystycznym dla siebie zblazowanym tonem.

I to było wszystko. Żadnego „Tak bardzo ci współczuję”, ani żadnych bzdur, od których wysłuchiwanie przez ostatnie dni robiło mu się niedobrze. Ryan patrzył na nią przez moment, a potem parsknął śmiechem. Od razu przypomniał sobie, dlaczego tak lubił tą dziwną osobę.

– No, to za nim udamy się do tego rządowego przybytku nieustającego w próbach wyprania nam mózgow, powiedz, co to za arcydzieło masz na murze. – Trish wskazała skinieniem głowy na napis. – Przedtem tego nie było.

Ryan spojrzał na mur. Wczoraj wieczorem przerwał zamaskowanemu gościowi w połowie pracy, ale dziś napis był już w całości. I znowu zmieniła się tylko liczba. Ryan zasyczał przez zęby i starł napis. Nie miało to większego sensu, ale jego natura kazała mu działać na przekór.

Po drodze do szkoły opowiedział Trish całą historię wraz z tym, co udało mu się odczytać z napisu. Zrelacjonował także swój wczorajszy pościg w papuciach, który dziewczyna skomentowała litościwym parsknięciem.

– To było głupie – skomentowała. – Nie sądziłam, że aż taki z ciebie idiota.

– Ja też – przyznał chłopak.

– Ale właściwie, czemu aż tak cię ta sprawa pochłania? To prawdopodobnie nawet nie ma z tobą, czy twoją rodziną żadnego związku. Jeśli potrzebujesz się na czymś zafiksować, to polecam coś zdrowszego niż bieganie na mrozie w klapkach.

Ryan pokiwał głową. Pocahontas jak zwykle miała rację. Tylko na czym innym miał się zafiksować, by nie myśleć o rzeczywistości?

– W sumie, to ciekawy zbieg okoliczności – stwierdziła Trish, gdy znaleźli się już prawie pod szkołą.

– Co takiego? – zdziwił się Ryan.

– Gdy cię nie było, przenieśli do równoległej klasy ucznia. Ciekawe ploty o nim chodzą i podobno strasznie aspołeczny typ.

– Nie sądziłem, że interesują cię plotki.

– Nie interesują – odparła Trish – jednak i tak je słyszę. W każdym razie, podobno wyszedł z poprawczaka, a na mię ma Atsah, Atso...Nie pamiętam dokładnie, ale oznacza to orła w języku nawaho.

Ryan aż przystanął z klamką od drzwi wejściowych do liceum w dłoni. Spojrzał na Trish.

– I ty nazywasz to zbiegiem okoliczności?! – spytał wzburzony. – To on. Kuźwa, to on!

Trish pchnęła go lekko, aby przeszedł przez drzwi, bo za nimi zaczęła tworzyć się kolejka. Na szczęście ich szkolne szafki stały blisko siebie, więc skręcili razem w jeden z korytarzy.

– Nie możesz mieć pewności – powiedziała. – Nawet nie wiesz, jak ten gościu wyglądał.

– Ta, ale niedługo po pojawieniu się tego typu w szkole, ktoś zaczyna pisać po indiańsku na moim murze coś o mordowaniu. To trochę za dużo, jak na zwykły zbieg okoliczności – upierał się Ryan. – Ile ten nowy ma wzrostu?

Trish ściągnęła kurtkę i upchała ją do swojej szafki. Podobnie jak Ryan miała na niej kilka naklejek zespołów rockowych.

– No, wysoki... Coś jak... – Rozglądnęła się po tłumie zebranych na korytarzu. Do pierwszego dzwonka zostało ledwie parę minut. – Jak on sam.

Palcem wskazała w głąb korytarza. Ryan nie miał problemu z wyszukaniem w tłumie ucznia, o którego chodziło. Jego głowa wyraźnie wystawała ponad innymi. Był odwrócony do nich tyłem, więc Ryana widział tylko jego długie, czarne włosy. Na pewno miał grubo ponad metr osiemdziesiąt. Tak samo, jak zamaskowany facet z wczoraj.

– To on!

Ryan zaczął przebijać się przez tłum, ale nim zrobił więcej niż kilka kroków, zatrzymała go Trish.

– I co teraz zrobisz? W tłumie uczniów i nauczycieli? – spytała. – Za chwilę będzie dzwonek. Jak tak bardzo ci zależy, to trzeba go capnąć na długiej przerwie albo po lekcjach.

Tak, jak powiedziała Trish, po chwili rozległ się pierwszy dzwonek. Uczniowie zaczęli rozchodzić się do swoich klas. Uznał, że miała rację, więc razem udali się na chemię. Uświadomił sobie, że dziś miała być lekcja praktyczna, a on z tego wszystkiego zapomniał kitla. Ale przecież ujdzie mu to płazem, bo był *w tej sytuacji*.

Na pierwszej przerwie od kolegi, który chodził z Indianinem do tej samej klasy, dowiedzieli się, że typ rzadko z kimś gada, na przerwach gdzieś znika i często urywa się z lekcji. Ogólnie to jakiś dziwny jest, a do tego podobno kogoś zamordował i dlatego był w poprawczaku.

– Idiotyzm – skwitowała te nowiny Trish i przewróciła oczami. – No, ale najlepiej będzie go capnąć po lekcjach. Kończą wtedy, co my. Jeśli tylko nie zwinie się wcześniej.

Tak też zrobili. Z klasy wypadli równo z ostatnim dzwonkiem, nie czekając nawet na to, aż nauczyciel skończy zdanie. Zbiegli po schodach na parter, gdzie stały szafki uczniów, aby zabrać kurtki. Myśleli, że będą pierwsi, ale ktoś stał już na korytarzu i właśnie zamykał czerwone drzwiczki swojej szafki na kłódkę.

To był on. Teraz Ryan mógł przyjrzeć się jego twarzy, chociaż dużą część profilu Indianina przesłaniały zmierzwione, lśniące pasma czarnych włosów. Chłopak miał bardzo ostre rysy twarzy, z wyraźnie zaznaczonym podbródkiem i wystającymi kośćmi policzkowymi. Jego skośne oczy były doskonale czarne.

– Seksowny – mruknęła Trish, przygryzając paznokieć kciuka. – Że też wcześniej się nie przyjrzałam.

– To jakiś chory, niebezpieczny świrus! – syknął Ryan. Nie zaprzeczył jednak.

– Przesadzasz – zbyła go dziewczyna i pierwsza podeszła do chłopaka, który już kierował się w stronę drzwi. – Hej, nowy! Chcemy pogadać!

Indianin zatrzymał się i odwrócił. Wzrokiem otaksował Trish od góry do dołu. Jego ponurą dotąd minę rozświetlił słaby uśmiech.

– To pewnie na ciebie wołają Pocahontas? – spytał.

– Uraża cię to?

– Nie, ale pasuje do ciebie.

Trish uśmiechnęła się bokiem ust i poprawiła okulary.

– A jak się nazywał ten w niej zakochany? – zaczęła. – Kocoum?

– Coś takiego.

Ryan zatrzymał się parę kroków za Trish. Działo się tu coś bardzo dziwnego. Mieli zapytać tego typka o napis na murze, a nie z nim flirtować. Trish jednak nie dało się kontrolować, ani przewidzieć tego, co zrobi.

– Więc... To ty pewnie jesteś John Smith?

Zaskoczony Ryan spojrzał na Idnianina i odkrył, że ten uważnie mu się przygląda. Właściwie, zmierzył go takim samym wzrokiem, jak przed chwilą Trish. To tylko zirytowało chłopaka jeszcze bardziej.

– Nie, kuźwa! – warknął. – Jestem Ryan Norton. Ten, któremu bazgrzesz te pierdoły na murze.

Chłopak patrzył na niego przez chwilę, chyba nie wiedząc, jak to skomentować, a potem parsknął. Wyciągnął rękę i potarł Ryana po włosach.

– Och, jaki słodziak z ciebie, jak się tak jeżysz. – Zaśmiał się.

Ryan próbował mu się wyrwać, ale Indianin na to nie pozwolił. Zbliżył się jeszcze bardziej, przyciągając jego twarz do swojej i zerwał mu jeden z elastycznych pasków do zamykania ran, które miał na czole. Właściwie Ryan nie musiał już nosić żadnych opatrunków, bo rozcięcie się zasklepiło, ale po cichu liczył, że może dzięki temu blizna będzie mniejsza.

– A to co? Rana wojenna? – spytał Indianin. Cały czas trzymał Ryana za podbródek. Miał wręcz końską siłę. – Nadaje ci wyrazu, słodziaku.

– Pieprz się! – warknął Ryan i wreszcie mu się wyrwał. Dłonią zasłonił bliznę.
– Nic ci, kurwa, do tego!

Indianin tylko popatrzył na niego z góry, dosłownie i w przenośni, co tylko rozsierdziło Ryana bardziej, a potem odwrócił się na pięcie i ruszył w swoją stronę, czyli ku wyjściu ze szkoły. Cały czas uśmiechał się też pobłażająco. W Ryanie aż się zagotowało. Ruszył za nim, wymijając Trish, która tylko westchnęła.

Dopadł do Indianina i pociągnął za rękaw kurtki.

– Masz przestać wypisywać te bzdury na moim murze, rozumiesz?!

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparł Indianin. Spojrzał z uniesioną brwią na swoje ramię, za które był trzymany, ale tego nie skomentował. – Chyba mocno uderzyłeś się w tą głowę.

– Nie udawaj! Wiem, że to ty!

Coraz więcej uczniów zbierało się przed wyjściem ze szkoły. Nie umknęło to uwadze Indianinowi. Poprawił na ramieniu plecak i ruszył przed siebie, nie zważając na toczącego pianę z ust Ryana, któremu wyszarpnął się z uścisku.

– Daj spokój – zasugerowała Trish, która stanęła za chłopakiem, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Widzisz, że nie chce gadać.

– I to jest jeszcze bardziej podejrzane! – odparł Ryan, w którym przez tą krótką wymianę zdań z Indianinem z jakichś niejasnych nawet dla niego samego powodów zagotowała się krew. – Nie zamierzam tak tego zostawić.

– To co zrobisz?

Ryan sam jeszcze nie wiedział. Zastanowił się przez chwilę.

– Po prostu pójdę za nim – zdecydował. – Będę go śledził tak długo, aż się upewnię, czy to on, czy nie.

Trish pokręciła głową.

– Brzmi jak genialny plan – skwitowała. – Tylko co, jak mu się to nie spodoba? Myślę, że jak ci przypieprzy, to wybije ci kilka zębów. No, ale jak serio chcesz to zrobić, to się pośpiesz.

Wskazała coś kiwnięciem głowy, a Ryan popatrzył w tamtym kierunku. Indianin dotarł już za ogrodzenie szkoły i skręcił chodnikiem w lewo. Jeszcze parę kroków i stracą go z oczu. Ryan pomachał Trish na pożegnanie i pobiegł za nim.

Dziewczyna przeczesła swoje długie, czarne włosy i ruszyła w przeciwną stronę.

– Czuję, że to się źle skończy – mruknęła do siebie.

Szli już dobre pół godziny. Ryan uparcie podążał kilka kroków za nowym uczniem. Indianin zauważył już na samym początku, że jest śledzony, ale usilnie ignorował ten fakt. Nawet się nie odwracał, aby sprawdzić, czy chłopak dalej za nim

podąża. Ryan próbował zaczepić go jeszcze parokrotnie, ale nie przyniosło to żadnych rezultatów. Indianin traktował go jak powietrze.

Ryan z każdą minutą rozglądał się coraz bardziej nerwowo. W zimie szybko robiło się ciemno, a on bardzo słabo znał tę okolicę. Byli już na przedmieściach, w dzielnicy nie cieszącej się najlepszą sławą. Podobno gdzieś tutaj swoje magazyny miał jeden z dwóch gangów, których tereny zazębiały się akurat w tym mieście. Tyle Ryan wiedział ze słyszenia. Nigdy nie natknął się na żadnego mafiosa, a przynajmniej nie był tego świadomy. Od czasu do czasu przeczytał tylko w lokalnej gazecie o tym, że znowu znaleźli jakiegoś trupa w rzece. Jednak to wszystko działo się gdzieś obok niego. On pochodził z normalnej, do bólu przeciętnej rodziny.

W końcu Indianin zatrzymał się przed jedną z ogrodzonych metalową siatką posesji. Kluczem otworzył furtkę. Gdy wchodził do małego, zaniedbanego domku, nawet nie spojrzał na Ryana. Chłopak zerknął na zegarek. Nie było nawet piątej. Nie może sterczeć przed czyimś domem przez kilka godzin. Po drugiej stronie ulicy stała mała restauracja, więc postanowił z jej wnętrza obserwować, czy Indianin gdzieś wychodzi. Nawet dobrze się składało, bo zrobił się głodny.

W restauracji zamówił zestaw obiadowy numer trzy, składający się ze trudnej do zdefiniowania zupy, skrzydełek Buffalo, sernika i tyłu dolewek rozwodnionej kawy, ile był zdolny pomieścić jego pęcherz. Usiadł przy stoliku koło okna i obserwował małą, zabiedzoną chałupinkę, do której wszedł Indianin. Właśnie, jak on w ogóle miał na imię? – pomyślał w pewnym momencie. Przypomniał sobie, że Trish mówiła coś o orle. Akurat znalezienie odpowiedniego imienia w Internecie nie przysporzyło mu zbyt wielu problemów. Brzmiało ono Atsah.

Czas mijał. Kelnerka w żółtoczerwonym fartuszk kursowała z dolewką kawy już kilka razy do jego stolika, a on zdążył już dwa razy odwiedzić toaletę. Po drugiej stronie ulicy nic jednak się nie działo. Gdy w końcu ujrzał, jak drzwi domu się otwierają, w pośpiechu zebrał swoje rzeczy, zostawił pieniądze na stole i wybiegł z restauracji. Na ulicę nie wyszedł jednak młody Indianin, a mężczyzna w średnim wieku i właśnie wsiadał do starego jepa zaparkowanego przy chodniku.

– Przepraszam – zagadnął go Ryan. Podejrzewał, że był to ojciec chłopaka. – Czy Atsah jest w domu?

Mężczyzna spojrział na niego wyraźnie zdziwiony pytaniem. Był wysoki i bardzo chudy. Miał na sobie znoszone dżinsy i grubą koszulę w kratę.

– Wszedł – odparł w końcu.

Niby kiedy? – pomyślał Ryan, podejrzewając, że facet go okłamuje. Zaraz przypomniał sobie, że przecież dwa razy wychodził do toalety.

– Przed chwilą – dokończył jednak mężczyzna i zaraz doprecyzował: – Tylnym wyjściem.

Ryan popatrzył na posesję. Za nią rozciągał się już tylko sosnowy las, a potem góry. Ostatnio był tam, gdy chodził jeszcze do podstawówki. Przypomniał sobie, że mama zabierała go do lasu na spacer. Później Ryanowi nie było już z naturą za pan brat.

– Do lasu? – dopytał.

– Tak – potwierdził mężczyzna. – Często tam znika.

Ryan podziękował, a potem okrążył posesję. Z tyłu rzeczywiście znalazł ścieżkę prowadzącą do lasu. Świeże ślady butów na śniegu potwierdziły, że ktoś niedawno tamtędy przechodził.

Las był zapomniany przez większość mieszkańców miasta. Od lat nieniekoszony przez człowieka i pozostawiony sam sobie budził teraz w Ryaniu nieprzyjemne uczucia. Był taki dziki i pierwotny. Długie pnie sosen gięły się w raz ze wzmagającym się wiatrem, wydając z siebie nieprzyjemne skrzypnięcia. Pokryte iskrzącą się warstwą śniegu zielone igły osłaniały głębię lasu przed światłem. Pierwsze gwiazdy powoli ukazywały się już na niebie, na którym królował dziś księżyc w pełni. Dawał on trochę światła, ale środek lasu i tak skąpany był w półmroku.

Ryan czuł aż w kościach, że pójście tam za Indianinem było bardzo złym, bardzo głupim pomysłem. Ruszył jednak jego śladami. Co miał przecież do stracenia?

* * *

To była jego druga nocna zmiana w sklepie rodziców. Dwanaście godzin odciskania sobie tyłka na twardym krześle za ladą. Nikt cię tak nie wykorzysta jak własna rodzina – pomyślał Johnny, chociaż tak nie uważał. Spieprzył na tyle lat,

zostawiając wszystko na głowie Teda. Teraz przynajmniej mógł odkupić trochę swoich win u rodziców. O innych nawet nie myślał.

Cóż, siedzenie na dupie i przeglądanie gazetek z gołymi babami nie było aż takie złe. Dziwił się, że w ogóle ktoś jeszcze kupuje te pisemka w dobie Internetu. Z najnowszego numeru tej ambitnej prasy ściągnął folię, ale miał nadzieję, że nie powstrzyma to jakiegoś napalanego staruszka przed kupnem gazety. Po pierwszym dniu, a właściwie nocy, nauczył się, że o tej porze przychodzili tu głównie już pijanie ludzie, wracający z jakichś imprez, czy barów, aby nawalić się bardziej. Byli też tacy, którym się poszczęściło i kupowali prezerwatywy. Wracający późno z pracy przychodzili zaś do sklepu w poszukiwaniu szybkiego, a przy tym zwykle niezdrowego posiłku.

– Sam Photoshop – ocenił po przeglądnięciu rozkładówki. – I sztuczne cycki. Usta też jakieś napompowane. Normalnie jak u glonojada. A później dzieciaki będą miały problemy, jak zobaczą wreszcie prawdziwą babę. Nagle okaże się, że rzeczywistość jednak wygląda inaczej i Anakonda zawiedzie.

Gadał sam do siebie, bo w tej budzie nie było nawet Wi-fi. Na monitorach pod ladą widział zaś tylko obrazy z kamer obserwujących część samoobsługową sklepu. Na razie nie było żadnych klientów. Mama kategorycznie zabroniła mu sprzedawać nieletnim alkoholu i papierosów. On tam nie widział problemu i tak przecież wszyscy pili, ale podobno kontrole były bardzo często. To śmieszne, pomyślał Johnny, że aby w tym kraju kupić sobie broń wystarczy mieć szesnaście lat, a browara sprzedadzą ci dopiero, gdy skończysz dwadzieścia jeden.

Dzieciaki do sprzedania im alkoholu próbowały przekonać go na trzy sposoby: prośbą, groźbą lub przekupstwem. Niestety żaden na niego nie działał. Był grzecznym dzieckiem i słuchał mamy. Nie chciał też zostać bez obiadu. Odłożył gazetę na półkę pod ladą, bo oto do sklepu weszła trzyosobowa grupa przedstawicieli młodego pokolenia. To może być interesujące, przeszło mu przez myśl.

Najniższy, zblazowany typek o zaczesanych na bok i farbowanych na blond włosach wszedł do sklepu z zapalonym w gębie papierosem, pomimo wiszącej na drzwiach plakietce z zakazem. W każdym z uszu miał po kilka koleczków. Chociaż wyglądał najbardziej niepozornie z całej trójki, no oko Johnny'ego to on był tutaj

szefem. Za nim siedł trochę wyższy chłopak w dreadach związanych w kucyk i okularami na pół twarzy w czerwonych ramkach. Jaki alternatywny, prychnął w myślach Johnny, obserwując małolatów zza lady. Ostatni licealista i jednocześnie najwyższy z trójki wyglądał najnormalniej z całej grupy. Krótkie, czarne włosy miał postawione lekko do góry, a jego skóra była ciemniejszej karnacji. W górnej części lewego ucha miał pojedynczy, okrągły kolczyk.

Gówniaki wyglądały Johnny'emu na takich, którzy uważają się za sprytnych. Takich, którzy handlują trawskiem w szkole. Spryciarzy Johnny lubił najbardziej. Kochał ich temperować.

Rozdział 3

Na początku obserwował ich na obrazie z kamer. Kręcili się między półkami, ale nie próbowali kraść. Ten najniższy, farbowany na blond, nadal łąził z zapalonym papierosem. Popiół z niego oczywiście strzepywał na podłogę. Kołowali po sklepie dłuższą chwilę, ale w końcu dotarli tam, gdzie zamierzali od początku, czyli przed lodówkę z alkoholami. Biały chłopak w dreadach wyciągnął z niej sześciopak butelkowanego piwa. Johnny nie mógł się nie uśmiechnąć. Groźbą, prośbą, czy przekupstwem? – pomyślał. Usadowił się wygodniej na swoim krzeselku i czekał. Blondyn co chwilę patrzył prosto w oko kamery i uśmiechał się szelmowsko. Rysy jego twarzy były łagodne, ale w ciemnych, wąskich oczach coś się kryło. Jakaś zادیorność. To przyciągało. Kusiło.

Gdy wyszli spomiędzy regałów, Johnny nie musiał już obserwować trójki spryciarzy na monitorach ukrytych pod ladą. Stanęli przed nim w pełnej krasie. Ubrani w markowe, luzackie ciuchy, z kolczykami zdobiącymi uszy, nosy i wargi oraz z tymi pewnymi siebie uśmieszkami. Johnny miał wielką ochotę zetrzeć je z ich gładkich twarzączek, ale przecież obiecał mamie, że będzie grzeczny.

– A dowodzik? – zapytał, gdy dzieciak w dreadach i tych anormalnie wielkich okularach postawił sześciopak na ladzie.

– Mark się nigdy nie pytał.

– Ta, prawdopodobnie też nigdy nie dzielił celi z męską prostytutką w Tajlandii – odparł Johnny. – I to nas właśnie różni. To jest dowodzik, czy nie?

Dotąd patrzył na chłopaka w dreadach, ale gdy usłyszał chichot, jego wzrok skierował się na stojącego obok blondyna. Dzieciak nonszalancko opierał się łokciem o ladę i palił papierosa. Na obrazie monitora Johnny nie mógł tego dojrzeć, ale nad kącikiem ust miał drobny, choć rzucający się w oczy pieprzyk.

Dzieciak cały czas patrzył mu prosto w oczy. Uśmiechał się przy tym lekko, obracając papierosa w ustach językiem. To wbrew jego woli przykuło wzrok Johnny'ego. Dzieciak miał w sobie coś przyciągającego i dobrze o tym wiedział.

Skupiony na twarzy blondyna, nie wyłapał, gdy ten niespodziewanym, szybkim ruchem wyciągnął papierosa z ust i włożył je między wargi Johnny'ego.

– Co, do kurwy?! – zdziwił się mężczyzna.

Chwycił papierosa między palce w ostatniej chwili, zanim nie spadł mu na koszulę. Dzieciak wzruszył wąskimi ramionami, uśmiechając się przy tym zadziornie. Jego oczy błyszczały figlarnie. W Johnny’m powoli zaczynała gotować się krew przez te irytujące kurwiki w czarnych ślepiach dzieciaka.

– Tak intensywnie się patrzyłeś na moje usta – stwierdził chłopak z pewnym siebie uśmiechem na ustach. – Pomyślałem, że może chcesz bucha.

Johnny przygryzł ustnik. Nie lubił takich spryciarzy. I znowu facet się do niego przystawiał. Działo się to dziwnie często. Spojrzał na swoje odbicie w ekranie monitora. Może miał wygląd luzaka, typowego *fuckboya*, ale dlaczego tyłu gejų do niego uderzało? Niepojęte. Po wydmuchnięciu dymu wyciągnął prawie całkowicie wypalonego papierosa spomiędzy warg i ostentacyjnie zgniótł go na talerzyku leżącym na ladzie, patrząc gnojcewemu prosto w oczy.

Dzieciak jedynie zaśmiał się pod nosem i wcisnął dłonie w kieszenie nisko wiszących džinsów. Jego koledzy obserwowali całą scenę bez słowa, ale też bez zdziwienia. Chyba byli do tego przyzwyczajeni.

– Idziemy – zarządził blondyn. – Raczej nie sprzedaj nam tego piwa.

Sam pierwszy ruszył w kierunku wyjścia, a pozostała dwójka poszła jego śladem. Zanim wyszedł, odwrócił się jeszcze na moment, przytrzymując drzwi. Uśmiechnął się, patrząc prosto w zielone oczy nocnego sprzedawcy.

– Co to w ogóle było? – spytał Johnny, gdy został w sklepie sam.

Z kieszeni wydobyl otworzoną paczkę papierosów. Sam nie stosował się do zakazu wiszącego na drzwiach. Zapalił jednego i odchylił się na krześle. Siedząc tak, przypominał sobie siebie z czasów liceum. Był jeszcze gorszy od tych dzieciaków, ale, co musiał przyznać, gnojek sprzed chwili miał jaja na swoim miejscu. Nie bał się być tym, kim chciał. A on?

Johnny zastygł w bezruchu z papierosem w połowie drogi do ust. A on spieprzył na trzynaście lat.

* * *

Chociaż Ryan nie mógł sobie w tym momencie przypomnieć żadnego tytułu, na pewno nakręcono już setkę filmów, w którym facet idzie sam wieczorem do lasu i już z niego nie wraca. Bo go tam mordują, ćwiartują, a potem jego rozczłonkowane flaki wrzucają do dołu. Później do akcji wchodzi wilgoć, grzyby oraz bakterie i po facecie nie zostaje żaden ślad. Tylko drzewa jakieś dorodniejsze rosną w tym miejscu.

Wiedział, że przesadzał, bo przecież nie było jeszcze do końca ciemno, miał latarkę w telefonie, las był rzadki, a gdzieś niedaleko powinna płynąć rzeka, ale czuł obawę, przedzierając się pomiędzy gałęziami drzew. Śnieg był jego sprzymierzeńcem, bo na ścieżce widział ślady butów pozostawione przez Indianina. Z początku zimowy las wydawał mu się martwy. Sucha, żółknięta trawa wystawała spomiędzy cienkiej warstwy śniegu, a огоłocone gałęzie liściastych drzew wymieszanych z sosnami straszyły swoimi powyginanymi kształtami, przywodzącymi na myśl pazury jakiejś bestii. Im dalej szedł i im więcej widział, przekonywał się, że las mimo pozornego uśpienia nadal żył. Na śniegu oprócz śladów butów widział także odciski łapy i kopyta jakichś zwierząt. Nie znał się na tym, więc nie umiał określić, co przechodziło ścieżką przed nim. Bezlistne gałęzie także kryły w sobie życie. Zwieńczone były pąkami czekającymi na pierwsze oznaki życia, by wystrzelić zielenią. Co jakiś czas z gałęzi sosen spadał także śnieg strącony przez przelatujące ptaki. Ryan słyszał, jak trzepoczą skrzydłami.

Ścieżka niedługo się skończyła, bo oto doszedł do rzeki. W tym miejscu była jeszcze płytka i wąska. Jej brzegi skuwał cienki lód, ale na środku nurt bystro pokonywał kolejne meandry. Ryan przystanął, gdy po drugiej stronie zobaczył sarnę. Ona też patrzyła na niego przez moment, by później zniknąć w zaroślach. To była taka błaha rzecz, ale z jakiegoś powodu czuł się dziwnie poruszony. Rozglądnął się wokoło. Tu nie było niczego, ani nikogo. Czuł się dziwnie wolny. Gdy spojrzął w górę, ujrzał pierwsze gwiazdy rozświetlające niebo. Uświadomił sobie, że tak dawno nie patrzył w górę, na niebo.

Zamyślony, dosłownie podskoczył, gdy coś dotknęło go w ramię. Wszystkie scenariusze horrorów rozgrywające się w lesie znów mu się przypomniały. Obrócił się gwałtownie i ujrzał stojącego za nim Indianina.

– Matka cię nie nauczyła, żeby nie łązić po ciemku po lesie? – spytał chłopak.

Uczyła, pomyślał Ryan. I powinien jej posłuchać. W tej kwestii zgadzał się z Johnny'm.

– Ciebie też to się chyba tyczy? – odparł jednak zaczepnie. – Co ty w ogóle tu robisz sam, o tej porze?

Atsah, czy jak mu tam było na imię, uśmiechnął się kątem ust.

– Może czekam na takich zagubionych chłopców jak ty? – zaproponował, unosząc brew.

Gdy podniósł rękę, Ryan zobaczył, że trzyma w niej siekierę. Przełknął ślinę.

– Idź do domu – poradził Atsah i poprawił plecak na ramieniu.

Nie patrząc już na niego więcej, zaczął iść wzdłuż rzeki, w tylko sobie znanym kierunku. Ryan śledził go wzrokiem, nie wiedząc, co począć. Tu, gdzie stał teraz, docierały jeszcze światła z niedalekiej posesji. Dalej był już tylko mrok, a w nim Indianin z siekierą.

Poszedł. Sam nie wiedział dlaczego. Czuł jakieś dziwne podekscytowanie. Strach wymieszany z czymś innym, czego nie umiał określić słowami. Atsah po przejściu kilkudziesięciu metrów wzdłuż rzeki, skręcił w las, więc on zrobił to samo. Tu już nie było ścieżki, więc co jakiś czas gałęzie uderzały go w twarz. Musiał osłaniać się dłońmi, ale wtedy nie widział, gdzie idzie, więc potknął się parokrotnie. W końcu las się skończył, a on stanął na małej polanie otoczonej wysokimi sosnami. Był tu też Atsah, który właśnie wyciągnął z plecaka dwie stojące lampy ogrodowe i wbił je w ziemię. Na polanie leżało kilka ściętych kłód, do których teraz podszedł Indianin. Sięgnął po siekierę i zaczął ociosywać jedną z nich z kory.

Ryan przyglądał się wszystkiemu zza jego pleców. Sam nie wiedział, czego się spodziewał, ale raczej nie tego, że Indianin bawi się w lesie w drwala. Żadnych trupów, nory do gotowania amfy, tylko gościu popylający z siekierką. Tylko po co? – zastanawiał się Ryan. Gdy Atsah wyprostował się i popatrzył na niego, aż drgnął. Było w nim coś dziwnego i nadal miał tę przeklętą siekierę w dłoni. Chłopak otarł drugą dłonią czoło i poprawił spadające włosy.

– Mówiłem, żebyś szedł do domu – zwrócił się do Ryana. – Nie boisz się? Nie słyszałeś plotek o mnie?

Plotki? Ryan przypomniał sobie, co mówiła Trish. Nie wierzył, aby Indianin naprawdę kogoś zabił. Wtedy nie wypuściliby go tak szybko, ale w każdej plotce kryło się przecież ziarno prawdy.

Indianin uśmiechnął się nieprzyjemnie. Może nawet trochę smutno.

– Naprawdę wyszedłem z poprawczaka – powiedział. – Idź do domu, słodziaku.

– Nie nazywaj mnie tak! – syknął na niego Ryan, choć nie było to najrozsądniejsze. Zabił, czy nie zabił, to jednak Atsah miał teraz w ręce siekiere. – Więc to jednak byłeś ty? Ty wypisujesz te gówna na moim murze? Jesteś pojebany.

Ryan czuł się teraz jak mały piesek sięgający człowiekowi do połowy łydki, który mimo to jeży się, aby wydać się większym. Tak właśnie się czuł. Jak mały, przestraszony piesek w cieniu dobermana. Piesek, który jednak miał swoją dumę.

– Nie odpuszczisz, co? – mruknął zrezygnowanym głosem Atsah. Znów poprawił spadające na twarz włosy wolną dłonią. – To o co chodzi z tym napisem?

– Bo ci powiem! – zachnął się Ryan. – A później, gdy powiesz coś, co cię wyda, stwierdzisz, że sam ci to powiedziałem.

Indianin wyduł usta i westchnął z boleścią. Zrobił młynek siekiere, co nie uszło uwadze Ryana, i wbił ją w jedną z kłód. Później na niej usiadł.

– No to powiedz mi, dlaczego sądzisz, że to ja – zaproponował, sięgając do skórzanej kurtki po paczkę papierosów.

– Bo to zaczęło pojawiać się mniej więcej w tym samym czasie, gdy ty się tu przeniosłeś.

– I to wszystko? – spytał Atsah z kpiną. Zapalił papierosa. Płomień zapalniczki na moment oświetlił jego twarz o ostrych rysach, rysując na niej nieprzyjemne cienie.

– To bardziej niż naciągane.

– Napis jest w języku nawaho.

– A skąd konkluzja, że ja go znam? – spytał Atsah, unosząc brew.

Dopiero teraz wydawał się zirytowany.

– No... – zaczął Ryan trochę mniej pewnym głosem niż dotychczas. – Jesteś Indianinem, prawda?

Atsah zaśmiał się pod nosem. Posłał chłopakowi litościwe spojrzenie.

– A ty kim jesteś? – spytał.

– Co? – zdziwił się Ryan. – Amerykaninem.

– Och, tak? Bardziej niż ja? Może powiesz mi jeszcze, że twoi przodkowie byli tu przed moimi?

– O co ci chodzi? – burknął chłopak. Ta rozmowa zaczęła skręcać w dziwnym kierunku. – Przestań wywijać kota ogonem i po prostu się przyznaj!

Atsah rzucił niedopałek w śnieg i przydeptał go butem. Wstał i wyciągnął siekiere wbitą w kłodę. Nim wrócił do pracy, obejrzał się jeszcze na chłopaka.

– Nie znam języka nawaho. Wiem, że uważacie się za panów świata i lubicie popisywać się ignorancją, ale istnieje wiele plemion indiańskich i nie wszystkie posługują się nawaho. Tak dla twojej informacji.

Ryan już sam nie wiedział, w co ma wierzyć. Gość był podejrzany, ale wieczory spędzał na okorowywaniu belek w środku lasu. Jakoś nie pasował mu na typka wypisującego jakieś pierdoły na czyimś murze. Wyglądał na samotnika. Jak już miał mordować, to pewnie po cichu. Z drugiej strony, wszystko układało się aż nazbyt zgrabnie. Ryan nie znał w mieście żadnego Indianina, który miałby grubo ponad metr osiemdziesiąt, bo w ogóle nie widział tu nigdy żadnego rdzennego Amerykanina.

Atsah miał rację. Zapadł już zmrok. Małą polanę rozświetlały lampy, ale pośród drzew był już tylko mrok. Człowiek ma zapisane w swoim kodzie genetycznym, najbardziej pierwotnych częściach mózgu, lęk przed nim. Bo nigdy nie wiadomo, co na ciebie czeka pośród mroku. I czy jest za tobą, czy przed tobą. Ryan obejrzał się za siebie, czując jak jego ciało obchodzą ciarki, a potem popatrzył na polanę. Tu przynajmniej wiedział, z czym ma do czynienia, ale wcale nie czuł się przez to lepiej. Sam już nie wiedział, co robić. Planował po prostu śledzić Indianina, aż nie przekona się, czy to on. Teraz jednak czuł się jak w klatce. Jak wróbel zamknięty w małej klatce wraz z orłem. Nawet nie był pewien, czy umiałby teraz znaleźć drogę powrotną.

Nagle poczuł na udzie wibracje telefonu. Zapomniał wyłączyć wyciszenia po wyjściu ze szkoły. Ryan zaczął się klepać po kieszeniach spodni, aby za chwilę uświadomić sobie, że schował go w kurtce. Spojrzał jeszcze w stronę Indianina, ale ten nawet się nie odwrócił. Nim odebrał, popatrzył na ekran. Dzwoniła jego mama. Ryan zupełnie o niej zapomniał z tego wszystkiego. Nacisnął zieloną słuchawkę i przystawił telefon do ucha.

– Boże, Ryan! – Usłyszał histeryczny głos matki. Wydawała się bliska płaczu. – Czemu nie odbierałeś tyle czasu?! Myślałam, że coś ci się stało! Gdzie ty w ogóle jesteś?!

Boże, jaki ze mnie debil, przeszło mu przez myśl. Matka była blisko płaczu. Jak mógł jej to zrobić? Przecież od śmierci ojca nie minął miesiąc. A miał przecież zachowywać się jak mężczyzna, jak to poradził mu Johnny.

– Byłem... – zaczął niepewien, co powiedzieć.

Nie był dobry w wymyślaniu kłamstw na poczekaniu. Prawdy przecież nie mógł powiedzieć.

– Wiem, że byłeś u Trish! – weszła mu w słowo matka. – Ona przynajmniej odbiera telefony. Powiedziała, że wyszedłeś kwadrans temu. Powinieneś być już w domu!

Ryan odetchnął. Na Pocahontas zawsze można było liczyć.

– Spotkałem kolegę – zmyślił. – Będę za pół godziny.

– Rozliczymy się w domu.

Matka pierwsza się rozłączyła. Jej głos ze zmartwionego przeszedł w zdenerwowany. W domu nie czekało na niego miłe powitanie, to pewne. Schował telefon do kieszeni i spojrzał w kierunku, z którego najprawdopodobniej przyszedł. Miał nadzieję, że się nie zgubi. Drgnął, gdy nagle stanął przy nim Atsah. Kolesz naprawdę wydawał się Ryanowi wielki, chociaż on sam nie należał do mikrusów.

Indian wyciągnął z kieszeni małą latarkę.

– Chodź – rzucił jedynie, nawet nie patrząc na Ryana i zaczął iść leśną ścieżką.

Chłopak patrzył na niego chwilę skołowany, ale w końcu ruszył za nim. Atsah nawet się na niego nie oglądał, aby sprawdzić, czy Ryan naprawdę za nim podąża, ale po kilkunastu minutach stali już na ulicy koło domu Indianina.

– Chyba stąd trafisz, czy odprowadzić cię pod same drzwi? – spytał, robiąc pobłażliwą minę.

Jeszcze dodaj, że jak dziewczynę, syknął w myślach Ryan. Czuł się upokorzony.

– Obejdzie się – odparł sucho. – I nie chcę, żebyś wiedział, gdzie mieszkam. Chociaż to i tak już wiesz, co nie?

– A ty znowu o tym? – westchnął Atsah. – Znajdź sobie jakieś inne hobby. I nie chodź po ciemku po lesie, bo jeszcze spotkasz jakiegoś świrusa.

– Takiego jak ciebie? – prychnął Ryan.

Atsah jedynie zaśmiał się pod nosem i ruszył z powrotem do lasu. Ryan parzył za nim, aż jego sylwetka zupełnie nie zniknęła w mroku. Gdy wrócił do domu, matka zrobiła mu pogadankę. Skończyło się na szlabanie na tydzień. Na szczęście nie płakała, bo tego by nie wytrzymał.

Szlaban utrudniał sprawy. Dalej nie wiedział, kto robił te napisy. A raczej, nie udało mu się przyłapać tego nowego na gorącym uczynku. Gdy wracał do domu, na murze nie było jeszcze napisu. W końcu dochodziła dopiero dwudziesta pierwsza, a zamaskowany typek pojawiał się późno w nocy. Dziś Ryan postanowił na niego nie czekać, tylko wcześniej położyć się spać. Nie chciał dodatkowo denerwować mamy. Był też zmęczony. I tak przecież zostało jeszcze sto siedemdziesiąt pięć dni, do tego, co miało nadejść. Cokolwiek miało to być.

Ryan napisał jeszcze wiadomość do Trish, dziękując za uratowanie tyłka i położył się spać. „Zabiję” – to jedno słowo, które udało mu się rozszyfrować, nie pozwalało mu zasnąć. Co? Kogo? Dlaczego? Tyle pytań i żadnych odpowiedzi.

* * *

Trish odpisała na wiadomość i odrzuciła telefon z powrotem na pościel. Siedziała na łóżku z laptopem na kolanach. Przeglądała folder ze zdjęciami, które udało jej się zgromadzić w ciągu ostatnich miesięcy. Była już prawie pewna.

Ściany domu były cienkie, więc wyraźnie usłyszała, jak tata wychodzi ze swojego biura i kieruje się do sypialni. Mijał przy tym pokój Trish. Jak co wieczór zatrzymał się przy nim i zapukał.

– Tylko nie siedź za długo – rzucił przez drzwi.

– O Boże, tato – jęknęła Pocahontas. – Mam średnią cztery osiemdziesiąt dziewięć i zawsze przechodzę na zielonym świetle. Jestem dzieckiem doskonałym.

Usłyszała przez ścianę gardłowy śmiech swojego ojca.

– A kogo rodziców w tym roku szkolnym wzywano już dwukrotnie do dyrekcji? – spytał mężczyzna. W jego głosie dało się wyczuć nutę rozbawienia.

Trish przewróciła oczami, chociaż tata nie mógł tego zobaczyć.

– Ale to nie dlatego, że chlałam, ćpałam albo robiłam inne rzeczy. Bo to robią wszyscy, więc przymyka się na to oko. Jak ktoś jest indywidualistą, wyłamuje się z szeregu, to od razu chcą go utemperować. Ostrugać według jednego wzorca. Niech sam nie myśli, płaci podatki i żyje w ułudzie.

– No, cóż. Nie mogę powiedzieć, że nie ma w tym sporo racji, ale może powstrzymaj te swoje komentarze na lekcjach. Szczególnie na historii. Nauczycielka już chyba nabawiła się traumy na całe życie.

Trish prychnęła z oburzeniem.

– Że niby mam się poddać systemowi? Babsztyl nazwał żołnierzy z Iraku bohaterami narodowymi.

– I jak cię tu nie kochać? – Zaśmiał się mężczyzna. – No, dobrze. Tylko idź spać o jakiejś przyzwoitej godzinie.

Trish odłożyła laptopa na biurko i wróciła do łóżka. Ułożyła sobie poduszki pod głową. „I jak cię tu nie kochać?”. Ojciec niekiedy potrafił wypalić czymś takim w ni z gruchy, ni z pietruchy. Czyli to naprawdę ważne, kto wychował, a nie kto urodził? – pomyślała. Trish nie lubiła szkoły, ale wiedzę już tak. Dobre oceny były raczej efektem ubocznym jej ciekawości świata niż celem samym w sobie. I przez tą wrodzoną dociekliwość dość wcześnie zdała sobie sprawę, że jeśli oboje twoich rodziców to blondyni z niebieskimi oczami, to ty nie możesz mieć czarnych włosów i oczu.

Rodzice byli na to przygotowani. Wymusili na Trish udział w kilku sesjach z psychologiem, a po jej naciskach zezwolili nawet na spotkanie z jej biologiczną matką. Pocahontas spodziewała się jakiegoś wraka i to też ujrzała. Kobieta koło czterdziestki, która nic w życiu nie osiągnęła i nadal pracowała jako kelnerka w pizzerii. Przez uzależnienie od alkoholu i narkotyków odebrano jej prawa rodzicielskie, gdy Trish miała dwa lata. Dziewczyna szybko doszła do wniosku, że raczej nie po niej odziedziczyła inteligencję, a nawet wygląd. Biologiczna matka usilnie jednak omijała temat ojca Trish. Dziewczyna miała się już poddać, ale pewnego razu, gdy znów do niej pojechała, przypadkowo w odwiedzinie wpadł ktoś jeszcze. Mianowicie,

przyjaciółka matki z dawnych lat. Ona znacznie lepiej poradziła sobie w życiu, miała swoje własne studio tatuażu. I była też znacznie bardziej wylewna.

Opowiedziała Trish o czasach młodości spędzonych wraz z biologiczną matką dziewczyny na wiecznym balowaniu. Obie kobiety były rasowymi *groupies* z prawdziwego zdarzenia. Bez stałej pracy, czy planów na życie podążały za zespołami rockowymi. Imprezowały razem z muzykami, uprawiały z nimi seks i przyjmowały narkotyki. Otrzeźwienie przyszło dopiero, gdy matka Trish uświadomiła sobie, że jest w ciąży.

Tatuażystka pokazała nawet dziewczynie pudło z pamiątkami z tamtych lat. Było tam mnóstwo zdjęć, a na odwrocie każdego rok i miesiąc jego wykonania. Trish szybko przekalkulowała w głowie daty, w końcu miała piątkę z matematyki. W pudle wygrzebała zdjęcia z odpowiedniego miesiąca. Podobieństwo było aż zaskakująco uderzające. Że też wcześniej o tym nie pomyślała.

Gdyby nie ten trochę zbyt wyrazisty nos i czarne oczy śmiało mogłaby grać Arwenę we „Władcy Pierścieni”. Nawet jej lekko spiczaste uszy pasowały. Trish ułożyła się do snu i nim zgasła nocną lampkę, spojrzała jeszcze raz na plakat powieszony na ścianie. Ryan w swoim pokoju miał dokładnie taki sam, bo razem je wybierali. Trish mimowolnie sięgnęła dłonią do swojego nosa. Naprawdę byli podobni.

* * *

Santa Boy nie mógł zasnąć. Z krótkiej trasy po Południowej Ameryce, głównie Meksyku, udali się od razu do domu matki Saszy. To ona zajmowała się Szczęściarzem, który wciąż umierał z samotności bez swojego pana, pod ich nieobecność. Kobieta oczywiście ugościła ich kolacją, na której jej partner, Greg, postanowił się oświadczyć. Radości oczywiście nie było końca, Sasza bardzo starał się nie płakać, co słabo mu wychodziło, a Santa przyglądał się wszystkiemu z boku, popijając starą whisky. Butelkę z piwnicy przyniósł Greg. Powiedział, że trzymał ją od dwudziestu lat jako przestrożę, ale teraz już jej nie potrzebuje. On i Susanne w ogóle nie pili, Sasza był zbyt zaoferowany całą sytuacją, więc to głównie Santa Boy sączył wiekowy trunek ze szklanki wypełnionej lodem.

Noc spędzili w domu matki Saszy, w pokoju chłopaka. Santa Boy był zbyt długi i zbyt szeroki, aby wygodnie ułożyć się na wąskim łóżku. Dodatkowo miał w zwyczaju zasypiać na boku, a teraz nie miał takiej możliwości. Leżał więc na plecach i gapił się w sufit. Sasza spał doklejonny do jego boku, z jakiegoś powodu kurczowo trzymając się jego koszuli, jakby Santa miał gdzieś uciec. Do boku Saszy zaś przyklejony spał Szczęściarz. Pies, który zwykle potulnie spędzał noce w swoim kojcu, dziś tego odmawiał. Musiał być przy Saszy. Do tego wszystkiego Santę ogarnęło i nie chciało opuścić dziwne przeczucie. Przeczucie, że coś się stanie i to coś niedobrego. Teraz Santa rozumiał, o co chodziło Saszy, gdy po tym jak się zeszli, mówił o przeczuciu, że „się spieprzy”. To było dokładnie to.

– Nie śpisz? – spytał zaspanym głosem Sasza.

– Nie – odparł Santa, dotykając palcami jego policzka – bo czuję się jak dolna kromka w kanapce i to nie jest fajne uczucie.

– To ja kim jestem w tej kanapce? – spytał rozbawiony Sasza.

– Cienkim plasterkiem dietetycznej, beztłuszczowej szynki – odparł muzyk.

– Aha. A Szczęściarz?

– Kawalkiem masła, które komuś spadło na ziemię i teraz jest całe w kudłach.

Santa Boy poczuł drżenie przyciśniętego do niego ciała chłopaka, gdy ten dusił śmiech.

– Zdaje mi się, że masło jednak daje się na spód kanapki, a nie na górę.

– Nie moja wina, że ktoś nie umie zrobić pieprzonej kanapki – prychnął muzyk.

– I jeszcze ścierpło mi ramię, bo zrobiłeś sobie z niego poduszkę.

Sasza uniósł się, aby przesunąć się trochę w bok, ale Santa Boy mu na to nie pozwolił. Przycisnął jego głowę z powrotem do swojego ciała.

– Leż – powiedział.

Sasza uśmiechnął się i ułożył inaczej, aby bardziej trzymać głowę na klatce piersiowej Santy niż ramieniu. Rękę przerzucił przez jego tułów. Był zadowolony. Leżeli tak w ciszy, przytuleni do siebie. Santa Boy powoli wodził palcami po jego odsłoniętej skórze ramienia.

– Więc twoja matka wychodzi za mąż – rzucił w pewnym momencie.

– No – odparł Sasza – aż trudno uwierzyć.

– Dlaczego? – zdziwił się muzyk.

Sasza wzruszył ramionami, na ile pozwalała mu pozycja, w której leżał.

– Bo to takie normalne? – zasugerował.

Santa palcami zawędrował wzdłuż nagiego przedramienia Saszy, aż do jego dłoni.

– Normalne – powtórzył, powoli obrysowując serdeczny palec chłopaka.

Rozdział 4

Trish stanęła przed murkiem okalającym posesję Nortonów i przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, żując przy tym gumę. Dochodziła dziesiąta rano, a napis wciąż na nim był, więc Ryan nie wychodził dzisiaj z domu. W końcu była sobota, więc nie musiał wcześniej wstawać, no i pewnie dostał szlaban od matki.

– Sto siedemdziesiąt pięć – przeczytała na głos.

Zostało sto siedemdziesiąt pięć dni. Tylko do czego? – pomyślała.

Gdy jej wzrok powędrował w dół muru, zauważyła, że do cienia rzucanego przez jej ciało dołączył kolejny, znacznie większy. Obejrzała się za siebie. To był Atsah. Wyglądał tak samo dziko jak zwykle. Może przez te niedokładnie uczesane włosy, a może czarną, skórzaną kurtkę z licznymi, metalowymi sprzączkami. A może przez te skośne, doskonale czarne oczy. A może przez to, co się w nich kryło.

– Więc to jednak ty? – spytała.

– Nie – odparł Indianin, ale zaraz bez oporów dodał: – Śledziłem go wczoraj.

– Bo?

Na to pytanie Trish nie uzyskała już odpowiedzi. Spojrzała znów za siebie, wprost na twarz Indianina.

– Martwiłeś się, czy nic mu się nie przytrafi? – domyśliła się. Wywołało to u niej lekki uśmiech. – Jakże zaskakująco urocze.

Atsah i tę kwestię skwitował milczeniem.

– Mieszkam tu krótko, ale trudno nie wyczuć tego w powietrzu – powiedział za to. – Coś się szykuje. Coś się stanie. Atmosfera tego miasta jest specyficzna.

– Ta – mruknęła Trish, znów patrząc na napis. Czowała to samo. – Umiesz to odczytać?

Chłopak przecząco pokiwał głową.

– Moja matka знаła nawaho, ale ojciec zabronił jej mnie uczyć – odparł. – Chociaż...

Zbliżył się do muru i dotknął go dłonią w miejscu jednego z wyrazów.

– Zabiję – powiedziała Trish. – Znaczenie pewnych słów jest oczywiste niezależnie od języka. To ciekawe, że zwykle oznaczają miłość i śmierć.

W tym momencie przed bramą posiadłości Nortonów zatrzymał się stary Passat. Wysiadł z niego wysoki mężczyzna koło trzydziestki. Wyglądał na typowego luzaka. To musi być wujek Ryana, pomyślała Trish. Wyciągnął z kieszeni spodni klucze i otworzył bramę. Chyba dopiero teraz dojrzał stojącą obok dwójkę nastolatków. Wydawał się bardzo zmęczony.

– My do Ryana – odezwała się pierwsza dziewczyna. – Jestem Trish, a to Atsah.

Johnny zmierzył ich zaspianym spojrzeniem. Dwunastogodzinna zmiana i dwie godziny spędzone na rozpakowywaniu i układaniu porannej dostawy dały mu się mocno we znaki.

– Nawet nie musisz się wysilać, aby padli ci do kolan, co? – zagadnął długowłosa dziewczynę. – Śmiało, nacierajcie.

Trish kiwnęła na Atsah, żeby ten poszedł za nią. Wyminęli Johnny'ego i udali się do domu. Mężczyzna spojrzał na oddalającego się Indianina, a potem na napis na murze. Kilka razy widział, jak ktoś się tu kręcił, ale nie zwrócił na to większej uwagi. Ktoś, zapewne Ryan, zmazywał też napis co rano, więc do tej pory nie miał szansy dokładniej się przyjrzeć. Kto by pomyślał, że dalej się w to bawią? – przemknęło mu przez myśl.

Od jego wyjazdu w mieście nie zmieniło się aż tak dużo. Dalej nachodziły tu na siebie strefy wpływów dwóch gangów, a przez to co pewien czas sypały się iskry. W liceum Johnny należał do młodzieżówki jednego z nich. Sprzedawali narkotyki, czasami za pomocą kija bejsbolowego przypomnieli komuś, kto tu rządzi, i rozbijali się motocyklami po mieście. Jakoś tak się złożyło, że przywódcy obu, konkurujących ze sobą grup zbuntowanych dzieciaków, mieli korzenie indiańskie. Dlatego oznaczali swoje terytorium za pomocą napisów w języku nawaho, które dyskredytowały członków, a przede wszystkim szefa drugiego z gangów. Większość dzieciarni nie znała tego języka, ale mieli zapisane gotowe zwroty.

Tak, jak sądził. Wrócenie tutaj było złym pomysłem. Nie mógł jednak odmówić rodzicom w obecnej sytuacji. Był teraz ich jedynym synem. Wracał tu z nadzieją, że po tylu latach przeszłość nie będzie się za nim ciągnąć. Może był zbyt naiwny. Przyjrzał się uważnie napisowi. Nie wiele już pamiętał.

– Za sto siedemdziesiąt pięć dni... zabiję... wszystko – odczytał z trudem. – Nie... Zabiję wszystkich...

Tu następowała dłuższa część, której nie rozumiał. Zapewne znajdowało się tam jakieś ultimatum.

– W szkole – dokończył.

„Za sto siedemdziesiąt pięć dni zabiję wszystkich w szkole”. Coś mu tu nie pasowało. Za pomocą Internetu w telefonie wyszukał kalkulator dat. Trzynasty sierpnia? – zdziwił się, gdy ujrział wynik. To środek wakacji i szkoła będzie wówczas świeciła pustkami. To się ze sobą nie kleiło. Z resztą, większość tych pogroźek i tak nie miała pokrycia w rzeczywistości. To było tylko puste szczekanie zdeprawowanych szczeniaków.

Zazwyczaj.

* * *

Otworzyła im matka Ryana. Wyglądało na to, że się gdzieś śpieszyła. Miała na sobie elegancki komplet i chyba dzwonek do drzwi przeszkodził jej w robieniu makijażu. Na to właśnie wskazywało jedno pomalowane oko.

– Och, Trish, to ty. Przykro mi, ale Ryan ma szlaban. Nie możecie go odwiedzić – powiedziała, spojrzeniem wędrując od koleżanki jej syna do wysokiego chłopaka stojącego za nią.

– Naprawdę chce mu pani to robić właśnie teraz? – spytała dziewczyna.

Kobieta spojrzała na nią zdziwiona.

– Co masz na myśli? – zapytała.

– Czy naprawdę chce pani, aby Ryan siedział teraz zamknięty w tej swojej jaskini? Czy to na pewno najlepsza pora, żeby był sam? Wtedy ludzie zaczynają myśleć, rozpamiętywać różne rzeczy, a jemu raczej nic dobrego z tego nie przyjdzie. Chyba rozumie pani, o czym mówię?

– Trish, nadajesz się na polityka – stwierdziła kobieta, uśmiechając się. Przepuściła ich w progu. – Tylko nie wykombinujcie czegoś głupiego. A ty, chłopcze, jak się nazywasz? Chyba nigdy wcześniej cię nie widziałam.

– To Atsah – odparła za niego Trish, nim Indianin zdążył otworzyć usta. – Niedawno się tu przeniósł. Zabrałam go, bo lubimy te same rzeczy.

Matka Ryana wytłumaczyła, że musi przygotować się do wyjścia i poszła do swojego pokoju. Gdy ściągali w korytarzu kurtki, minął ich jeszcze Johnny, który udał się prosto do kuchni. Trish kiwnęła na Atsah, żeby szedł za nią. Czuła się w tym domu prawie jak u siebie.

– Lubimy te same rzeczy? – zagadnął chłopak, gdy spinali się po schodach na pierwsze piętro.

– Mama Ryana pewnie pomyślała o muzyce – odparła Trish, patrząc na niego z uśmiechem na ustach.

Atsah także się uśmiechnął.

– A dlaczego ja tu jestem? – spytał. – Ryan raczej nie będzie zadowolony.

– Przełknij to – stwierdziła dziewczyna.

Ryan zamiast przełknąć kolejny kęs kanapki, prawie się zakrztusił, gdy na poddasze po Trish wszedł także Atsah.

– Co on tu robi?! – spytał, gdy napił się herbaty i udało mu się połknąć to, co miał w ustach.

– Stoi? – odparła dziewczyna, która sama zdążyła się już rozgościć, czyli usiąść na zaścielonym łóżku. – Właśnie, dlaczego stoisz? Siadaj.

Poklepała miejsce obok siebie. Atsah skorzystał z propozycji, nie przejmując się oburzeniem wymalowanym na twarzy Ryana.

– No właśnie, nie siadaj! Trish, po co go tu przyprowadziłaś, co? On jest niebezpieczny!

– Ja tam się czuję przy nim bardzo bezpiecznie – zbyła go dziewczyna. – Ty chyba też. W końcu nie zabił cię w tym lesie, a nawet odprowadził.

Ryan się poddał. Dyskusowanie z Trish nie miało sensu. I tak się nie wygra. Wymała usta z resztek kanapki i odwrócił się na obrotowym krześle w ich stronę. Cieszył się, że zdążył się już przebrać z piżamy. Przy tym, bardziej wstydził się Indianina niż swojej najlepszej przyjaciółki.

– To o co chodzi? – spytał zrezygnowany. – Wiem, że przyszedłeś tu z jakimś planem.

– Tak, i kilka minut temu jeszcze nie był kompletny, ale spotkałam jego. – Założyła nogę na nogę i palcem wskazała na siedzącego obok Atsah. – I już jest. Od czego by tu zacząć? Może od tego, że na dziewięćdziesiąt procent namierzyłam mojego ojca.

– Co? – zdziwił się Ryan. – Twój tata jest chirurgiem-dentystą i teraz pewnie wrywa komuś zęba w swoim gabinecie.

– Mówię o moim biologicznym ojcu.

Ryan cieszył się, że postanowił nie kończyć śniadania, bo na sto procent zakrztusiłby się po raz drugi. Spojrzał na Trish zszokowany, która natomiast jak gdyby nigdy nic strzepnęła jakiś pyłek ze swojej koszuli. Nawet Atsah wydawał się poruszony.

– Czy ja powinienem być przy tej rozmowie? – spytał.

– Mówiłam, że jesteś częścią planu – odparła dziewczyna. – Ryan, zamknij już te usta, bo coś ci wpadnie. I chodźcie tutaj.

Z torby wyciągnęła swojego małego, bardzo płaskiego laptopa, który, jak sprawdził Ryan, kosztował małą fortunę, i usiadła na podłodze. Chłopacy popatrzyli po sobie niepewnie i zrobili to samo. Trish poprawiła jeszcze włosy i opowiedziała im całą historię oraz pokazała zgromadzone zdjęcia.

– Zaraz, zaraz – przerwał jej w którymś momencie Ryan. – Serio uważasz, że Santa Boy jest twoim ojcem? To trochę nieprawdopodobne. Jeśli twoja biologiczna matka naprawdę była... Sama wiesz, to może to być ktokolwiek. Nawet niekoniecznie członek zespołu.

Dziewczyna podniosła się i stanęła pod ścianą obok plakatu High Death. Ryan nie mógł zaprzeczyć, że podobieństwo było bardzo duże. Trish miała takie same, ciemne i głęboko osadzone oczy, linię brwi, a przede wszystkim kształt nosa. Ogólnie jej twarz wyglądała jak złagodzona, żeńska wersja tej należącej do Santy Boy'a.

– Może...

– To otwórz następny folder.

Ryan spojrział na ekran laptopa. Rzeczywiście był tam jeszcze jeden folder, którego wcześniej nie przeglądali. Wszedł do niego i po otwarciu pierwszego z brzegu zdjęcia, do razu tego pożałował. Zatrzasnął klapę.

– Boże... To Santa Boy i...

– I moja matka – dokończyła za niego Trish. – W sytuacji, nazwijmy to, intymnej.

– Ale czy on nie jest przypadkiem gejem?

Trish wzruszyła ramiona i wróciła do nich, na podłogę.

– A jakie to ma znaczenie? – spytała. – Myślisz, że jak był na gazie, to mu zależało w czyją dziurę wkłada?

– Nie mów tak o swojej matce. – Skrzywił się Ryan.

– Taka prawda.

Ryan nie wiedział, co powiedzieć. Wystarczająco zaszokował go już sam fakt, że Trish była adoptowana. Jej rodzice, odkąd tylko pamiętał, byli tacy zakręceni na jej punkcie. Zawsze jej zazdrościł. Chociażby tego, że co roku jeździli razem na wakacje. Już pomijał fakt, że rodzice Trish byli też bardzo nadziani.

– No, okej – sapnął. – Ale właściwie jaki jest cel tego, że nam to powiedziałaś?

Trish odchyliła się do tyłu, zapierając się na dłoniach. Kiedy się uśmiechnęła, na jej policzkach pojawiły się dołeczki.

– Chcę do niego pojechać – oznajmiła.

– Spotkać się z nim? Niby po co?

– Jakby był jakimś przeciętnym nieudacznikiem, to by mi nie zależało. No ale to Santa Boy. Czujesz to, Ryan? Santa Boy jest moim starym. – Zaśmiała się Trish. – Przynajmniej już wiem, po kim jestem taka ześwirowana. Nic od niego nie chcę. Mam już rodzinę i kilka lokat w banku. Po prostu jestem ciekawa i to będzie zajebista przygoda. Prawdopodobnie pomimo tego, co mówię, i tak skończę jako dentystka. Chcę coś przeżyć, póki mam jeszcze czas. I chcę zabrać was ze sobą.

– Zabrać gdzie? – spytał Atsah, który do tej pory tylko przysłuchiwał się rozmowie. – Wiesz, gdzie on mieszka?

– Gwiazdy chyba pilnują swojej prywatności – dodał Ryan.

– Cóż, tajemnicą nie jest to, że mieszka w Austin. Tę informację łatwo znaleźć w necie. Nie mam dokładnego adresu, ale... – Trish wyświetliła na komputerze zdjęcie zrobione przez fotoreportera. – Jak się okazało, że jest gejem, to trochę za nim gonili. Ta fota podobno została zrobiona przed jego mieszkaniem.

– Widać tu tylko kawałek budynku – zauważył Ryan. – Wiesz, gdzie to dokładnie jest?

– Nie, ale jak już będziemy w Austin, to się od kogoś dowiemy.

– Genialny plan – skwitował chłopak.

– Wystarczająco dobry. W każdym razie, jesteśmy niepełnoletni, więc samolotem nie możemy polecieć. Zostaje nam podróż samochodem. Do przejechania mamy kilka stanów, więc potrzebujemy drugiego kierowcy, czyli jego. – Trish wskazała na Atsah. – Masz prawo jazdy? Ja mam zbyt poważną wadę wzroku, aby dostać stałe, a ciągle chodzenie na komisję lekarską uznałam za zbyt upierdliwe.

– Mam.

– Zaraz! – wtrącił się Ryan. – Po pierwsze, chcesz zabrać jego?! Oszalałaś? A po drugie, wiesz, ile zajmie dotarcie do Teksasu? Jak zamierzasz to wytłumaczyć rodzicom? I co ze szkołą?

Trish wzruszyła ramionami.

– Nic – odparła. – Twoją matkę przekonam, że potrzebujesz zmiany otoczenia. W szkole nic ci nie zrobią, bo jesteś *w tej sytuacji*. Moi starzy mają sześć gabinetów dentystycznych, więc o moją przyszłość nie musisz się martwić. I coś mi mówi, że Atsah za bardzo nie zależy na budzie.

– W sumie... – przyznał jej rację Indianin.

– Pięknie to sobie ułożyłaś, ale...

Ryan nie skończył, bo Trish zamknęła swojego laptopa i wstała z podłogi. Otrzepała jeszcze dżinsy.

– Nie ma żadnego „ale” – powiedziała. – Jedziesz lub nie. Jeśli tak, to ja ogarniam kasę i prowiant, a wy wykombinujcie samochód. Jeśli nie, to ominie cię zapewne jedyna szansa na spotkanie Santy Boy’a twarzą w twarz. Przecież uwielbiasz High Death.

Atsah też się uniósł. Chyba rozumiał, o co tu chodziło. Nawet on słyszał o śmierci Teda Nortona. Pocahontas z pewnością chciała spotkać swojego biologicznego ojca, ale było też drugie dno całej tej wyprawy. Miała zająć myśli Ryana. Trish była dobrą przyjaciółką.

– Jeśli pojedę z wami, a napis wciąż będzie się pojawiał, to będzie dowód, że to nie moja sprawka – stwierdził Atsah. – Ja się piszę. A ty, słodziaku? Tchórzysz, czy nie?

Tak, jak się spodziewał, na twarzy Ryana, dotąd wyrażającej jedynie powątpiewanie, pojawiły się emocje. Wyprostował się jak struna i z żądzą mordy spojrzał na Indianina.

– Mówiłem, żebyś mnie tak nie nazywał! – syknął. – Oczywiście, że pojedę, bo nie mogę wam pozwolić jechać we dwójkę. Nie wiadomo, co ci przyjdzie do głowy.

Atsah uśmiechnął się pod nosem.

– No i dobra – skwitował. – To ja się zbieram.

– Spoko – powiedziała Trish. – Przyjdź w poniedziałek do szkoły, to obgadamy szczegóły.

Ryan odprowadził Indianina wzorkiem. Nie podobało mu się to wszystko. To, że tak zbliżył się do Trish, a raczej, że to ona wciągnęła go do ich spraw. Nic nie wiedzieli o tym facecie, który dopiero co opuścił zakład poprawczy.

– No i co się tak patrzysz? – spytała Pocahontas. – Dobrze wiesz, że to nie on. To typ samotnika, nie bawiłby się w takie duperele, gdyby chciał rzeczywiście kogoś zabić. Po prostu by to zrobił. No, ale widziałam, że nie zmaszałeś dzisiaj napisu. Dobrze, że sobie odpuściłeś.

– Nic sobie nie odpuściłem – zaprzeczył Ryan. – Nie wiem, o co w tym chodzi. Może to rzeczywiście nie ma związku ze mną, a może wręcz przeciwnie. W końcu ktoś zaczął to wypisywać, gdy zginął mój ojciec.

Trish zaplotła ręce na piersi. Zmarszczyła brwi.

– Masz rację, że dochodzi tu do pewnej zbieżności, ale mylisz się, co do sytuacji – stwierdziła. – Kiedy dowiedziałam się o wypadku, byłam w twoim domu i

niczego nie widziałam. Napis nie pojawił się wtedy, a gdy przyjechał twój wujek. Myślę, że to dotyczy jego i jemu powinieneś to zostawić.

– Ale jego nie było tu przez kilkanaście lat.

– Właśnie. Wyjechał z miasta, gdy był jeszcze w liceum, prawda? Ale dlaczego? – zastanawiała się Trish. – Dziadkowie nigdy ci nie powiedzieli, prawda? I gdzie on był przez te wszystkie lata i co robił? Tyle pytań i zero odpowiedzi. Nie czujesz, że jest tu coś nie tak?

Niedługo potem Trish pożegnała się z Ryanem. Dała mu weekend na przemyślenie sprawy i zdecydowanie, czy chce wyruszyć z nią w „podróż życia”, jak to nazwała. Gdy zeszła po drabinie na pierwsze piętro domu, poprawiła swoją czarną koszulę i przejrzała się w naściennym lustrze. Mogła się podobać i dobrze o tym wiedziała. Gdy trzeba było, potrafiła to też wykorzystać. Koszula, którą dziś nałożyła, wzdłuż zapięcia na guziki, po obu stronach, miała wszytą koronkę. Drobnym, czarnym ażur nie odsłaniał wiele, ale pobudzał wyobraźnię. Mężczyźni pomiędzy oczkami starali się dopatrzeć czegoś więcej niż tylko skraju stanika. Dziś jednak Trish sugestywnym spojrzeniem obdarzył jedynie Johnny.

* * *

Najlepszym słowem określającym jego stan było znużenie. Dwanaście godzin siedzenia za ladą sklepu dało mu popalić, ale nie był fizycznie zmęczony. Może dlatego sen nie chciał nadejść. Była jeszcze jedna rzecz, która nie pozwalała Johnny’emu zasnąć. To przecucie. Nie, po co się okłamywać? On już to wiedział. Niepotrzebnie tu wracał.

W końcu udało mu się zasnąć na parę godzin. Obudził go głód, w pracy zjadł tylko kilka batoników. Gdy wszedł do kuchni, zastał tam Jennifer przygotowującą późny obiad. Miała na sobie żakiet, więc musiała niedawno wrócić do domu.

– Myślałem, że pracę zaczynasz dopiero od poniedziałku.

– Och, Johnny. – Kobieta obróciła się w jego stronę. – Ach, tak. Dzisiaj byłam na spotkaniu komitetu rodzicielskiego w liceum Ryana. Wiesz, szkoła wymaga

remontu, ale miasto nie ma funduszy, więc postanowiliśmy zorganizować zbiórkę. Będzie kiermasz, gry, zabawy i tak dalej.

– Brzmi fajnie – odparł mężczyzna, otwierając szafkę w poszukiwaniu kawy.

– Prawda? Do tej pory wszystko było jeszcze niepewne. Sama organizacja czegoś takiego już wymaga dużych pieniędzy, ale zgłosił się jakiś anonimowy darczyńca. Pomoże w organizacji i wpłacił już pieniądze na konto zbiórki.

Johnny'ego coś tknęło.

– Kiedy będzie ta impreza? – zapytał.

– Większość zawodów i tak dalej będzie na boisku, więc gdy się ociepli. Planujemy gdzieś w połowie sierpnia.

Przypomniał sobie, jak rodzice wspominali, że jego rzeczy ze starego domu leżą w kartonach w garażu. Nic nie tłumacząc Jennifer, wyszedł pośpiesznie z kuchni i udał się właśnie w tamto miejsce. Nie zalał nawet swojej kawy, mimo że woda w czajniku już się zagotowała.

Szukając notesu, wyrzucał z pudeł swoje stare ubrania, książki i inne gadzety, nawet nie patrząc, gdzie upadły lub czy się nie uszkodziły. Z każdym kolejnym kartonem tracił nadzieję i był coraz bardziej zdenerwowany. W końcu znalazł go na samym dnie, wcisnięty między płyty. Mały, zniszczony notes. Niektóre z jego zżółkniętych stron pobrudzone były krwią. Po latach straciła swój intensywny kolor.

Zabrał go i podszedł do muru. Napis wciąż na nim był.

– Za sto siedemdziesiąt pięć dni zabiję wszystkich w szkole, jeśli co?! – warknął, wertując kolejne strony.

W notesie miał zapisane zwroty w języku nawaho, których używali przy robieniu graffiti, gdy był w gangu. Dwa razy sprawdził wszystkie strony, ale nie znalazł tam żadnej odpowiedzi. Nie miał pojęcia, jak przetłumaczyć dalszą część napisu.

– Kuźwa, dlaczego to znowu się dzieje?! – sapnął.

Nawet nie wiedział, o co się zaczepić. Z czyjego rozkazu powstawał ten napis? O który z dwóch gangów chodziło? Wiedział, że dzisiaj nie uda mu się już zasnąć, a czekała na niego kolejna nocna zmiana. Wszystko znów się pieprzyło.



Blisko północy do sklepu przyszedł znowu ten wyszczekany dzieciak. Tym razem był sam. Nie kręcił się między półkami jak ostatnio, tylko od razu podszedł do lady. Oparł się o nią dwoma łokciami i zawiesił swój roześmiany wzrok na Johnny'm, przygryzając przy tym jeden z palców.

– Przecież już sobie ustaliliśmy, że nie sprzedam wam alkoholu – powiedział Norton, patrząc na dzieciaka zmęczonym wzrokiem.

Dziś nie miał humoru na te głupie gierki.

– Piwo nie było moim celem nawet za pierwszym razem – przyznał chłopak, uśmiechając się zadziornie. – Coś dzisiaj jesteś w niehumorze, wujaszku. Mógłbym cię trochę rozluźnić. Najpierw spać, a potem rozluźnić.

– Rodzice wiedzą, co wyprawiasz po nocach? – spytał Johnny. Zaraz jednak coś mu przyszło do głowy: – Handlujesz trawką, prawda? Wyglądasz mi na takiego spryciarza.

Blondyn wydał usta i zniechęcony położył głowę na ladzie, przylegając do niej policzkiem.

– Akurat nie to miałem na myśli – odparł jękliwie. – Mam wiele więcej do zaoferowania.

– To oferuj komuś innemu – zbył go Johnny. – Jak wysoko jesteś w hierarchii? Masz bezpośredni kontakt z kimś z gangu? Współpracujesz z White Emperors czy z The Outlaws? To ważne.

– Ło! skąd te pytania? Bo pomyśle, że jesteś jakimś tajniakiem. – Zaśmiał się chłopak, unosząc się z powrotem.

Johnny wstał zza lady i podciągnął rękaw swetra. Jego przedramię oplatał tatuaż złotozielonego węża z otwartą paszczą.

– Zrezygnowałem już dawno – wytłumaczył. – Nie było mnie w mieście przez kilkanaście lat, ale teraz potrzebuję porozmawiać z kimś z góry. Jeśli masz jakieś doświadczenie, to powiedz.

Dzieciak po raz pierwszy wyglądał, jakby stracił trochę rezonu. Patrzył na misternie wykonany tatuaż z czymś z pogranicza obawy i zafascynowania.

- Omijam tereny Banitów – wytłumaczył po chwili.
- To nawet lepiej. Wiesz, gdzie spotykają się ważniaki z Emperors?
- Może wiem, ale... Czy będę miał przez to przesrane?

Johnny naciągnął z powrotem rękaw.

- To moja sprawa.
- A czy ty, wujaszku, będziesz miał przez to przesrane?
- Prawdopodobnie – odparł Johnny, wyciągając z szuflady klucze od sklepu

i samochodu.

Wyszedł zza lady i kiwnął na blondyna.

- Pokażesz mi.
- No nie wiem – odparł chłopak, nie idąc za nim. – To nie w moim stylu, robić sobie kłopoty za darmo.

Johnny odwrócił się do niego przodem i posłał mu uśmiech. Kiedy to robił, mrużył lekko zielone oczy.

- Jeśli mi pomożesz, pokażę ci inne moje tatuaże – zaproponował.

Rozdział 5

Gdy jechali samochodem, Johnny uświadomił sobie, że nie zapytał nawet dzieciaka o imię. Po ich pierwszym, tak specyficznym spotkaniu chciał zbyć go jak najszybciej, a teraz mieszał go swoje sprawy. Czuł się z tym źle.

– Tu w lewo – powiedział nastolatek, gdy zbliżali się do skrzyżowania. – Jeszcze dwie ulice.

Johnny odmruknął na potwierdzenie, że rozumie. Było już po północy, znów sypał drobny śnieg, który roztapiał się zaraz po zetknięciu z ziemią. Ulice oświetlały miejskie latarnie. Prawie całe miasto już spało. Teraz niechlubna część jego mieszkańców, ta o której nie mówiło się głośno, właśnie wypełzała na powierzchnię. Jak karaluchy, gdy w kuchni zgaśnie światło.

– Chodzisz do lokalnego liceum? – spytał. – Jak w ogóle masz na imię?

– No wreszcie zapytałeś – ucieszył się chłopak. – Mam na imię Raphael.

Johnny parsknął śmiechem. Pewnie nie tego oczekiwali rodzice, nadając swojej pociesze takie imię. Wyrósł im na małego diabełka. Popatrzył na dzieciaka, który bezczelnie trzymał stopy oparte o deskę rozdzielczą. Był naprawdę niski. Musiał nie mieć nawet metra siedemdziesięciu.

– Nie powiedziałbym, że taki z ciebie aniołek. – Zaśmiał się. – Wręcz przeciwnie.

– Tak oceniać powierzchnie? Zapewniam, że jestem warty grzechu. Jak aniołek Charliego – odparł chłopak, uśmiechając się zawadiacko i zaraz dodał: – Charliego Sheena, oczywiście.

– Czyli Sodoma i Gomora – skwitował Johnny, uśmiechając się.

– No! – potwierdził chłopak wyraźnie z siebie dumny. – Zatrzymaj się tutaj.

Zaparkowali wzdłuż ulicy, trochę poza ścisłym centrum. Johnny rozejrzał się po okolicy. Ujrzał tylko zwyczajne budynki mieszkalne i sklepy. Wszystkie zamknięte. Spojrzał na chłopaka pytającym wzrokiem.

– Dwie ulice dalej jest bar. Speluna właściwie – wytłumaczył Raphael. – Tam zbiera się najgorszy element, a bar należy do Cyklopa. Stąd też bardzo oryginalna nazwa „U Cyklopa”. Zwykle odbieram towar w jakimś odosobnionym miejscu, ale raz

kazali mi przyjść tam, bo się nie wyrobili. Było jakieś zamieszanie, bo The Outlaws zrobili na nich jakąś zasadzkę, czy coś.

– Cyklop to ktoś wysoko postawiony?

– No raczej – odparł chłopak tonem, jakby to było coś najoczywistszego pod Słońcem. – Serio chcesz tam iść? Masz w ogóle spluwę? A właściwie, po co chcesz z nimi gadać? Nie, nie mów mi. Wolę nie wiedzieć.

– Niewiedza to błogosławieństwo. Zaczekaj w samochodzie.

Johnny zostawił kluczyki w stacyjce, żeby działało ogrzewanie. Oczywiście, że nie miał spluwy i nie chciał mieć. W ogóle nie chciał mieć już z tym nic więcej wspólnego, ale człowiek zwykle wiele chce, a mało dostaje. Takie życie.

– Hej. – Zatrzymał go Raphael. – Myślałem, że ja teraz sobie pójdę, a ty podjedziesz pod bar. Wiesz, żebyś miał czym spieprzać, jakby co.

– A masz jak wrócić? Tu nigdzie nie ma przystanku, a w weekendy w nocy i tak nic nie jeździ. Będę miał wyrzuty sumienia, jak się przeziębisz.

Raphael popatrzył na mężczyznę zaskoczony. Zjechał w dół na siedzeniu i schował twarz za kołnierzem zielonej kurtki z futrem wokół kaptura. Johnny uśmiechnął się pod nosem, widząc jego zawstydzoną minę. Teraz rzeczywiście wyglądał jak aniołek.

Wysiadł z samochodu i naciągnął kaptur na głowę. Rozejrzał się, czy nic nie jedzie i przeszedł na drugą stronę jezdni. Spelunę rzeczywiście znalazł dwie ulice dalej. Wyglądała trochę jak dwupoziomowy garaż z rzędami pomalowanych na zielono metalowych drzwi. Może tym właśnie kiedyś była. Johnny nie zauważył okien. Miejsce nie wydawało się chronione, nie było to potrzebne. Bywalcy baru sami potrafili się obronić.

Johnny przymknął na chwilę oczy, stając przed ogrodzeniem z zardzewiałej, metalowej siatki. Nie chciał znowu się w to wszystko mieszać. W końcu jednak zebrał się w sobie i pokonał zagracone podwórko. W barze było tak, jak się tego spodziewał, czyli duszno i śmierdząco. Gdy wszedł do środka, wszystkie pary oczu należących do groźnych i ponurych* skupiły się na nim. Ich przekrwione, zmętniały gałki błyszczące pomiędzy oparami dymu przyprawiły go o dreszcze.

– Chcę rozmawiać z Cyklopem – powiedział do barmana, gdy znalazł się przy ladzie.

Ten też był ponury, a do tego na czole, pod linią zaczesanych do tyłu, nażelowanych włosów miał wytatuowany jakiś napis.

– Do kogo? – spytał, mierząc Johnny’ego nieprzychylnym spojrzeniem.

No tak, pomyślał Norton. Musiał jakoś udowodnić, że nie jest z zewnątrz. Miał tylko podejrzenie, ale musiał spróbować. Pamiętał, że jeden z nastolatków, którzy byli w młodzieżówce White Emperors, stracił oko w walce na noże. Widok krwi wylewającej się spomiędzy jego palców, które kurczowo przyciskał w tym miejscu do twarzy, został z Johnnym już na zawsze.

– Do Boba Hadleya – odparł, nie odwracając wzroku od barmana.

– Coś ty za jeden?

– Jest tutaj? Powiedz mu, że przyszedł Johnny.

Mężczyzna mierzył go jeszcze chwilę nieprzychylnym spojrzeniem, ale w końcu kiwnął na drugiego barmana, młodego chłopaka, a ten udał się na zaplecze.

– Czekasz.

Więc Johnny czekał. Po paru minutach z zaplecza wrócił drugi barman w towarzystwie kolejnego groźnego i ponurego. Wysoki, barczysty mężczyzna kiwnął na Johnny’ego, aby ten szedł za nim. Przedtem przeszukał go jeszcze w poszukiwaniu ukrytej broni. Przeszli przez wąski korytarz zaplecza zagracony pustymi skrzynkami i beczkami po piwie, na końcu którego znajdowały się schody.

Na pierwszym piętrze wystrój baru przedstawiał się zupełnie inaczej. Mgliste, niebieskawe światło sufitowych lamp oświetlało skórzane kanapy i fotele, na których siedzieli kolejni ponurzy, ale w lepszych butach niż ci na dole, i grali w karty.

– A niech mnie... – zawołał jeden z mężczyzn na jego widok. Naprawdę miał jedno oko. Miejsce prawego zajmowała szkaradna blizna. – Toż to Johnny. Pieprzony Johnny Norton! Czyżbyś wreszcie zrozumiał, która ze stron jest lepsza?

– Żadna nie jest.

Cyklop łypnął na niego jednym okiem znad szklanki z drinkiem, którego właśnie popijał.

– Można i tak – odparł. – Siadaj, siadaj! Długi, przesuń się.

Johnny usiadł na kanapie, gdzie mu wskazano. Cyklop zaproponował mu cygaro i alkohol, ale odmówił.

– Urwałem się z pracy – wytłumaczył. – Mam sprawę.

– Inaczej byś tu nie przychodził.

– Wróciłem na jakiś czas do miasta, ale nie chcę mieć już z tym nic wspólnego.

I nie chcę wplątywać mojej rodziny w coś niebezpiecznego. Więc jeśli coś nie zostało do końca wyjaśnione... Ktoś ma jakiś żal, to chciałbym to wyjaśnić i zamknąć tę sprawę.

– A można jaśniej?

Johnny westchnął i opisał całą sytuację.

– Nie sądziłem, że współczesne dzieciaki się jeszcze w to bawią – skomentował Cyklop. – Mają przecież teraz Facebooka do hejtowania. Nawet nie sądzę, żeby wśród naszych uchował się jakiś Indianin. Te czasy minęły. Po prostu złap dzieciaka i wyduś z niego, co i jak.

– Taki miałem plan – odparł Norton – ale wolałem najpierw spróbować wyjaśnić sprawę. Naprawdę nie chcę się już w to mieszać.

– Nie wiem, Johnny, co mam ci powiedzieć. Złamałeś kilku naszym nosy, ale to było dawno i nikt o tym nie pamięta. A jakby nawet, to nikt by się nie bawił w takie cyrki. Po prostu capnąłby cię w ciemnym zaułku i obił ryja. – Cyklop poklepał Johnny'ego po plecach, jakby jego słowa miały dodać mu otuchy. – Jakby co, masz moje pozwolenie. Możesz go złapać i mniej lub bardziej ładnie poprosić o wytłumaczenie.

– Dzięki – mruknął Johnny.

Nie sądził, że pójdzie mu tak łatwo. Szczególnie że wszedł na teren swoich dawnych wrogów, a gangsterzy zazwyczaj byli bardzo pamiętliwy. Pełni tej śmiesznej dumy i pychy.

– To równie dobrze mogą być chujki z The Outlaws – zasugerował Cyklop. – Może ktoś ma do ciebie pretensje, że tak nagle rozpląnąłeś się w powietrzu. Ledger lubi takie pojebane gierki. Od baby mu pewnie już nie stanie, więc teraz tylko pogoń za zdobyczą go kręci.

Ledgerowie przewodzili Banitom z pokolenia na pokolenie. Trzymali władzę w gangu mocno, jakby byli jakąś dynastią. Cyklop mógł mieć rację. Johnny był tego w pełni świadom, zanim jeszcze tu przyszedł. Już wtedy, gdy zobaczył napis. Idąc tu, do gangu, z którym kiedyś walczył, do swoich dawnych wrogów, trzymał się wątlej nitki nadziei. Udanie się wprost do paszczy lwa wydawało mu się teraz o wiele łatwiejsze niż konfrontacja z członkami grupy, do której kiedyś należał. I którą zdradził.

– To stary Ledger wciąż żyje? – spytał.

– No co ty. Dostał kulkę, a właściwie trzy już dawno temu – odparł Cyklop. – Wiesz, synek trzymał się rodzinnej tradycji. Jedna w głowę, druga w usta, trzecia w szyję. Pojebane skurwysyny.

– Ach, więc Robert teraz rządzi – mruknął Johnny.

To nie napawało nadzieją. Nie miał wiele kontaktu z najstarszym z synów Ledgera, ale zdołał się przekonać, że ten nie uznawał półśrodków i nie należał do litościwych.

– Rządził – poprawił go jednak Cyklop – przez kilka lat. Później i on dostał trzy kulki od kolejnego Ledgera w kolejce.

– Co? – zdziwił się Johnny. – Nie został nikt więcej. Jakby nawet Robert miał syna, to teraz byłby najwyżej nastolatkiem.

Cyklop swoim jedynym okiem popatrzył na niego zaskoczony. Wydawał się nawet trochę zbity z tropu. Przez chwilę nie odpowiadał, najwyraźniej próbując przypomnieć sobie wydarzenia sprzed kilkunastu lat. Johnny wykorzystał ten moment, aby jednak upić ze podsuniętej szklanki kilka łyków alkoholu. Spojrzał zdziwiony na mężczyznę, gdy ten nagle się roześmiał.

– Więc spieprzyłeś przekonany, że Ahiga nie żyje? Właściwie był jak martwy przez kilka miesięcy, ale w końcu powrócił do żywych. No, chociaż tylko w połowie. – Zaśmiał się Cyklop. – Chętnie odpłaciłbym mu za moje oko, ale skurwiel nie wylazi ze swojej nory.

To nie mogła być prawda, pomyślał Johnny, patrząc na gangstera rozszerzonymi do granic możliwości oczami. Zacisnął usta w wąską linię, bo czuł, jak drga mu dolna szczęka. W momencie jego ciało pokrył zimny pot. Przycisnął dłoń do oczu, gdy zaczęły go piec.

– Nie... – jęknął.

Zgiął się, dociskając zasłoniętą dłońmi twarz do kolan. Jego zachowanie wywołało poruszenie wśród zebranych w pomieszczeniu gangsterów, ale nie mógł teraz o tym myśleć. Po omacku sięgnął po szklanę, ale ta spadła na podłogę, pękając w jednym miejscu. Gdy chciał ją podnieść, rozciął sobie palec.

– Aż tak? – spytał Cyklop, patrząc na niego skonsternowany. – Aż mi przykro, że to ja dostarczyłem ci złych wieści. Ale wiesz, za odpowiednią cenę możemy ci zapewnić ochronę nawet przed kundlami Ahigi.

Johnny zaśmiał się pusto na te słowa. Wyprostował się i poprawił zmierzwione, farbowane na blond włosy. Wiadomość o tym, iż Ahiga wciąż żyje, uderzyła w niego do tego stopnia, że nie mógł zebrać żadnych myśli. Co właściwie powinien teraz zrobić? Co czuć? Nie miał pojęcia.

Nie wiedział, jak znalazł się z powrotem przy swoim samochodzie. Wsiadł od strony kierowcy i zastygł w bezruchu. Nawet nie zwrócił uwagi na chłopaka, który obserwował go zaniepokojony.

– Wujaszku, wszystko okej? – zapytał Raphael wyraźnie zatroskanym głosem.
– Coś ci zrobili? To krew?!

Sięgnął do dłoni Johnny'ego i uniósł ją na wysokość swojej twarzy. Była pokryta krwią. Patrzył na nią przez chwilę, obracając na wszystkie strony, aby znaleźć ranę. Johnny przyjmował to wszystko z milczeniem. Jego oczy wydawały się puste, a kręgi pod nimi znacznie ciemniejsze niż jeszcze półgodziny temu.

Raphael zerknął jeszcze na twarz Johnny'ego. Na jego oczy w ogóle nie patrzące w jego stronę. Gdy przytknął jego palce do swoich warg, poczuł ciepło krwi. Po chwili zawahania wsunął je głębiej do ust i zassał się na nich. Poczul słodycz krwi i skóry mężczyzny o zielonych oczach. Kiedy Johnny wreszcie na niego spojrział, odsunął usta. Językiem przejechał wzdłuż jego szorstkich palców.

– I co robisz, głupi dzieciaku? – spytał Johnny.

– Prawdę powiedziawszy, to nie wiem – przyznał Raphael. – Po prostu chciałem żebyś patrzył teraz na mnie, a nie na tego, który woła do ciebie z przeszłości.

Johnny zaśmiał się gorzko pod nosem. Spojrzał na swoją dłoń. Krew znów zaczęła zbierać się na przecięciu i spływać wzdłuż palca. Przytknął go do ust chłopaka, brudząc jego jasne wargi czerwienią.

– Naprawdę jesteś głupim dzieciakiem – szepnął, a potem nachylił się, by go pocałować.

Chłopak przez pierwszą, krótką chwilę zastygł z bezruchu kompletnie zaskoczony. W końcu jednak odpowiedział na pocałunek, chociaż wydawał się nie do końca w nim odnajdywać. Jakby to, że druga osoba nadaje wszystkiemu tempo, była dla niego czymś nowym. Sapnął przez nos, gdy Johnny włożył mu język do ust. Mężczyzna odsunął się po dłuższej chwili i spojrzał w czarne, lekko zeszkłone oczy chłopaka. Dzieciak miał bardzo jasną karnację, więc szybko się rumienił.

– Gdzie twoja pewność siebie? – spytał Johnny.

– Po prostu... nigdy wcześniej nie całowałem się z mężczyzną – przyznał Raphael.

Jeszcze przed momentem Johnny nie mógł myśleć o niczym innym niż to, czego się dowiedział od Cyklopa. I o tym, co wydarzyło się kilkanaście lat temu. Teraz jednak słowa dzieciaka zszokowały go do tego stopnia, że aż na jego umysł spadło otrzeźwienie.

– I z nas dwóch to akurat ty nigdy nie całowałeś się z facetem? – spytał, jakby nadal w to nie wierzył. – Niedawno mówiłeś coś o spinaniu i rozluźnianiu.

– Powiedzmy, że jestem mocny w gębie – odparł chłopak, a na jego usta powrócił ten zawadiacki uśmieszek. – Ale cieszę się, że zadziałało.

Johnny wydał z siebie krótkie parsknięcie i pokręcił głową. Odwrócił się na siedzeniu i oparł czoło o kierownicę. Wszystko się pieprzyło. Ahiga żył i zapewne zechce zabić jego oraz jego rodzinę, poprzedzając to torturami, jakich Johnny nie mógł sobie nawet wyobrazić. Jak dzieciak, który przed zabiciem pająka wrywa mu najpierw wszystkie odnóża. I był jeszcze ten nieznośny chłopak, który mieszał mu w głowie.

– Hej, wujaszku, co się tak załamałeś? – zaniepokoił się Raphael. – Jestem młodym, luksusowym mięskiem. Powinieneś być dumny, że wybrałem akurat ciebie na swój cel.

– I to muszę być akurat ja? – spytał mężczyzna zmęczonym głosem.

– No raczej – odparł chłopak, dotykając jego ramienia. – Jesteś młody i przystojny. I chociaż w sklepie chodzisz w tych porozciąganych szmatach, wiem, że masz pod nimi świetne ciało. Tatuaż też jest super. Reszta pewnie też. No i jak się zobaczyłem po raz pierwszy, to od razu pomyślałem...

– Że to przeznaczenie? – parsknął Johnny, wchodząc mu w słowo.

– Że wyglądasz zupełnie jak aktor z jednego gejowskiego porno z mojego „fap folderu” – dokończył Raphael.

Johnny przekręcił głowę, aby popatrzeć na dzieciaka. Nie mógł powstrzymać rozbawionego uśmiechu.

– Uśmiechasz się, wujaszku – ucieszył się chłopak. – To dobrze. Zobaczysz, będzie okej.

Johnny nie był co do tego przekonany. Wyprostował się jednak i zaczesał dłonią włosy z czoła do tyłu. Dawno już ich nie farbował, więc ciemne odrosty były doskonale widoczne, szczególnie od wewnętrznej strony. Odpalił silnik i zerknął jeszcze na chłopaka, nim ruszył.

– Wiem, że prawdopodobnie na próżno to mówię, ale nie zrób niczego, przez co twoja matka będzie płakać.

– Trochę na to za późno. Hej, już wracamy? Miałeś mi pokazać swoje inne tatuaże.

– Nie mam innych tatuaży – odparł Johnny, patrząc na drogę.

– Kłamiesz – stwierdził z całą pewnością Raphael. – Ale dzisiaj ci odpuszczę.

– Super.

– Ale tylko do jutra.

Johnny już tego nie komentował, chociaż nie mógł przemóc lekkiego uśmiechu, który pojawił się na jego ustach. Jeśli będzie jutro, pomyślał.

Rozstali się pod sklepem. Johnny wrócił do pracy, a Raphael poszedł w tylko sobie znanym kierunku. Wszedł w ciasny zaułek i wyciągnął telefon, aby do kogoś zadzwonić. Po kilku sygnałach w słuchawce rozbrzmiał męski głos.

– Szefie, dzwonię z meldunkiem. Nawiązałem kontakt... Powiedzmy, że czwartego stopnia... Co to znaczy? Że są jeszcze trzy stopnie zaawansowania... Nie wydurniam się... Tak, zaczął działać. On chyba już wie, szefie... Będę trzymać się planu.

* * *

Santa Boy niemal stęknął z ekstazą, gdy zszedł buty w przedpokoju i poczuł pod stopami podłogę swojego ciasnego i zakurzonego mieszkania. Od kilku dni nie mógł się porządnie wyspać, więc po zawieszeniu płaszcza na haku od razu udał się do sypialni i położył na łóżku. Przewrócił się na bok i wtulił głowę mocniej w poduszkę. Od razu zrobiło mu się lepiej na duszy. Przyjmując oczywiście, że w ogóle miał coś takiego. Gdy tylko zamknął oczy, jego dotąd spięte mięśnie wreszcie się rozluźniły. Chciał spać.

Sasza w tym samym czasie położył swój bagaż na podłodze w przedpokoju i ściągnął Szczęściarzowi obrozę. Pies uradowany tym, że wrócili do domu, z wysoko uniesionym ogonem udał się do salonu i obwąchiwał wszystkie kąty. Sasza popatrzył za nim. Na meblach zebrał się kurz, bo nikt nie zajmował się mieszkaniem przez kilka dobrych tygodni. Oparł się ramieniem o ścianę, patrząc na Szczęściarza, który wskoczył na kanapę i obracał się wokół własnej osi, robiąc sobie legowisko. Dobrze było wrócić do domu.

Podniósł swoją torbę i udał się do sypialni. Santa Boy wydawał się już spać. Najwyraźniej był bardziej zmęczony, niż się do tego przyznawał. W pokoju pojawił się też Szczęściarz, który wskoczył na łóżko i położył się koło muzyka.

– Boże, zabierz tę mordę – jęknął Santa, bo pies dyszał mu na twarz – Śmierdzisz.

Chwycił go za pysk i odsunął do siebie. Obrócił się do niego plecami. Pies zaskuczał niezadowolony z takiego obrotu spraw i podrapał go łapą. Santa Boy znów został zmuszony do tworzenia oczu. Odwrócił się na plecy, a Szczęściarz od razu to wykorzystał, pokładając się na nim. Muzyk poczochnął jego uszy i przymknął powieki.

Sasza popatrzył na to wszystko z uśmiechem. Santa Boy przy niektórych sprawach wykazywał się, co ironiczne, anielską cierpliwością. Jak w przypadku

Szczęściarza albo samego Saszy, gdy zabrał go z ulicy. Wtedy można było się pokusić o znalezienia w nim jakiś głębszych pokładów dobra. Innym zaś razem działał bardzo kompulsywnie. Sasza do dzisiaj pamiętał, jak na tej feralnej imprezie, uderzył głową Fat Moose'a o blat stołu. Trudno było przewidzieć, jak zareaguje na niektóre sytuacje. Nawet teraz Sasza nie wiedział do końca, co się dzieje w jego głowie.

– Santa... – zawołał go, nim muzyk kompletnie nie zasnął. – Tyle jechaliśmy. Nie chcesz czegoś zjeść...

Santa Boy wydał z siebie zirytowane sapnięcie i przekręcił się na bok.

– Ugotuję obiad. Pościeram kurze. Nawet cię przelecę... Co tylko chcesz, ale daj mi spać – mruknął.

– No dobra.

Sasza wycofał się z pokoju. Po krótkim rekonesansie po mieszkaniu uznał, że nie będzie czekał na Santę Boy'a. Sam postanowił posprzątać. I tak nie miał nic lepszego do roboty. Wyczyszczenie wszystkich mebli i umycie podłóg zajęło mu sporo czasu. Następne w planie było ugotowanie obiadu. Santa Boy przepadał za mrożoną pizzą z Walmartu. W jego rankingu znajdowała się ponad daniami z wielu porządnych restauracji, ale mieli przecież żyć długo i szczęśliwie. To zaś wymagało jedzenia czegoś bardziej wartościowego. Przynajmniej od czasu do czasu.

Gdy uwinął się już ze wszystkim i wziął prysznic, rozsiadł się na kanapie w salonie. Włączył telewizor, aby coś gadało. Dobrze było wreszcie odpocząć we własnym mieszkaniu. Właściwie, wszystko ostatnio było „dobre”. Miał dobry kontakt z matką, która wreszcie żyła poprawnym życiem. Nawet znalazła sobie dobrego faceta, który kochał ją do tego stopnia, że się oświadczył. On sam zaś miał pracę, którą uwielbiał i Santę, który w końcu wydawał się wiedzieć, czego chce. Sasza czuł, że mógł wreszcie odetchnąć.

Nagle rozszczękał się Szczęściarz. Nie robił tego często, bo ludzie chodzący po klatce schodowej go nie obchodzili. Trochę też było w tym zasługi faktu, że lekko niedosłyszał. Nienawidził jedynie psa sąsiadki, więc pewnie wyszła z nim na spacer, pomyślał Sasza. Gdy Szczęściarz szczeknął drugi raz, rozległ się głuchy odgłos, jakby ktoś uderzył pięścią w ścianę. Powtórzyło się to po kwadransie, gdy sąsiadka wracała

z psem ze spaceru. Sasza uniósł się z kanapy i poszedł do sypialni, aby uciszyć psa. Dziwne odgłosy zdawały się dochodzić właśnie z tamtej strony mieszkania.

Santa Boy oczywiście już nie spał. Siedział na skraju łóżku i przeczesywał ręką zmierzwiłone włosy. Gdy zobaczył w progu Saszę, kiwnął mu głową. Wyglądał na zirytowanego.

– Obudził cię?

– Kto? Pies? Już się przyzwyczailem do jego jazgotu – odparł Santa Boy. – Ale nasz nowy sąsiad i owszem.

– Nowy sąsiad?

Santa Boy wskazał na ścianę za łóżkiem. Jakby na potwierdzenie jego słów, Szczęściarz znów zaszczekał, a zaraz potem rozległo się uderzenie w ścianę.

– Jaki zacietrzewieniec – parsknął muzyk.

Rozglądnał się po pokoju. Wszystko jakoś tak bardziej błyszczało niż jeszcze parę godzin wcześniej. Palcem przejechał po powierzchni najbliższego mebla.

– Posprzątałeś?

– Ugotowałem też obiad, jakbyś chciał...

– Mogłeś poczekać, aż wstanę. Pomógłbym ci przecież – odparł Santa Boy i przyciągnął Saszę za biodra do siebie tak, by stał między jego udami. Po kąpieli chłopak nadal był jedynie owinięty ręcznikiem w pasie. – Ale trzeciej obietnicy dotrzymam.

– Na to liczyłem – przyznał Sasza i się uśmiechnął.

Santa Boy nachylił się i zębami poluzował ręcznik, tak aby ten opadł na podłogę. Sasza odetchnął głębiej wsunął dłoń w jego rozczochrane po śnie włosy.

– Co ty na to, abyśmy dali naszemu nowemu sąsiadowi trochę więcej powodów do frustracji? – spytał Santa Boy, opierając podbródek o brzuch Saszy.

Patrzył na niego z dołu z błyskiem w czarnych ślepiach, choć jeszcze przed momentem przysłonięte były mgłą. Uśmiechnął się też od ucha do ucha. Kiedy się tak szczerzył, mrużąc przy tym oczy, rzeczywiście przypominał jakiegoś diabła.

– Naprawdę niekiedy jesteś jak dziecko. – Zaśmiał się Sasza.

– Skoro nie mam własnego... Tylko ty i ja.

*Nawiązanie do utworu Kazika „Jeszcze Polska...”

Rozdział 6

Tylko ja i ty. I nowy sąsiad, pomyślał Sasza. Przyzwyczyił się już do myśli, że tak naprawdę lubi te dziecinady Santy Boy'a. Te jego głupawe gierki. Uśmiechnął się na wspomnienie nocy spędzonej w hotelu po ich ponownym zejściu. Teraz też więc przyjął z kumulującym się w podbrzuszu podekscytowaniem swoją rolę. Gdy zacisnął usta w wąską linię, na policzkach zrobiły mu się dołeczki. Spojrzał w dół, w oczy Santy Boy'a, który opierał podbródek o jego brzuch, i pokręcił głową.

– Odmawiasz współpracy? – podłapał muzyk, uśmiechając się szerzej i groźniej. – Jakoś cię przekonam.

Pocałował go w skórę przy pępku, by następnie ugryźć go w to miejsce. Sasza instynktownie się szarpnął, ale Santa Boy chwycił go za biodra, wbijając mu palce w nagie pośladki.

– Nie uciekamy – powiedział, patrząc jeszcze raz w górę.

Gdy się nachylił, długie włosy przesłoniły mu twarz. Sasza nie mógł, więc zobaczyć, co ten robi. Przez to tylko czuł wszystko jeszcze bardziej. Najpierw usta składające przeciągłe pocałunki na jego penisie. Od nasady aż po główkę. Na niej skupił się na dłużej. Powoli, czubkiem gorącego, śliskiego języka przesunął po spodniej stronie penisa Saszy, zerkając w górę z tym swoim diabelskim uśmieszkiem na ustach. Chociaż ten aktualny bardziej pasowałby chochlikowi niż jakiemuś prawdziwemu demonowi. Chłopak zdusił w sobie sapnięcie i posłał mu najchłodniejsze spojrzenie, na jakie było go teraz stać. Nie sądził, żeby wyszło to przekonywująco, bo w środku już cały płonął. Santa Boy postanowił jeszcze trochę go podręczyć. Objął główkę penisa ustami i lekko zacisnął na delikatnej, gorącej skórze zęby. Porażony niespodziewanym doznaniem Sasza, syknął przez zęby i chwycił mężczyznę za włosy. Santa Boy usztywnił język i podrażnił nim dziurkę na penisie chłopaka. Nie miał chyba jednak zamiaru przejść na dalszy etap. Bo wciąż trzymał penisa Saszy chłopaka płytko w ustach. Tylko się z nim drażnił.

– Przestań się wydurniać i zrób coś! – nie wytrzymał Sasza.

Zgiął jedną nogę w kolanie i oparł ją o materac, napierając bardziej na mężczyznę. Jego penis wsunął się przez to głębiej w usta Santy Boy'a. Ten, najwyraźniej nieprzygotowany, wydał z siebie gardłowy dźwięk i odsunął głowę.

– Czyżbyś już przegrał? – spytał.

– Nasz sąsiad raczej tego nie słyszał, więc się nie liczy – odparł Sasza, siadając na nim okrakiem. – I nie były to jęki ekstazy.

– No tak. W końcu to nie to, co kręci mojego kociaka najbardziej, prawda? – podłapał Santa Boy, uśmiechając się.

Dłoń położył mu na zarumienionym policzku. Wyciągnął szyję, by złączyć ich usta w pocałunku. Sasza odpowiedział na niego zapalczywie. Jedną rękę zarzucił mu na kor, a dłonią drugiej wyszukał górny guzik koszuli Santy i go rozpiął. Na ślepo zawędrował pod materiał, aby poczuć pod opuszkami palców zarys mięśni na klatce piersiowej. Sapnął na uczucie gorącej skóry. Drugą ręką zaczął rozpinąć resztę guzików, nie przerywając pocałunku. Ściągnął z ramion czarny materiał i odchylił się na kolanach Santy Boy'a, aby popatrzeć na jego ciało. Podobało mu się to, co ujrzał. I chciał zobaczyć i poczuć więcej.

Ześlizgnął się na podłogę, przyklekując między nogami muzyka. Rozpiął mu sprzączkę od paska i spodnie. Palcem wskazującym odchylił bieliznę tak, aby wydostać na zewnątrz jądra i twardniejącego penisa. Nie bawiąc się za bardzo i od razu przechodząc do rzeczy, wziął trzon do ust i zaczął ssać. Zamruczał gardłowo, gdy poczuł, jak Santa Boy kładzie mu rękę na karku i lekko dociska mu głowę. Nie mógł jednak długo nacieszyć się uczuciem sztywniejącego w ustach, gorącego penisa, bo muzyk chwycił go mocno za irokeza i odciągnął od niego.

Sasza jęknął niepocieszony i spojrzał zesklonymi oczami w górę, na twarz muzyka. Lubił, gdy ten trzymał go za włosy. Nie powiedziałby tego nigdy głośno, ale gdy zapuszczał ponownie irokeza, czekał do momentu, aż włosy urosną na tyle, by można było mocno za nie złapać.

– Nie patrz na mnie jak dziecko, któremu zabrano lizaka. – Zaśmiał się Santa Boy. – Przecież mieliśmy wyciskać z twoich usteczek okrzyki, a nie je zatykać, prawda?

Sasza wzruszył ramionami. Siedział teraz na podłodze zupełnie nagi pomiędzy nogami Santy Boy'a, niczym przed jakimś monumentem bóstwa, któremu miał zostać złożony w ofierze. Takie głupie skojarzenia przychodziły mu teraz do głowy, gdy podniecony i zniecierpliwiony zerkał w roześmiane, błyszczące oczy muzyka. Boże, kochał tego faceta tak, że chyba bardziej już się nie dało.

Santa Boy popatrzył na tę jego głupią, naiwną minę i aż coś go w środku ścisnęło. Nachylił się, chwycił jego twarz w dłonie i pocałował chłopaka w czoło. Sasza był tak zaskoczony, że w ogóle nie zareagował. Tylko dłonią dotknął rozpalonego miejsca, gdy Santa już się wyprostował, by ściągnąć z siebie do końca ubranie.

– Nie obudziłeś się do końca, czy coś? – zapytał.

Santa Boy ni z tego, ni z owego pocałował go w czoło. Saszy zrobiło się przez to jakoś ciepło w środku, ale teraz myślał o tym, aby jego temperatura podskoczyła jeszcze bardziej. Z rozchyłonymi ustami, wzrokiem pełnym oczekiwania spojrzał w górę, obrysowując nagie już ciało muzyka.

Gdy byli w trasie, szybko przechodzili do rzeczy. Wykorzystywali każdą nadarzącą się sposobność i miejsce, ponieważ ich plan dnia był wypełniony do maksimum. Takimi prawami rządził się rynek muzyczny i nic nie dało się z tym zrobić. Wycisnąć jak najwięcej pieniędzy jak najmniejszym kosztem i w jak najkrótszym czasie. Może właśnie dlatego Santa Boy nie chciał się teraz śpieszyć.

Poklepał miejsce obok siebie, więc Sasza wspiął się na łóżko. Pociągnął muzyka na siebie, układając się na plecach. Zgiął nogi i oplótł go nimi ciasno w biodrach. Chciał być blisko. Chciał czuć ciężar drugiego ciała na sobie i gorącego, wilgotnego penisa ocierającego się o jego skórę, jakby już byli złączeni. Santa Boy nie odmawiał mu niczego. Całował go po szyi i klatce piersiowej, podskubywał zębami i sutki. Gorącymi dłońmi wyznaczał nowe ścieżki na jego szczupłym ciele. Sasza im więcej dostawał, tym więcej chciał, a Santa Boy jak na złość postanowił być aż nazbyt ciepłym kochankiem.

Sasza już sam nie wiedział, czy mężczyzna się z nim drażnił, czy naprawdę coś go naszło. Sfrustrowany objął go jeszcze ciaśniej nogami, wbijając mu pięty w pośladki. Zsunął się niżej na łóżku, aż poczuł sztywnego penisa mężczyzny

ocierającego się o jego napięte jądra, a potem jego rowek. Aż przymknął oczy, gdy przeszły go przyjemne dreszcze. Uwięziony pod ciałem Santy Boy'a przekręcił się jeszcze trochę, aby wreszcie poczuć nabrzmiałą, wilgotną główkę napierającą na pierścień mięśni.

Kiedy był pod prysznicem i robił sobie palcówkę, myślał właśnie o nim wdzierającym się do jego wnętrza. Lubił ostry seks, już nie miał oporów, aby się do tego przyznać, więc wtedy ograniczył się jedynie do umycia się tam. Chciał być ciasny, kiedy będzie brany. Santa Boy niekiedy, gdy miał dobry humor, pozwalał mu się pieprzyć, ale Sasza nie tego teraz chciał.

– Masz teraz bardzo ciekawą minę. – Usłyszał roześmiany głos Santy Boy'a.

Gdy na niego spojrział, ujrzał ten jego wredny uśmiezek. Santa Boy świetnie się bawił, doprowadzając go do pasji.

– No już – wymruczał łagodnie i przytknął dłoń do czerwonych warg chłopaka.

Sasza posłał mu niezadowolone spojrzenie, ale ulegle oblizał jego palce. Na języku poczuł słony smak potu.

– To zobaczmy, co tam przygotowałeś.

Santa Boy posłał mu drapieżny uśmiech i sięgnął dłonią pod siebie. Popieścił chwilę jądra chłopaka, co wyrwało z jego ust cichy jęk. Sasza wyprężył się na łóżku, odchylił głowę i przymknął oczy. Czekał. Santa Boy zaśmiał się cicho, widząc go takim. Oślinionym palcem okolił pierścień zaciśniętych mięśni. Pod puszkami czuł, jak Sasza się rozluźnia. Chciał go tam.

Muzyk spojrział jeszcze raz na ścianę za głową Saszy, który wciąż trzymał oczy zamknięte. Uśmiechnął się drapieżnie. Wcale nie zapomniał ani nie porzucił swojego planu. Po prostu postanowił działać z zaskoczenia. Teraz to on oblizał swoją dłoń i sięgnął do swojego członka.

Wszystko działo się w takim tempie, że jedyną reakcją Saszy było tylko gwałtowne otwarcie oczu. Nagle jego została odcisnięta do poduszki tak, że w ogóle nie mógł się ruszyć. Santa po prostu oparł się przedramieniem o jego czoło i naparł na niego ciężarem swojego ciała. Drugą ręką chwycił go pod udem i zmusił do zgięcia się w pół. Sasza poczuł, jak naciągnięte są jego mięśnie i ścięgna. Piętami poszukał jakiegoś oparcia na ciele muzyka. W tej pozycji jego dziurka była rozchylona, sam też

rozluźnił się, na ile się dało i to w ostatni momencie, bo Santa Boy bez żadnego wcześniejszego gestu po prostu wbił się w niego, jak najgłębiej się dało, po same jądra.

Sasza krzyknął głośno, w ogóle tego nie kontrolując, i wyrzucił rękę do tyłu, chwytając się barierki łóżka. Coś jakby piorun, sięgający aż do szpiku, przeszedł wzdłuż jego kręgosłupa. Uczucie było tak intensywne, pomieszanie obezwładniającej przyjemności z równie paralizującym bólem, że aż pobiełało mu przed oczami. W uszach miał jedynie szum, więc nawet nie usłyszał pukania w ścianę.

Santę Boy'a zaś w tym momencie w ogóle nie interesowały frustracje wrednego sąsiada. Patrzył na porażoną nagłym doznaniem twarz Saszy. Na jego rozchylone usta i wydobywającą się z nich stróżkę śliny. Wsluchiwał się w jego postękiwania.

– Doszedłeś – stwierdził, gdy chłopak trochę ochłonął.

Trzymał jego podbródek między palcami i przyglądał się jego twarzy.

– Co...? – Rozbiegany wzrok Saszy zatrzymał się na błyszczących ślepiach Santy.

Członek w jego dziurce nadal drażnił każdy nerw w jego ciele. Nie mógł skupić na niczym uwagi, bo myśli gdzieś dryfowały. Gdy sięgnął jednak dłonią do swojego brzucha i wciąż sztywnego penisa. Poczł lepka, gorącą spermę na palcach. Doszedł. Nawet nie wiedział kiedy. Zasłonił oczy ręką i się roześmiał.

– Doszedłem, bo wsadziłeś we mnie fiuta – parsknął.

– Hm... I co o tym sądzisz?

Sasza syknął, gdy poczuł, jak Santa Boy się z niego wysuwa. W środku aż go paliło. Wiedział, że będzie czuł jego fiuta jeszcze długo. Muzyka nachylił się i pocałował go w kolano. Sasza uśmiechnął się lekko i wzruszył ramionami.

– Chyba, że mamy zajebiste życie seksualne – stwierdził. – I że mam gdzieś, co inni o tym sądzą.

– Dobrze. – Uśmiechnął się Santa Boy.

Teraz to on położył się na plecach. Wyciągnął rękę do chłopaka, aby ten znalazł się nad nim. Sasza sięgnął po lubrykant, żeby chociaż zakończyć zabawę jak cywilizowani ludzie. Santa Boy odetchnął gwizdząco przez nos i zacisnął palce na

swoich włosach, gdy poczuł, jak chłopak nabija się na jego penisa. Z zamkniętymi oczami oddał się przyjemności.

Uczucie błogości tylko się wzmocniło. Ostatnio czuł się tak przez cały czas, nie tylko w łóżku. Jakby wszystko wreszcie było na swoim miejscu. Chciał, żeby zostało już tak na zawsze.

To tak obce mu uczucie spokoju i zadowolenia tylko nabrało na sile, gdy patrzył na pogrążoną we śnie twarz Saszy. Dłonią przeczesywał jego mokre po prysznicu włosy. Mięknął i miał tego pełną świadomość. Nie zamierzał już z tym jednak walczyć. Za to był gotowy bronić swojej nirwany. Przed wszystkim i przed każdym.

Uśmiechnął się, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Gdy je otworzył, ujrzał osobę, której się spodziewał, czyli nowego sąsiada. Zapuszczonego, grubego trzydziestolatka w koszulce z nadrukiem bohaterów z uniwersum Marvela.

– Tak? – spytał zblazowanym głosem, unosząc jedną z ostro zarysowanych brwi do góry.

Facet stracił trochę rezonu, gdy ujrzał Santę Boy'a, jednak nie zamierzał się wycofać. Pokraśniały na puciołowatej twarzy pokrytej kroplami potu wskazał palcem na wewnątrz mieszkania muzyka.

– Ten! – wyszczał. – Nie życzę sobie, aby ten pedał...

– Tak? – podłapał Santa, mierząc jegomościa zimnym wzrokiem.

– Ta ciota ma tak nie drzeć ryja. To obrzydliwe! – kontynuował mężczyzna, z wciąż wskazując dłonią na mieszkanie.

Santa Boy przekręcił głowę w bok, świdrując mężczyznę chłodnym spojrzeniem. Nagle, szybkim ruchem chwycił go za place, które wskazywały „tę ciotę”, i wygiął je, aż usłyszał chrupnięcie. Drugą dłonią zmiażdżył usta upadającemu mężczyźnie, aby nie krzyknął.

– Zła... złamałeś mi palce! – załkał facet, chwytając się za rękę.

Santa Boy obtarł dłoń, którą go kneblował o spodnie. Na odchodne obrzucił kurczącego się na podłodze korytarza mężczyznę, chłodnym spojrzeniem. Na jego twarzy nie widać było żadnych emocji.

– Wsadź do lodu i usztywnij – powiedział. – I uważaj na słowa następnym razem.

* * *

Po raz drugi w życiu szedł skąpanym w mroku korytarzem willi na przedmieściach należącej do szefa gangu The Outlaws, czyli Banitów. Denerwował się nawet bardziej niż za pierwszym razem. Wtedy nie miał zupełnie pojęcia, o co chodzi. Teraz zaś skołowany był jeszcze bardziej, bo przecież robił wszystko według poleceń, a i tak w asyście członka gangu zmierzał do biura najpotężniejszego człowieka w okolicy.

Pisk zawiasów ciężkich, drewnianych drzwi był jak zły omen. Raphael zgrabił się na ten nieprzyjemny wysoki dźwięk, przez co wydawał się jeszcze mniejszy. Przełknął ślinę i spojrzał przed siebie, na mężczyznę skrytego pośród mroku. Ahiga siedział za masywnym biurkiem i patrzył przez przestronne okno. Tylko na co? – zastanowił się w myślach Raphael, skoro pośród smolistej czerni tylko gwiazdy były dobrze widoczne. Bo przecież ten człowiek, którego dłonie nie raz i nie dwa splamiła krew, nie mógł siedzieć i patrzeć na nocne niebo. Niczym normalny człowiek dręczony samotnością. To był przecież Ahiga Ledger. To była Bestia.

Mężczyzna dopiero po dłuższej chwili odwrócił się w stronę Raphaela. Jego twarz, jak cały pokój, skąpana była w mroku, więc chłopak nie widział jej dokładnie. I to go cieszyło. Szef Banitów nie był w żaden sposób szkaradny, czy oszpecony. Nie był też przystojny. Twarz pół Indianina można by określić jako przeciętną, gdyby nie oczy. To ich właśnie nie chciał widzieć Raphael. Spojrzenie tego mężczyzny przyprawiało go o ciarki. Było martwe.

Ahiga odwrócił się w jego stronę, nic jednak nie powiedział. Raphael zrozumiał, że to on miał mówić, chociaż nie miał pojęcia, o czym.

– Jest tak, jak mówiłem przez telefon – zaczął. – Z rozmowy z Cyklopem wrócił bardzo roztrzęsiony. Sądzę, że dowiedział się, że pan żyje...

– I? – przerwał mu Ahiga. – To było wczoraj. Podjął jakieś działania?

Raphael przestąpił z nogi na nogę. Stresował się. Czuł, jakby jego ciało topniało i zaraz miało zamienić się w bezkształtną masę pod spojrzeniem tego człowieka.

– Nie – odparł. – Wydaje mi się, że on się boi. O rodzinę i tak dalej. Chyba nie chce się w to mieszać. Myślę, że będzie to odkładał jak najdłużej będzie się dało... Aż nie poczuje pętli na szyi.

Uniósł wzrok, by spojrzeć na twarz szefa gangu. Wciąż nie wyrażała niczego. Cały mężczyzna wydawał się jakby wyciosany z bryły lodu.

– Ja myślałem, że to będzie ktoś taki, jak ludzie stąd. Jak gangsterzy – odważył się na komentarz, chociaż nie został o niego poproszony. – A to zwykły facet, który pomaga rodzicom prowadzić spożywcza. Młody i...

Umilkł, zanim powiedział na głos to, co przyszło mu do głowy. Gdy znów uniósł wzrok ze swoich butów, ujrzał na twarzy mężczyzny zimny uśmiech.

– I przystojny? – parsknął Ledger. – Jesteś jak pierwsza lepsza suka. Zejdź mi z oczu.

Raphael wraz ze śliną przełknął przekleństwo, które cisnęło mu się na usta. Mruknął coś niewyraźnie na potwierdzenie i udał się do wyjścia.

– Zintensyfikuj swoje działania, skoro nie chce grać, jak mu zagrano. Niech poczuje presję. – Usłyszał jeszcze, nim wyszedł.

Na korytarzu czekał na niego mężczyzna, który odprowadził go aż do bramy posesji. Był w tym domu drugi raz, ale jedyne, co widział, to długi korytarz i pokój pogrążony w mroku. Pilnowano go na każdym kroku, więc nie miał pojęcia, co kryło się w innych pomieszczeniach willi Ledgera.

Gdy został już sam, wyciągnął telefon i wysłał wiadomość. Muszą zintensyfikować działania.

Rozdział 7

Dziś musiał iść do szkoły sam. Trish przed kwadransiem napisała, że zasnęła i nie będzie jej na pierwszej lekcji. Nie mógł się powstrzymać, więc rzucił okiem na napis na murze. Liczba znowu się zmieniła. Dziś jednak nie zamierzał go zmazywać. To nie miało większego sensu. Dotąd po prostu walczył z wiatrakami, bo taką miał naturę. Z bohomazów nic nie wynikało i chyba rzeczywiście nie miały z nim nic wspólnego, więc postanowił przestać się interesować sprawą.

Gdy mijał dom sąsiadki, samotnej staruszki, do jego uszu dobiegł dziwny dźwięk. Ni to jęk, ni płacz. Skomlenie. Z początku myślał, że się przesłyszał, ale gdy przeszedł parę kroków, znów to usłyszał. Dziwny dźwięk dochodził gdzieś zza domu. Bił się chwilę myślami, jednak przeszedł ciasną ścieżką pomiędzy posesją sąsiadki i jego rodziny. Z tyłu znajdował się cienki pas drzew, który oddzielał rzędy kolejnych domów jednorodzinnych. Skamlenie dochodziło właśnie stamtąd.

Ryan wszedł w zarośla i skierował się w stronę źródła dźwięku. Gdy odnalazł jego źródło, gwałtownie zasłonił usta dłonią. Chciało mu się płakać i jednocześnie wymiotować. To była Queen, stara suczka rasy labrador należąca do sąsiadki. Pies leżał przywiązany do drzewa. Grunt wokół niego pokrywała wielka plama krwi. Ktoś rozplątał suce brzuch i zostawił ją tu, aby zdechła w męczarniach. Ryan widział nawet jej wnętrzności.

Nie miał pojęcia, co robić. Do oczu nabiegły mu łzy. Dłoń, którą wyciągnął w stronę Queen cała mu się trzęsła. Gdy umęczony pies dojrzał ten gest, wyszczerzył groźne kły, chociaż zazwyczaj był potulny jak baranek i lgnął do wszystkich ludzi. Ryan nie wiedział, co robić. Cofnął rękę. Stał w miejscu, jak kołek, a oczy szczypały go coraz bardziej. Gdyby ojciec żył, poszedłby właśnie do niego. Teraz nie miał na kim się oprzeć. Dotąd nie był świadomy, w jak wielu rzeczach polegał na tym człowieku.

Co mam teraz zrobić? – myślał gorączkowo. Nie mógł nic. Czuł się zupełnie bezmocny, patrząc na mękę suczki. Johnny jeszcze nie wrócił ze sklepu. Razem z dziadkiem powinien teraz rozpakowywać towar. W domu była tylko mama i babcia.

Nie mógł im tego pokazać, tak jak i starszej sąsiadce. Przecież został jej tylko ten pies. Tylko jedna osoba przyszła mu na myśl.

Nie zastanawiał się, czy to głupie, czy nie. Po prostu przebiegł znaną sobie trasę i znalazł się przed małym, starym domem z zagraconym podwórkiem. Gdy Ryan stanął przed ogrodzeniem, Atsah właśnie zamykał drzwi z plecakiem przewieszonym przez ramię. Gdy ujrzał chłopaka, jego twarz wyrażała nawet coś podobnego do zdziwienia. Nie zadał jednak żadnego pytania, bo mina chłopaka mówiła wystarczająco wiele.

– Proszę...

– Tak – przerwał roztrzęsionemu chłopakowi Atsah.

Już bez słowa podążył za Ryanem. Chłopak wyraźnie zawahał się, gdy stanęli przed wąskim przejściem między ogrodzeniami dwóch posesji, więc ruszył pierwszy. Ryan podążył za nim, dalej nic nie mówiąc. Wstydził się swojej słabości i tego, że pomocy szukał u kogoś, kogo jeszcze nie dawno wyzywał. Szedł jednak za Indianinem, nie próbując go wyprzedzać, czy pokierować. Czuł się lepiej, mogąc ukryć się za jego szerokimi plecami. Nie chciał znów tego widzieć.

Atsah już wiedział, co za chwilę ukarze się jego oczom. Wystarczyło mu, że słyszał odgłosy dobiegające zza drzew i czuł przerażenie chłopaka za sobą.

– Przynieś wody.

– Co...? – jęknął Ryan.

– Wody – powtórzył Atsah, nie odwracając się w jego stronę.

Jakiej? Gotowanej? W butelce? W misce? Czy powinien przynieść też ręczniki? Nie wiedział. Nic nie wiedział. Ryan wpadł do kuchni i chwycił pierwszą rzecz, jaka rzuciła mu się w oczy, czyli butelkę wody mineralnej. Gdy wrócił zza dom, pies już nie żył. Atsah ukrócił jego cierpienia. Ryan miał zapytać „Więc po co ta woda?”. Nie zrobił tego jednak, bo uświadomił sobie, że Atsah po prostu chciał mu oszczędzić tego widoku.

– To twój pies? – spytał Indianin.

– Nie. Takiej starszej pani mieszkającej obok – wytłumaczył Ryan. – Przecież ona tego nie przeżyje! Miała tylko tego psa!

– Trzeba go pochować. Lepiej, aby myślała, że uciekł. Przynieś jakąś łopatę.

Ryan spojrział na Indianina. Miał wyrzuty sumienia, że go w to wplątał i się nim wysłużył. Boże, był strasznym mięczakiem. Prawie podskoczył, gdy niespodziewanie usłyszał męski głos za sobą.

– Ja to zrobię.

To był Johnny. Stał za nimi z zapalonym papierosem w ustach. Pod oczami miał wyraźnie, ciemne worki po kolejnej nocnej zmianie w sklepie.

– Spóźnicie się na następną lekcję – kontynuował, gdy Ryan otworzył usta, aby coś powiedzieć. – Zajmę się tym.

Chłopak kiwnął głową na zgodę. Nie powiedział tego głośno, ale cieszył się, że to spadło na kogoś innego. Gdy wyminęli już razem z Atsah Johnny'ego, usłyszał jeszcze, jak ten mówi:

– Twoja matka i dziadkowie nie muszą o tym wiedzieć.

– Tak.

Ryan do klasy wszedł równo z dzwonkiem, ale jednak zdążył na drugą lekcję. Trish, która mimo zaspania pojawiła się wcześniej niż on, obdarzyła go zdziwionym spojrzeniem. Postanowił nie mówić jej o psie. Pocahontas była wyszczekana, ale miała dobre serce. Zwierzęta zaś lubiła nawet bardziej niż większość ludzi.

Na przerwie obiadowej spotkali się w trójkę na opuszczonej klatce schodowej prowadzącej na dach. Teraz wejście na niego było na stałe zamknięte kłódką, bo kilka lat temu jeden z uczniów próbował popełnić samobójstwo skacząc z niego. Nikt tu teraz nie przychodził, dlatego wybrali zapomnianą klatkę schodową na miejsce spotkań. Ryan pojawił się jako ostatni. Gdy wdrapał się po schodach na półpiętro, Trish zaczęła już pochłaniać kanapkę wypchaną jakąś organiczną zieleniną. Dziewczyna nie przejmowała się rzeczami takimi jak dieta, ale jej matka i owszem. Chciała, żeby jej rodzina była jak najdłużej piękna, młoda i szczęśliwa. Atsah stał obok, opierając się plecami o ścianę.

– Hej – zawołał Ryan, zwracając na siebie uwagę.

– No, hej – odpowiedziała mu Trish – Co do tego psa...

– Po co jej powiedziałaś?! – wszedł jej w słowo chłopak. Wściekły spojrział na Indianina.

Jedyną odpowiedzią, jaką uzyskał od Atsah, było wzruszenie ramionami. To rozsierdziło go jeszcze bardziej. Był mu wdzięczny za dzisiaj, cholernie wdzięczny. Nawet za to, że po wszystkim nic nie powiedział i najwyraźniej nie oczekiwał niczego w zamian, ale jednocześnie ten człowiek doprowadzał go z jakiegoś powodu do pasji.

– Dlaczego miałby nie mówić? – wtrąciła się Trish. – Ale przez całą tę sytuację powinniśmy przyspieszyć nasze działania.

– Co? Nie mogę teraz wyjechać. Moja rodzina...

– Ryan – przerwała mu Trish. – Twój wujek był w gangu. Wrócił i pewnie musi zapłacić. To jego sprawa i jemu to zostaw.

– Skąd taki pomysł?

– Nie widziałeś jego tatuażu? – zdziwiła się dziewczyna. – Gdy byłam w waszym sklepie, podwinął mu się rękaw, jak wydawał mi resztę. To znak The Outlaws. Banitów.

To miało sens. To miało aż za dużo sensu, pomyślał Ryan. Z tego wszystkiego aż przysiadł na schodku. Był głodny, ale od rana niczego nie zjadł, bo wciąż miał przed oczami zmalretowaną suczkę.

– Tym bardziej nie mogę z tobą pojechać. Moja rodzina... – wymamrotał.

– Gdyby coś miało im się stać, to już dawno by do tego doszło. Pies był ostrzeżeniem, bo najwyraźniej Johnny nie grał według ich zasad. Teraz pewnie pójdzie po rozum do głowy. A ty się tu do niczego nie przydasz. Ryan, powiedzmy sobie szczerze, jesteś zwykłym licealistą, a twoim jedynym wykroczeniem było przejście na czerwonym świetle. Na nic się tu nie przydasz. Już bardziej będziesz przeszkadzał. Johnny załatwi swoje sprawy, a my w tym czasie będziemy w innym stanie.

– A policja?

Trish prychnęła. Wstała ze schodka i poprawiła swoje długie, sięgające pasa włosy. Spojrzała na Atsah.

– Naiwny, co? – spytała. – Chcesz, to wskażę ci kilka domów, w których mieszkają ludzie z gangu. Jeśli ja to wiem, to policja tym bardziej. I wiesz co? Nic z tą wiedzą nie robią, bo są opłacani przez mafię.

Zeskoczyła trzy schodki w dół i poklepała Ryana po głowie.

– To sprawy dorosłych i im to zostaw.

Jako pierwsza ruszyła w dół klatki schodowej, pozostawiając chłopaków samych. Przerwa obiadowa dobiegała końca, więc Ryan też wstał. Gdy chciał zejść na dół, ale Atsah chwycił go za ramię.

– Zaczekaj na mnie po szkole. Pokażę ci coś.

– Co? – zdziwił się Ryan. – Co pokazać? Trish już poszła...

– Tylko tobie.

Na tym rozmowa się skończyła, bo Atsah go wyminął i pierwszy ruszył w dół klatki schodowej. Ryan patrzył na niego, aż potężna sylwetka Indianina nie zniknęła za winklem. Długie, czarne włosy chłopaka spływały po jego ramionach, odsłaniając okrągły tatuaż na karku.

Z jakiegoś dziwnego, niewytłumaczalnego racjonalnie powodu przystał na to. Znowś szedł za Indianinem, ale tym razem za jego wiedzą i pozwoleniem. Ogarnęło go lekkie zdziwienie, gdy okazało się, że Atsah zaprosił go do siebie. I co będą u niego robić? – pomyślał Ryan. Grać w *Assassin's Creed*? Jakoś mu to nie pasowało do postaci Indianina. Już bardziej polowanie na niedźwiedzie za pomocą włócznie, czy coś.

Do małego, niezadbanego domku weszli tylko po to, aby zostawić plecaki. Zaraz potem wrócili na zagracone podwórko. Wzdłuż ściany domu leżało dużo narzędzi, złomu i innych przedmiotów przykrytych plandekami. Atsah zniknął na chwilę w przybudówce, by zaraz wrócić do Ryana z otwartą puszką jedzenia dla kotów. Teraz chłopak był już bardziej niż skonsternowany. Gdy Indian podał mu naczynie, chwycił je jakoś z automatu. Spojrzał na puszkę, którą trzymał w dłoni, a potem na Atsah.

– Tam. – Indianin wskazał palcem na jeden ze stosu gratów przykrytych niebieską, plastikową plandeką. – Zwykle tam się chowa.

– Co takiego?

Indianin zbliżył się do Ryana i popukał łyżką w metalową puszkę. Po chwili pomiędzy starymi skrzynkami zabłysnęła para żółtych oczu. Ryan ledwie to zauważył, bo dwa jasne punkciki zniknęły w mroku tak szybko, jak się pojawiły.

– Boi się, bo cie nie zna – stwierdził Atsah.

Wyciągnął z kieszeni jakieś małe opakowanie i podał je Ryanowi.

– Masz, wymieszaj z jedzeniem – wytłumaczył. – Ja idę po gwoździe.

– Że co?

Ryan popatrzył za Atsah, który udał się powrotem do domu, a potem na opakowanie, które miał w ręce. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy przeczytał, że było to lekarstwo na robaki dla kotów.

Pukał łyżką w puszkę, błagał i robił „kici kici”, ale kot tylko na moment wylaniał się ze swojej norki, aby nawet przy najdrobniejszym ruchu chłopaka, znów ukryć się w ciemności. Ryan uznał, że ktoś musiał zrobić mu coś złego i dlatego bał się ludzi. Zaszył się tutaj, w stercie gratów i wyglądało na to, że Atsah się nim opiekował. Po kilku kolejnych próbach nakłonienia biało-burego kotka do wyjścia Ryana się poddał i po prostu wylał zawartość puszek na beton obok w miejsca, w którym ukrywało się zwierzę. Kot wreszcie wyszedł i w tempie ekspresowym pochłaniał papkę, gdy Norton się oddalił.

– Super słodki.

– No – zgodził się Atsah, który niepostrzeżenie pojawił się za plecami Ryana, co prawie przyprawiło go zawału.

Gdy odwrócił się w jego stronę, dostrzegł, że Indianin wcale nie patrzył się na kota, a na niego.

– W rzeczy samej – potwierdził Ryan, czując się jakoś niezręcznie.

Później dowiedział się, po co Atsah latał do lasu z siekierą. Z kłód, które ściał i okorował, zrobił deski, a teraz zamierzał zbudować budę.

– Dla kota? – zdziwił się chłopak.

– Ojciec zamierza w końcu wywieźć te graty, a kot zbyt się boi, żeby wejść do domu – wytłumaczył Atsah bez mrugnięcia okiem.

– Aha.

Potem Ryan nauczył się robić coś z niczego pod czujnym okiem Atsah. Boże, jakie on miał czarne te oczy – przeszło chłopakowi przez myśl w pewnym momencie. I szorstkie dłonie, stwierdził, gdy Atsah uczył go tego, co podobno każdy mężczyzna powinien umieć. Cóż, Norton dzisiaj po raz pierwszy w życiu wbijał gwoździe. Indian

prowadził jego dłonie i stał przy tym stanowczo za blisko albo to Ryan za bardzo to wyolbrzymiał. Czuł wszystko za mocno.

Gdy skończyli, zrobiło się już ciemno, a Ryan był bardziej niż po prostu głodny. Umierał z głodu. I z zażenowania. Na koniec, wedle swojego zwyczaju, Atsah zmierzwił jego jasnobrazową czuprynę. Ryan sapnął akcentując swoje niezadowolenie. Indianin parsknął cicho pod nosem i chwycił go za czoło w miejscu rozcięcia.

– Rzeczywiście została blizna – stwierdził.

– Weź to łapsko – fuknął Ryan i strzepnął jego dłoń.

Teraz nie był tylko zły. Był też zażenowany. Chciał już iść do domu, a przede wszystkim nie być tutaj, koło wielkiego Indianina, który niedawno wyszedł z poprawczaka. I podobno kogoś zabił. I właśnie zrobił kotu budę.

Ryan miał w głowie jeden, wielki mętlik.

* * *

Nocni klienci całodobowego sklepu nie mogli dziś liczyć na odwzajemnienie uśmiechu, a nawet odpowiedź na „dobry wieczór” ze strony sprzedawcy. Johnny miał dzisiaj jeszcze bardziej parszywy humor, a jego myśli dryfowały gdzieś daleko. Dlatego kilka razy pomylił się przy wydawaniu reszty, co za każdym razem komentował siarczystem przekleństwem, nie bacząc na klientów.

Teraz, gdy bliżej było poranka niż północy, ruch się zmniejszył. W sklepie nie było nikogo, a Johnny mógł pomyśleć. Choć wcale tego nie chciał, bo nie podobały mu się jego własne myśli.

Siedział na swoim niewygodnym krzeselku za ladą i czekał, wpatrując się w drzwi. W końcu dosięgło jednak znużenie i przymknął oczy z głową opartą na dłoni. Ciszę przerwał ten upiorny dzwonek zamontowany przez dziadka Ryana, czyli ojca Johnny’ego, do przeszklonych drzwi sklepu. Jego zielone, zamglone teraz oczy nie ujrzały jednak tego, na kogo czekał. Do środka weszła długowłosa koleżanka Ryana.

Podeszła prosto do lady i oparła się o niego dwoma łokciami. Johnny automatycznie powędrował wzrokiem wzdłuż głęboko wyciętego dekoltu jej zielonej

koszuli. Czy wszyscy współcześni licealiści byli obdarci z niewinności? – zapytał sam siebie, a jego myśli od razu powędrowały do tego nieznosnego dzieciaka.

– Alkoholu ani papierosów ci nie sprzedam.

– Jaki praworządny. No kto by się spodziewał? – Zaśmiała się dziewczyna.

Nim Johnny zdążył zareagować, podwinęła mankiet jego koszuli, odkrywając skrawek tatuażu węża.

– No nie? – spytała, uśmiechając się.

Johnny strzepnął jej dłoń i poprawił swój rękaw.

– Otwarte karty? – zaproponował. – Powiedz, co masz powiedzieć, i idź spakuj różowy plecak do szkoły.

– Tak naprawdę to jest czarny, ale niech będzie.

Norton przewrócił oczami. Trafił mu się kolejny wyszczekany szczeniak.

– No to? – spytał.

– Więc może tak. Ryan stracił ojca, którego nie zdążył nawet polubić, więc miło by było, gdyby na tym skończyła się jego zła passa. I tak sobie myślę, że to leży w twojej kwestii. Ja zabiorę Ryana na wycieczkę, a ty w tym czasie załatw te swoje porachunki z ponurymi panami. Co sądzisz o moim genialnym planie? – spytała Trish, opierając się łokciami o ladę.

Johnny znów mimowolnie podążył wzrokiem w to samo miejsce.

– Wycieczkę? – powtórzył sugestywnym głosem.

– Zgadza się – potwierdziła Trish. – Pełną doznań, ale nie takiej natury. Próbowaliśmy i powiedzmy, że Ryan nie był tak zaabsorbowany, jak powinien.

– A ty masz swoją dumę? – podłapał Johnny.

– Właśnie. – Trish obróciła się i oparła plecami o krawędź lady, wyginając plecy, by dalej patrzeć mężczyźnie prosto w oczy. – To jak będzie?

– Zrobię, co muszę, i bez twojej pogadanki – odparł Johnny – ale miło, że się troszczysz o przyjaciela.

– No to w porządku – skwitowała Pocahontas.

W tym momencie irytujący dźwięk dzwonka znów rozległ się w sklepie, a do środka wszedł ten, na którego czekał Johnny.

– O, Cherubin – zawołała Trish na widok niskiego, farbowanego blondyna. – Jeśli przyszedłeś kupić procenty albo papierosy, to się zawiedziesz. A może przyszedłeś coś sprzedać?

Raphael najwyraźniej nie spodziewał się kogoś poza Johnnym w sklepie, bo spojrzał na Trish wyraźnie zaskoczony. Dzisiaj nie miał tego pewnego siebie uśmiešku.

– Od razu wykrzycz to całemu światu.

– Cherubin? – podłapał Johnny.

– Taka ksywka – wytłumaczyła Pocahontas, prostując się. – Przekorna, prawda? To ja już pójdę. Wierzę w ciebie, Johnny.

– Mówi do ciebie po imieniu? – zdziwił się Raphael, gdy zamknęły się drzwi za najwredniejszą i najpewniejszą siebie laską w liceum.

Nawet on nie mógł jej zgasić. I co tu dużo mówić, nie lubił jej, ale jednocześnie czuł wobec niej respekt. Teraz miał jednak inne rzeczy na głowie, bo oto Johnny wyszedł zza lady i zbliżał się do niego, a minę miał co najmniej nieprzyjemną.

Raphael instynktownie cofnął się o krok do tyłu, a potem drugi i jeszcze jeden, aż plecami natrafił na ścianę. Johnny wyciągnął w jego kierunku rękę, ale go nie dotknął. Przycisnął za to włącznik światła, który znajdował się koło głowy chłopaka. Gdy w sklepie zapadła ciemność, a Raphael podążył za spojrzeniem mężczyzny, wszystko stało się jasne. Byli tu tylko we dwóch, ale nie zapowiadało się na klimatyczną randkę, a wręcz przeciwnie.

Johnny patrzył w dół, na buty chłopaka. Prawa sznurówka konwersów Raphaela świeciła w ciemności na zielono. To był ich wspólny znak, wszyscy takie nosili. Także chłopak, który w nocy robił napis na murze Nortonów. I Johnny najwyraźniej już o tym wiedział.

– I co ja mam z tobą zrobić? – szepnął mężczyzna wprost do ucha drobnego chłopaka. Palcami przesunął po jego szyi.

Raphael zamknął oczy.

– Co tylko chcesz – odparł także szeptem.

Rozdział 8

– A ja się zastanawiałem, gdzie byłeś przed godziną i czemu sklep był zamknięty – zakpił Raphael, siląc się na uśmiech, mimo że w ogóle nie było mu do śmiechu. – Zrobiłeś mu coś?

– Temu dzieciakowi, który bazgrze mi po murze? Miałem zamiar, ale zobaczyłem jego buty i wróciłem tutaj, aby poczekać na ciebie – odparł Johnny. – Ulżyło?

Trochę – przyznał w myślach chłopak. A trochę nie. Uniósł głowę, by spojrzeć na twarz Johnny'ego, który nadal stał o krok od niego, zmuszając Raphaela do nawiązania intymnej znajomości z zimną ścianą całodobowego spożywczaka. Mężczyzna prawą rękę opierał przy włączniku światła, tuż koło jego ucha, blokując mu drogę ucieczki. Więc trochę mu ulżyło, a trochę wręcz przeciwnie.

Oprócz strachu o własne kości było coś jeszcze. Od samego początku, czyli gdy wraz z przyjaciółmi wszedł do sklepu, czuł się źle przez to, co zgodzili się robić. Gdy Ahiga wezwał go do siebie po raz pierwszy, inaczej ułożyło się to w głowie Raphaela. Johnny miał być starym, zgniłym zerem. Nieudacznikiem, który spieprzył z miasta, bo narobił sobie problemów z mafią i nie miał dość jaj, aby sobie z tym poradzić. A teraz wrócił i miał zapłacić. Teoretycznie wszystko było takie proste. Jednak rzeczywistość okazała się bardziej skomplikowana.

Johnny był miłym, zabawnym gościem, który pomagał rodzicom prowadzić sklep. Pewnie za młodu popełnił parę błędów, zrobił parę głupot, ale kto nie? Raphael zdawał sobie sprawę, jakie to płytkie, ale to, że Johnny okazał się być młodym i przystojnym facetem, jeszcze bardziej wszystko utrudniało.

– Ja... – chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Nie miał odwagi, aby popatrzeć mu prosto w oczy, więc spuścił wzrok na podłogę i tą przeklętą, fluorescencyjną sznurówką. – Rób, co musisz.

Zacisnął powieki i po prostu czekał, ale nic się nie stało. Gdy światło zostało ponownie zapalone, a on zdecydował się otworzyć oczy, Johnny właśnie odsunął się parę kroków do tyłu i zaczesywał opadające włosy za ucho. Dzięki temu Raphael mógł dojrzeć na jego przedramieniu okrytym rękawem koszuli kawałek tatuażu

przedstawiającego złotozielonego węża. Chyba tyle zostało z Johnny'ego gangstera. I dobrze.

– Powiedz mi po co? Dla zabawy, dla kasy? Może teraz tego nie widzisz, ale to, co teraz robisz, jest bardzo głupie. I spieprzy ci życie.

– Po co? – powtórzył Raphael i wzruszył ramionami, wciąż opierając się o ścianę. – Nie wiem po co. Handlować zacząłem chyba z nudów. Bo życie było takie wyblakłe. Nawet nie potrzebuję tej kasy. Moi starzy są nadziani, a ja chyba jestem po prostu rozpieszczonym, zblazowanym dzieciakiem. A tej całej akcji to wcale nie chciałem. Ale nie mogłem powiedzieć „nie” samemu Ahidze.

– Raczej nie – zgodził się Johnny z ciężkim westchnięciem. – A pies?

Raphael otworzył szeroko oczy.

– Ja tego nie chciałem! Naprawdę! – zapewnił gorączkowo. – Ja też mam psa. Nazywa się Apollo... Ale Ahiga mnie wezwał i kazał mi zmusić cię do działania. No i chłopaki to wymyślili... I... i nieważne.

Zacisnął palce na swoich falowanych, zaczesanych na bok włosach i uklęknął pod ścianą.

– Kurwa.

– No, kurwa – potwierdził Johnny i podszedł do lady.

Usiadł na niej i wychylił się do tyłu, aby z szuflady wyjąć w połowie opróżnioną paczkę papierosów. Z zapalonym już papierosem w ustach pomasaował się po czole.

– To co teraz? – zdecydował się zapytać Raphael.

Kucając w pod ścianą z tą skruszałą miną, wyglądał jak szczeniak, który nasikał na dywan.

– Teraz lepiej powiedz mi, co tak dokładnie kazał ci zrobić Ahiga.

– Nic szczególnego. Po prostu zostawiać tę wiadomość na twoim murze i cię obserwować – wytłumaczył chłopak. – A jak nic nie robiłeś, to kazał mi „zintensyfikować działania”. Stąd ten pies.

– A co oznacza ta wiadomość?

– Hm? Pojęcia nie mam. Żaden z nas nie zna nawaho. Tylko ją przepisujemy, nawet nie wiem, czy poprawnie. I co teraz? Powinienem mu powiedzieć, że rezygnuję?

Johnny wypuścił smugę dymu i parsknął śmiechem.

– Wiesz jak Cyklop zdobył swoje ksywkę? – spytał. – Bo Ahiga wydłubał mu oko gołymi rękami, gdy byliśmy jeszcze w liceum. Dlatego nie możesz mu powiedzieć, że rezygnujesz, naiwny dzieciaku. Nawet nie wiedziałeś, na co się piszesz, co? Dalej rób, co ci każą.

Raphael kiwnął niemrawo głową na znak, że rozumie. Uniósł się i spojrzał na Johnny'ego.

– A ty?

– A ja też zrobię, co muszę – odparł mężczyzna. – Bo nie chcę, aby po psie nadeszła kolej na moją matkę.

Raphael pobladł jeszcze bardziej, mimo że miał bardzo jasną cerę. To nie była już zabawa. Nie chciał się mieszać w spawy gangsterów, tych prawdziwych, a nie naiwnych dzieciaków mocnych jedynie w gębie, ale nie chciał też zostawić Johnny'ego samego z tym wszystkim. Nie wiedział już, co robić. Decyzję pomógł mu podjąć sam mężczyzna:

– Idź już. I więcej nie przychodź do sklepu.

– Tak, tak będzie najlepiej – przyznał smutno Raphael. Po chwili uśmiechnął się krzywo i dodał: – Dzięki, że tylko na tym się kończy. Że nie złamałeś mi nosa czy coś.

Johnny parsknął śmiechem. Pocieszny był z Raphaela szczeniak. Mały, naiwny diabełek.

– Idź już – powtórzył.

Chłopak popatrzył na niego jeszcze raz i kiwnął głową. Zatrzymał się jednak w pół kroku, gdy trzymał już w dłoni klamkę drzwi.

– O co właściwie chodzi? – spytał, odwracając twarz w stronę mężczyzny. – Bo nie o kasę, prawda? Wtedy nie byłoby takich cyrków. Wyrwałeś mu pannę, czy coś?

– Dobrze wiesz – odparł Johnny. – Chodzi o urażoną dumę, a to jedyne na czym zależy Ahidze. Bardziej niż na czymkolwiek innym, a na pewno bardziej niż na „pannach”.

Nadal siedział na ladzie i męczył papierosa. Jego poza wyglądała bardzo luzacko, ale to były tylko pozory. Tak przynajmniej wydawało się Raphaelowi. Mężczyzna był zrezygnowany. Zamierzał podjąć wyzwanie, ale już teraz nie wierzył w powodzenie. I pewnie miał rację. Boże, on umrze! – zadzwoniło chłopakowi w głowie.

Puścił kławkę i szybko do niego podszedł. To, co zamierzał zrobić, zostało udaremnione przez fakt, że Johnny siedział na wysokim blacie, a przez to ich twarze były od siebie jeszcze bardziej oddalone, niż gdy stali obok siebie. Mężczyzna popatrzył zaskoczony na twarz dzieciaka. Na tę jego smętną minę i proszące spojrzenie czarnych, wąskich oczu.

– Wujaszku...

– Mówiłem, żebyś tak do mnie nie mówił – sapnął Johnny. – Czuję się wtedy jak jakiś pedofil.

Przełożył papierosa z ust między palce i odsunął w powietrzu dłoń na tyle, aby popiół nie poparzył chłopaka. Nachylił się i złożył na jego ustach pocałunek. Krótki i nie dający nadziei.

– Śmierdzisz dymem.

Johnny uśmiechnął się i zmierzwił wolną dłonią krótkie włosy chłopaka.

– Zmykaj.

Od Ryana dowiedział się, że wysoki chłopak o rdzennych rysach twarzy, który często towarzyszył jemu i tej wygadanej dziewczynie, nie znał języka nawaho. Tego się spodziewał, bo przecież życie nie mogło być zbyt proste. Nie w jego przypadku. Matka dzieciaka podobno mieszkała w rezerwacie. Właśnie tam zamierzał udać się Johnny. Musiał jednak jeszcze kiedyś spać oraz chodzić na nocne zmiany do sklepu.

Dał sobie kilka krótkich godzin na regenerację. Czekala go długa podróż. Do rezerwatu jechało się trzy godziny. Zasypiając o poranku w pokoju, który niegdyś należał do Ryana, myślał o dawnych latach. Za jego czasów uczniowie lokalnego

liceum musieli nosić mundurki – białe koszule z naszywką i czarne spodnie. Jedno wspomnienie było szczególnie wyraźne. Widział, jak Ahiga stał na balkonie. Wiatr bawił się jego długimi włosami i materiałem rozpiętej koszuli, na której widniały plamy zaschniętej krwi. Uśmiechnął się, gdy zobaczył Johnny’ego, który stanął w progu balkonu.

* * *

Poranne słońce zalewało przestronny pokój jasnymi smugami, które znalazły sobie drogę do tego ciemnego miejsca między zasuniętymi, ciężkimi kotarami. Nikt nie miał tu wstępu. Oprócz właściciela domu znajdował się tu jedynie młody pielęgniarz w białym uniformie. Gdy tak stał z założonymi rękami, jego naprężone bicepsy robiły ogromne wrażenie, tak jak szeroki, niesamowicie biały uśmiech.

Fizjoterapeuta zaklaskał radośnie, gdy jego pacjent, przytrzymując się obojgiem rąk poręczy, zdołał przejść około pięciu metrów. Mężczyzna popatrzył na niego rozwścieczony. Krople potu błyszcząły na jego zmarszczonej w gniewie twarzy.

– Przestań! – warknął.

– Ale tak dobrze panu idzie. Lekarze byli pewni, że z takim urazem kręgosłupa już nigdy nie będzie pan chodził. Podziwiam pana samozaparcie – oznajmił niewzruszony tym wybuchem pielęgniarz, wciąż z radosnym uśmiechem na twarzy.

Ahiga syknął parsknął, ale nic już nie powiedział. Gdy spróbował zrobić pierwszy krok, by pokonać tę samą ścieżkę jeszcze raz, zachwiał się, a potem opadł na kolana. Pielęgniarz od razu do niego podbiegł, ale gdy próbował mu pomóc się podnieść, mężczyzna odepchnął gwałtownie jego dłoń. Gdy to nic nie dało, uderzył go pięścią w szczękę. Pielęgniarz zachwiał się i skołowany oparł plecami o ścianę.

– Wynoś się! – warknął Ahiga, wciąż klęcząc na podłodze. – Spierdalaj!

Gdy został sam, uderzył z całej siły pięścią w podłogę. Jego własna słabość go brzydziła. Znow spróbował się podnieść, ale jego nogi odmówiły posłuszeństwa. Gdyby były jednym z jego psów, po prostu by je odstrzelił. Musiał doczołgać się do wózka inwalidzkiego. Dostanie się na niego wymagało od niego ogromnego wysiłku. Czuł się upokorzony i upodlony. Tak, jak każdego dnia od trzynastu lat.

– Johnny – wysyczał, zasłaniając twarz wytatuowaną dłonią. Białka jego skośnych oczu były przekrwione. – Johnny.

* * *

Szkolna stołówka była swoistym miejscem. To tu zawsze podział uczniów był najbardziej widoczny. Ci fajni, średni i żałośni siedzieli przy stolikach w odseparowanych grupkach. Niekiedy na pozór trudno było znaleźć to, co dzieliło poszczególnych uczniów. Na pierwszy rzut oka wyglądali tak samo, podobnie się ubierali. Jedni mieli jednak na stopach conversy za sto dolców, a inni ładząco podobne i prawdopodobnie wyprodukowane w tej samej chińskiej fabryce trampki za dziesięć dolarów z hipermarketu.

Gdzieś w środku stawki, wśród tych fajnych, ale zbyt wyluzowanych, znajdował się Raphael ze swoją ekipą. W trójkę okupowali stolik, posilając się szkolną papką pozbawioną smaku. Mdłość posiłków wynikała z walki o zdrowie młodego pokolenia Amerykanów i epidemią otyłości. Gdy wzrok Raphaela, którego strasznie bolała dzisiaj głowa, przypadkowo natrafił na uczennicę, która rozstępy miała nawet na ramionach, skrzywił się z sykiem. Dzisiaj wszystko go irytowało. I jeszcze to tępe pulsowanie pod czaszką.

– Coś taki skrzywiony od rana? – spytał Floyd, chłopak w dredach, które zwykle zaplatał w kok na szczycie głowy. – Obalałeś jakieś procenty bez nas?

Cherubin przełknął ślinę. Musiał powiedzieć to, co sobie postanowił. Nie patrzył jednak na Floyda, który nie był tu problemem. Chłopak należał do tych, którzy mają wszystko gdzieś i po prostu chcą się zabawić. Z tego samego powodu bawił się wraz z nimi w handel. Po prostu szukał emocji. Inaczej sprawa miała się z Carlem, na którego właśnie zerkał Raphael. Wysoki brunet, o ciemnej cerze, wszystko brał na poważnie. W tym całą tę gangsterkę. To on zwykle robił napis na murze Nortonów i to on wpadł na genialny plan skatowania psa. I on go wykonał. Chciał się wykazać przed ludźmi z góry.

– Ja chciałbym trochę przystopować – powiedział Raphael. – Ten pies... To nie tak miało wyglądać. Mieliśmy tylko robić ten głupi napis...

– Co? Cykasz się? – parsknął Carl. – Młody panicz się cyka?

– O co ci chodzi z tym paniczem? – spytał Floyd, wzdychając. – Coś ci odwała ostatnio.

– Mnie nic nie odwała! – zaprzeczył ostro chłopak. – Ja, w przeciwieństwie do was, z pieniędzmi waszych tatusiów, nie mam innej opcji. Nie zamierzam oddzielać mięsa od kości w zakładach mięsnych przez całe, godne pożałowania życie jak mój stary.

– Tą akcją z psem pokazałeś coś zupełnie odwrotnego – zauważył Floyd.

– A ty się zamknij! – warknął do niego Carl.

Floyd przewrócił oczami, ale jednak tego nie skomentował i wrócił do kończenia swojej porcji puree ziemniaczanego. Był niższy od swojego kolegi, ale lepiej od niego zbudowany. Był też inteligentny, czego świadomi byli tylko niektórzy ludzie z jego otoczenia, chociażby Raphael. Samemu Floydowi natomiast nie zależało na tym, aby cię czymś wykazać, więc nauczyciele mieli go za kolejnego głupka z przeciętnymi ocenami. Wrócił więc do swojego obiadu, zostawiając Raphaela samego na placu boju. Nie lubił problemów.

– Chcesz zrezygnować? – spytał Carl.

– Nie – zaprzeczył Raphael. – To znaczy, może i bym chciał, ale to nie jest takie proste. Po prostu nie chcę mieszać się w sprawę z tym gościem ze sklepu. Resztą będę się zajmować, jak dotychczas.

– Och, więc chcesz ciągnąć kasę z handlu, ale rączek pobrudzić, to już nie ma komu? – spytał Carl ściszone, ale wciąż przesiąkniętym jadem głosem. – No jasne. Tak najlepiej.

– Carl...

– Zamknij się, Floyd – syknął, gdy trzeci chłopak znów próbował się wtrącić. – Dobrze, zrobię wszystko sam. Wszystko to, co będzie trzeba.

– Czyli co? – spytał Raphael. – Co będzie po psie? Jak każą ci wypruć flaki Ryanowi Nortonowi, to też to zrobisz?!

– Jeśli to będzie konieczne. Jeśli to mnie do czegoś doprowadzi.

Raphael wstał do stołu i dzierżąc w rękach tackę z niedokończonym obiadem ruszył w stronę miejsca, gdzie je odbierano. Zdenerwowany nie zwracał uwagi na to, co się wokół niego dzieje, więc wpadł wprost na Pocahontas, za którą stał ten wielki

Indianin. Raphael spojrział na nich przelotnie, a potem pośpiesznie wyminął. Nim to zrobił, rzucił jeszcze ciche „Sorry”.

– A temu co? – zdziwiła się Trish, oglądając się na niego.

– A kto to?

– Cherubin – odparła dziewczyna, odmachując Ryanowi, który trzymał dla nich miejsca. – On i jego zgraja uznają się za sprytniejszych niż są.

Nie zauważyli tego, że oprócz Ryana patrzy na nich jeszcze ktoś inny. A był to Carl. Swojemu koledze, który wzburzony opuścił stolik, nie poświęcił za to nawet dodatkowej sekundy. Ten mięczak już go nie interesował. Dotąd pozwalał mu na szefowanie, bo Raphael był lepszy w interesach. Miał gadane i łatwo odnajdywał się wśród różnych ludzi. Szybko powiększał kręgi swoich znajomych, a przez to klientów. To była tylko dziecinada, a Carl chciał się zasłużyć i zostać zauważonym przez gang. Aby do tego doszło, musiał się wykazać.

– Nie idziesz za nim? – spytał Floyd.

– Nie skończyłem ziemniaków.

– Po prostu masz to w dupie. Nie obchodzi cię ani on, ani ja, ani nawet to, co robimy. Jak ci się znudzi, to po prostu sobie pójdziesz, więc muszę ci zapewnić rozrywkę, co? – spytał Carl, uśmiechając się.

– Jaką niby? – zapytał Floyd, odrywając się od obiadu.

Gdy Carl wskazał coś kiwnięciem głową, spojrział w tamtą stronę.

– Ryan Norton? Co z nim?

– A to, że przypadkiem posłyszałem pewną bardzo ciekawą rozmowę z tą jego grupką.

– Pocahontas i tym nowym?

– Tak – potwierdził Carl. – Podobno jadą niedługo na wycieczkę.

– I co z tego? – Floyd wzruszył ramionami. – Muru za sobą nie zabiorą.

– Bystrzacha z ciebie – parsknął Carl, maczając frytkę w keczupie. – To z tego, że będzie daleko od mamusi i swojego wujaszka – kiedyś gangstera. Daleko od domku, sam i bezbronny.

– Ahiga nas o to nie prosił.

– Tym bardziej doceni zaangażowanie. Szykuj walizkę, Floyd. Wybierzesz się w podróż.

Rozdział 9

Przespał się może ze cztery godziny. Nic to nie dało, a wręcz przyniosło odwrotny skutek od zamierzonego. Czuł się jeszcze bardziej zmęczony, niż kiedy kładł się nad ranem. Był zmetłany psychicznie jak stary wełniany sweter, a do tego od zawsze miał problemy ze spaniem w dzień. Nocne zmiany go wykańczały, a przed wszystkim to, że znowu wszystko się waliło. Nie powinien tu wracać. A co najważniejsze, nie powinien wciągać w swoje problemy rodziny, ani tego nieznośnego smarkacza.

Wyrzuty sumienia dręczyły go jeszcze przez to, że pozwolił Raphaelowi się do siebie zbliżyć. Przełamać bariery. Niektóre rzeczy nawet sam inicjował! I nadal nie miał pojęcia, dlaczego to robił. Dał mu się do siebie zbliżyć, przyzwyczaić, a to nie dobrze. Nie dlatego, że dzieciak zapewne oglądając porno wklejał w swojej pokręconej mózgowicy w miejsce facjaty aktora jego twarz. To akurat mu nie przeszkadzało. O dziwo. Chodziło o to, że Johnny miał przecucie graniczące z pewnością, iż nie pożyje zbyt długo. I dzieciakowi będzie smutno. Lub, co gorsza, oberwie rykoszetem.

Właśnie w takim nastroju wsiadł do starego Passata i ruszył w drogę. Przez chwilę miał ochotę po prostu jechać jak najdalej od wszystkiego i już nie wrócić. Być wolnym tak, jak przez ostatnie lata, ale tego nie zrobił. Niestety posiadał sumienie. Ruszył więc tam, gdzie planował, czyli do rezerwatu Indian. Musiał dowiedzieć się, co znaczy ten napis. Co musiał zrobić, aby nikt nie zginął.

Indianie z rezerwatów dzielili się na tych bardziej otwartych, którzy zarabiali na turystyce i hazardzie oraz tych mniej, parających się rolnictwem, hodowlą owiec i bydła oraz wydobywaniem ropy oraz innych skarbów Matki Ziemi. Jednych i drugich łączyła niechęć do zdradzania obcym tajemnic swoich wierzeń oraz chronienie przed nimi miejsc szczególnego kultu.

Po trzech godzinach zobaczył koło przydrożnej restauracji drewniany stragan. Ucieszył się na jego widok, bo do rezerwatu było jeszcze kilka kilometrów. Zaparkował i podszedł do niego. Sprzedawczynią była stara Indianka. Siwiejące włosy miała zaplecione w dwa warkocze. Obok stoiska, na którym poukładane były

tradycyjne rękodzieła, wyszywane, wełniane poduszki, biżuteria i inne bibeloty, bawił się około dwunastoletni chłopiec. Johnny włożył dłoń do kieszeni dżinsów i wyciągnął z niej pomiętą kartkę, na której miał przepisany tekst z muru.

– Chciałem... – zaczął, ale przerwała mu staruszka, która dotąd nawet na niego nie spojrzała.

– Najpierw pieniądze.

– Ja nie chciałem niczego kupować – zaprzeczył Johnny. – Chciałem tylko się dowiedzieć, co tu pisze.

Wyprostował kartkę i wyciągnął dłoń w stronę Indianki. Ta jednak nawet nie spojrzała na tekst.

– To stragan – powiedziała jedynie. – Na straganie się kupuje.

Johnny zrozumiał aluzję. Z ciężkim westchnięciem popatrzył na te paści. Wybrał małą poduszkę z frędzlami oraz z wyszywanym wzorem, składającym się głównie z rombów. Przynajmniej będzie mu się lepiej spało.

– Ile za to?

– Pięćdziesiąt dolarów – odparła staruszka.

– Że co?! – oburzył się Johnny. – I co? To jest inkrustowane złotem, czy coś?

Mógł sobie gadać i pienić się do woli, ale nic mu to nie przyniosło. Babka ostentacyjnie nie zwracała na niego uwagi, poświęcając się wyszywaniem na płótnie jelenia. Nie omieszkał zmrozić Indianki gniewnym spojrzeniem, jednak zapłacił jej i zabrał poduszkę. Kobieta wzięła od niego świstek. Czytając, kiwała lekko głową. Jej mina przy tym nie mówiła Johnny’emu zupełnie nic.

– I co tam pisze? – niecierpliwił się.

– Jesteś żądny wiedzy? – spytała stara Indianka. – Wiedza kosztuje. Nie słyszałeś o tym?

– Dopiero co dałem ci pięćdziesiąt dolców!

– Kupiłeś za nie poduszkę – odparła kobieta z wciąż tą samą, niewyrażającą niczego miną.

Johnny parsknął głośno.

– Teraz powiedziałbym coś rasistowskiego, ale matka za dobrze mnie wychowała – syknął.

Z kieszeni wysupłał to, co mu zostało, czyli dwudziestodolarowy banknot. Indianka, tak jak poprzednio, schowała pieniądze w kieszeni swojej spódnicy.

– Posłuchaj więc kogoś, kto stąpa po tej ziemi znacznie dłużej.

– Co to za mistyczna przemowa? – prychnął Johnny. – Oprócz przekupki i wrednej baby jesteś też szamanką? Czy po prostu naciągasz idiotów, którzy wierzą w cały ten mistyczny shit? Po prostu przetłumacz wiadomość.

Staruszka mierzyła go chwilę wzrokiem bez słowa.

– Proszę – skapitulował Johnny.

– Tam są złe słowa – powiedziała w końcu kobieta. – Nie można ich wymawiać na głos, bo wtedy nabierają jeszcze większej mocy. Możesz jednak to jeszcze zatrzymać. Jest jeszcze czas.

– Co to ma znaczyć? Miałaś przetłumaczyć wiadomość – zdenerwował się Johnny. – Nie potrzebuję tego pieprzenia!

W tym samym momencie na parkingu zaparkowała stara, odrapana półciężarówka. Wysiadł z niej mężczyzna w sile wieku, również Indianin. Obrzucił Johnny'ego ostrzegającym spojrzeniem i zwrócił się do kobiety w języku nawaho. Podszedł do straganu i zaczął wszystko pakować do worków.

– Zjeżdżaj stąd! – zwrócił się do Johnny'ego, a potem do chłopaka, który dotąd stał za plecami staruszki. – Do ciężarówki!

Dzieciak potulnie kiwnął głową. Nim odszedł, spojrzął jeszcze na Johnny'ego.

– Yenaldooshi.

* * *

Nie pozostało mu nic innego, jak ruszyć w drogę powrotną. Tu nic więcej nie uzyska. U Indian był już spalony, zresztą nie lubili oni dzielić się w swoimi sekretami.

– Yenaldoshi – prychnął. – Co za pierdoły.

Poirytowany palił nerwowo papierosa i prowadził jednocześnie samochód, wyciskając ze starego grata, ile tylko się dało. Babka wychujała go na siedemdziesiąt dolców, a dowiedział się tyle, że opętał go mistyczny demon.

Gdy wrócił do domu, był już wieczór. Niedługo musiał jechać do sklepu. Ten dzień był pomyłką. Dalej nic nie wiedział, a życie jego rodziny dalej było w niebezpieczeństwie. Johnny był w parszywym nastroju, ale przed wejściem do domu przywołał na twarzy coś, co przy mocnym przymrużeniu oczu można było uznać za uśmiech.

Nie spodziewał się ujrzeć w kuchni swojej bratowej. Jego zdziwienie jeszcze eskalowało, gdy spostrzegł, że siedząca na krześle kobieta, wciąż ubrana w garsonkę, przykładała do kostki worek z lodem.

– Och, Johnny. – Uśmiechnęła się na jego widok. – Nie wiedziałam, że wyszedłeś.

– Ta... – mruknął w odpowiedzi. – Co się stało?

– Ach, chyba skręciłam kostkę, wychodząc z autobusu – wytłumaczyła kobieta.
– Szybko puchnie.

– Zawieźć cię do szpitala?

– Och, nie jest aż tak źle.

– To chociaż zrobię ci coś do picia – zaproponował Johnny i ruszył w stronę czajnika.

Gdy woda się gotowało, coś go tknęło.

– Jak to się w ogóle stało? – dopytał Jennifer.

– Ktoś mnie popchnął, jak schodziłam ze schodka – wytłumaczyła kobieta. –
Źle przez to stanęłam.

– Popchnął?

– To na pewno był wypadek.

– Ta... – zgodził się Johnny.

Po zalaniu herbaty udał się na poddasze, do pokoju Ryana. Zastał go w towarzystwie tej wygadanej dziewczyny, siedzących na łóżku i oglądających na laptopie wywiad z Santą Boy'em. Może w innych okolicznościach zdziwiłby się, dlaczego tak bardzo interesują się gościem po czterdziestce, którego dni chwały już przeminęły.

– Mógłbyś chociaż zapukać – rzucił Ryan na jego widok zniechęconym głosem.

Cóż, Johnny wcale się nie dziwił, że dzieciak za nim nie przepada. Kilka razy zachował się wobec niego jak dupek.

– Hej, ten twój wysoki kolega... Gdzie mieszka?

– Atsah? – zdziwił się Ryan. – Po co ci to wiedzieć?

Johnny miał ochotę odpowiedzieć coś w stylu „Po gówno”, ale powstrzymał język.

– Po prostu mi powiedz – poprosił z naciskiem.

– Ale po co? – upierał się Ryan.

Trish lepiej czytała ludzi, więc to ona odpowiedziała:

– Naprzeciwko tej restauracji z kelnerkami w żółtoczerwonych mundurkach.

Big Wanda's, czy coś takiego.

Nim Ryan zdążył zaprotestować, Johnny'ego już nie było. Po chwili usłyszeli też bolesny skrzek silnika starego Passata.

– Po co mu powiedziałaś?

– A czemu nie? Czyżbyś martwił się o Atsah? – zapytała dziewczyna, racząc Ryana przekornym uśmiechem. – Tu raczej Johnny powinien się martwić.

* * *

– Co za niespodzianka, wujaszek Ryana. – Atsah stanął w drzwiach swojego domu. – Coś z samochodem? Z odległości kilometra słyszałem to rżenie. Sorry, ale ojca nie ma.

– Nie nazywaj mnie „wujaszkiem” – mruknął Johnny. Wystarczał mu jeden bezczelny dzieciak, który tak na niego wołał. – O moje auto też nie musisz się martwić. Potrzebuję informacji. Jesteś Indianinem, prawda? Z którego plemienia? Nawaho?

Atsah wydał z siebie zirytowane westchnięcie.

– Mówiłem już Ryanowi, że nie znam języka – odparł. – Jeśli to już wszystko, to...

Chciał zamknąć drzwi, ale powstrzymał go Johnny. Chwycił za ich brzeg i zaparł się całą siłą. Musiał, bo chłopak nie należał do chłystków.

– Proszę. Parę minut.

Atsah spojrzał mu w oczy, jakby coś z nich czytał.

– Dobra – zgodził się. – To o co chodzi?

Chłopak zaprowadził go do kuchni. Ciasnej i chaotycznie umeblowanej, tak jak i cały dom. Widać było, że mieszka tu dwóch facetów, dla których wygląd otoczenia nie ma znaczenia. Johnny wytłumaczył, o co mu chodziło.

– Nie powiem ci dużo więcej, niż można znaleźć w Internecie – zaznaczył Atsah. – Nie pamiętam już za wiele z opowieści matki. Yenaldooshi to inaczej...

– Tak, wiem. „Chodzący w skórze”. Demon, który na nagim ciele ma jedynie futro zdarte z kojota, a twarz zasłania jego pyskiem. Przynosi nieszczęście.

– To przeważnie jest kojot – potwierdził chłopak – ale nie zawsze. Może to być skóra innego zwierzęcia. Yenaldooshi może też przybrać formę dowolnego zwierzęcia.

Johnny pokręcił ze zrezygnowaniem głową. Tyle to i on wiedział.

– Ale co nocny ekshibicjonista ganiający półnago z indiańskich legend ma ze mną wspólnego? – spytał. – To tylko jakiś niematerialny demon. Wymysł ludzi, którzy przesadzili z opium.

– To nie do końca demon. Nie, w pojęciu chrześcijańskim. Każdy Yenaldooshi był kiedyś człowiekiem.

– Co? Jak to człowiekiem? I dlaczego stał się demonem?

– Yenaldooshi był kimś potężnym w plemienu. Szamanem, albo czarownicą. Kimś silniejszym niż reszta. Przemienił się po tym, jak zabił kogoś sobie bliskiego, z kim łączyła go krew. Członka rodziny lub nawet całą rodzinę. Wtedy stał się Yenaldooshi.

– Zabił członka rodziny? – powtórzył Johnny.

Czyli to jednak wszystko prawda, pomyślał. Cyklop powiedział, że Ahiga zabił swojego brata.

– Yenaldooshi nienawidzą ludzi, przez których zostali wygnani z plemienia. Często krążą wokół wioski, przynoszą nieszczęście tym, z którymi byli kiedyś blisko. Niekiedy porywają i zabijają niemowlęta, a ich kości mielą w pył. Ludzie, których nim posypią, zostają przeklęci.

– No to super – skwitował kwaśno Johnny. – A jak go pokonać?

Atsah wzruszył imionami.

– Nie wiem. Po prostu musisz być silniejszy od niego.

Z ust Johnny'ego wydobyło się parsknięcie. No to był skończony. Już wtedy, gdy chodzili jeszcze do liceum, Ahiga był już bestią. Johnny nie chciał sobie nawet wyobrażać, w co przeobraził się teraz.

– Dzięki – rzucił jeszcze i udał się do wyjścia.

– Jego imię – rzucił za nim Atsah.

– Co?

– Jeśli spotkasz go twarzą w twarz i rozpoznasz, kto kryje się pod maską... Jeśli wypowiesz jego prawdziwe imię, to go osłabi. Wtedy można pokonać Yenaldooshi – wytłumaczył chłopak. – Tak przynajmniej mówią legendy.

Do pracy przyjechał już spóźniony. Ojciec go okrzyczał, ponieważ musiał wieczorną dostawę rozpakowywać sam. Johnny przyjął wszystko z pokorą, właściwie w ogóle nie słuchając. Gdy został już sam na nocnej zmianie, za ladą wytrzymał może pół godziny. Nie było klientów, więc zamknął sklep i udał się na tyły budynku. Tam, do ściany przyczerpione były metalowe schody przeciwpożarowe, a właściwie trzeszcząca przy każdym ruchu drabinka pomalowana na czerwono. Johnny wspiął się po niej i wszedł na dach.

Od zawsze lubił widok nocnego nieba. Podczas swojej podróży po świecie, gdy sprzyjała ku temu pogoda, często sypiał na zewnątrz, nie przejmując się znalezieniem motelu do przenocowania. Im dalej do miasta, tym gwiazdy były lepiej widoczne.

Teraz położył się na plecach, podkładając sobie przedramię pod głowę. To z wytatuowanym wężem. Zapalił papierosa i zapatrzył się w nocne niebo. Gdy przypatrzeć się wystarczająco długo, można dojrzeć pulsowanie gwiazd. Podobało mu się to uczucie wolności, które teraz znów o sobie przypomniało. Gdy Ted nie był takim głupkiem, nie musiałby tu wracać, przeszło mu przez myśl. Nie lubił odpowiedzialności. A teraz, musiał posprzątać to, co sam naważył.

Zdziwił się, gdy nagle rozdzwonił się jego telefon. Pomyślał, że to ojciec dowiedział się, iż nie ma go w sklepie i będzie musiał wysłuchać kolejnej bury. Mylił się. Numer na ekranie wyświetlił mu się z podpisem „Nieznany”. Miał złe przeczucia.

Nim odebrał, rozejrzał się jeszcze wokoło. Nikogo nie zobaczył, bo siedział przecież na dachu.

– Czego chcesz?

Odpowiedział mu zachrypnięty śmiech. Na jego dźwięk Johnny zerwał się na równe nogi i znów rozglądął wokół siebie. Tym razem znacznie bardziej panicznie. Rozpoznawał ten głos.

– Nigdy nie trzymały się ciebie maniery – stwierdził Ahiga.

– Czego chcesz?! Zrobię, co chcesz, tylko zostaw moją rodzinę w spokoju. Chcesz tylko mnie, prawda? Więc ci mnie daję.

– Och, Johnny, kiedyś znacznie bardziej lubiłeś się bawić – stwierdził gangster rozbawionym głosem. – Zmieniłeś się. Nie tylko charakter, zresztą. Te blond włosy w ogóle ci nie pasują. Wolę naturalność.

– Gównu mnie obchodzi, co wolisz! – syknął Johnny.

Spojrzał na ulicę i zaparkowane na poboczu samochody. Czy Ahiga był teraz w jednym z nich, obserwował go? A może stał na innym dachu. Johnny czuł adrenalinę krążącą mu w żyłach.

– Czego chcesz? – powtórzył.

– Żeby na świecie zapanował pokój – odparł Ahiga. – A nie, to Matka Teresa. Czego chcesz? Przecież ci napisałem, Johnny.

Aż przeszły go ciarki, gdy usłyszał, jak ten mężczyzna wypowiada jego imię. Matka była tak zakochana w młodym Johnny’ m Deppie, że postanowiła synowi nadać jego imię, mimo że było to zdrobnienie. Nienawidził go przez długi czas. Przez nie nikt nie brał go na poważnie. A przede wszystkim nienawidził, gdy wypowiadał je ten mężczyzna.

– Musimy się w to bawić?

– Oczywiście, że nie, Johnny. Wiesz, że zawsze miałem do ciebie słabość. Możemy skończyć to teraz.

– Okej, to kończ!

Johnny rozłożył ręce, zupełnie się odsłaniając i czekał. Nic jednak się nie stało.

– No! – krzyknął. – No dalej!

Mijały kolejne sekundy i wciąż nic się nie wydarzyło. Johnny przyłożył telefon do ucha. Znowu usłyszał ten śmiech.

– Och, Johnny, Johnny... Nigdy nie należałeś do najbystrzejszych. Chcę, abyś cierpiał. Gdybym po prostu chciał cię zabić, zrobiłbym to już dawno. W Tajlandii, Brazylii, czy gdziekolwiek indziej. Nie rozumiesz? Ty umrzesz ostatni. A tak nawiasem, z twoim bratankiem chyba coś jest nie tak. Kilka godzin siedzą z tą długowłosą dziewczyną na łóżku i nawet się nie dotknęli. To gramy, czy nie?

– Tak – odparł Johnny zrezygnowanym głosem – gramy. Ale ja już znam twoje imię.

– To, które znasz, nadał mi mój ojciec. Ani jego, ani tego imienia nie darzyłem szacunkiem i nie uznaję za swoje własne. Musisz więc znaleźć moje prawdziwe imię, wypowiedzieć je, stojąc ze mną twarzą w twarz, a potem wbić mi nóż w serce. Po raz drugi. Wtedy wygrasz. Przypomnij mi, ile czasu ci zostało, Johnny?

Rozdział 10

Ryan miał dziwne przeświadczenie, jakby wszystko działo się po za nim. Jakby tylko on o czymś nie wiedział. To było frustrujące uczucie. Gdy tylko Atsah pojawiał się gdzieś na horyzoncie, Ryan miał wrażenie, że wraz Pocahontas wiedzą coś, co chcą zatrzymać tylko dla siebie. Podobnie sytuacja miała się z Johnny'm. Już samo to, że aktywnie pomagał im w przygotowaniach do, jak to nazywała Trish, „podróży życia” było co najmniej podejrzane. Przecież dotąd notorycznie olewał swojego bratanka i nie wyglądało na to, aby chciał zacieśnić relacje.

Nie minął tydzień, a oni byli już gotowi do drogi. Rodzice Pocahontas naprawdę pozwolili jej jechać, zaopatrzyli ją też w to, co najważniejsze w podróży, czyli pieniądze. Musiała tylko obiecać, że będzie dzwonić minimum dwa razy dziennie. No i rodzice zawsze mogli ją zawsze zlokalizować dzięki aplikacji w telefonie. To i tak mało, uznał Ryan. Rodzice Trish chyba naprawdę jej ufali. Niepojęte.

Inaczej sprawa miała się z ojcem Atsah. Mężczyzna chyba w ogóle nie był świadomy, że jego syn wybiera się do Teksasu. Nie traktował go jak dziecka i daleko mu było do ojca roku. Atsah więc nie kłopotał się z powiadomieniem go.

Najdziwniej wyszło z matką Ryana. Atmosfera w domu dalej nie powróciła do normalnej, ale chłopak dostał zgodę kobiety. Oczywiście dopiero po interwencji Pocahontas, jej rodziców, a nawet Johnny'ego, któremu z jakichś powodów bardzo zależało na wyjeździe Ryana. Wspólnymi siłami zdołali przekonać Jennifer, że jej syn potrzebuje odskoczni i zmiany środowiska. Że to dobrze robi jego psychice. Sam Ryan nie był już tego taki pewny. Szczególnie że kolejne dni będzie mu dane spędzić w towarzystwie Pocahontas, a w tym przypadku nigdy nie było wiadomo, co przyjdzie jej do głowy. No i Atsah, który był, jaki był. Czyli nie wiadomo jaki. Oni naprawdę nic o nim nie wiedzieli.

Więc jechali. Był późne, piątkowe południe, a oni właśnie opuszczali miasto starym samochodem należącym do ojca Atsah. Nie było tu nawet klimatyzacji, tylko starodawny nawiew, który wraz z ciepłem właczał do środka auta także dziwny zapach. Już zapowiadało się świetnie, uznał z kwaśną miną Ryan. Ściągnął kurtkę

i rozłożył się wygodniej na tylnym siedzeniu. Miał je całe dla siebie, bo Trish siedziała z przodu, obok Atsah, który prowadził jako pierwszy.

Ryan widział tylko tył jego głowy z wysoko zaplecionym kucykiem z czarnych, błyszczących włosów oraz jego szerokie ramiona. To, czemu chciał się przyjrzeć, przysłaniał zagłówek. Teraz sam już nie był pewien, czy Atsah naprawdę miał z tyłu szyi tatuaż, czy może mu się przewidziało. Z jakiegoś powodu strasznie to interesowało Ryana. Cały Atsah także. Ta jego tajemnica. Nurtowało go to. Ten człowiek. Chciał wiedzieć coś więcej o tym chłopaku. W ogóle go nie znał, nawet za dużo z nim nie rozmawiał, ale czuł, że mógłby mu zaufać. To było dziwne i nie umiał tego wytłumaczyć.

Teraz to nawet cieszył się, że wylądował na tylnym siedzeniu. Przynajmniej nikt nie mógł go takim zobaczyć. Dłońmi przetarł usta i brodę. Miał takie dziewczęce myśli. I co rusz, spojrzenie jego jasnych oczu spoczywało na tej samej osobie.

– Hej, Ryan, czy to nie jest ten przydupas od Cherubina? – Zaskoczony chłopak wychylił się, aby spojrzeć przez przednią szybę na pobocze drogi. – Atsah, zatrzymaj się.

– Dobra, ale kto to? Chyba go już widziałem.

– Floyd, czy jakoś tam. Co on robi tak daleko od centrum sam?

– Pojęcia nie mam – odparł Ryan.

Nie lubił całej tej świętej trójcy, której przewodził ten kurdupel Raphael. Chłopak zawsze za dużo gadał, a ten jego przydupas, Carl, miał spojrzenie świra i zaliczył już kilka spotkań z kuratorem, które na niewiele się zdały. Natomiast o Floydzie Ryan wiedział najmniej, ale nie chciał zmieniać tego stanu rzeczy. Wystarczyło mu, że chłopak palił dużo zielska, jeszcze więcej imprezował i został zawieszony w szkole za praktyczne wykorzystanie wiedzy książkowej w bibliotece. Cóż, bez odpowiedzi pozostaje też pytanie, co Kamasutra robiła między podręcznikami do wychowania w rodzinie?

Atsah zatrzymał samochód na poboczu, niedaleko machającego chłopaka. Floyd jak zwykle dredy miał spięte na czubku głowy, a jego bojówki z dwoma przypiętymi łańcuchami wisały na jego biodrach niebezpiecznie nisko.

Chłopak podszedł do samochodu i popukał w szybę od strony Pocahontas. Dziewczyna potrzebowała chwili na ogarnięcie, że to nie limuzyna jej rodziców i żeby otworzyć okno musi użyć siły własnych mięśni, czyli pokręcić korbką.

– Po prostu spadliście mi z nieba – wypalił Floyd, gdy tylko szyba się obsunęła. W jego ciepłym głosie pobrzmiwała charakterystyczna chryпка. Nadawałby się na jednego z tych mrujących raperów. – Szczęściarz ze mnie! Podwieziecie mnie, co?

– Ale wiesz, że jeśli chciałeś się dostać z powrotem do miasta, to powinieneś czekać na podwózkę po drugiej stronie ulicy? – spytała sceptycznie Trish.

– No ale właśnie nie chcę. Wręcz potrzebuję być jak najdalej przez jakiś czas.

Ryan przewrócił oczami, słuchając tych bzdur.

– Czyżbyś komuś podpadł? – zapytał.

– O, Ryan! – podłapał Floyd, patrząc w głąb samochodu. – Hm, powiedzmy, że Carl wpadł na pewien pomysł i trochę on nie wypalił. I przez jakiś czas będzie lepiej, jak nie będę rzucał im się w oczy.

– I co to był za pomysł? – spytała Trish, a Floyd przejechał dłonią po dreadach, jakby się zastanawiał, czy odpowiedzieć. – Podwieziemy cię, ale sam rozumiesz... Przydałoby się znać choć skrawek prawdy. Ociupinkę.

– No, Carl uznał, że nasze zaangażowanie jest warte większego docenienia – odparł Floyd.

– Chcieliście większy procent zysków z handlu. I panom ponurym pomysł się nie spodobał? – zgadła Trish. – Ryan, zbieraj menele. Będziesz miał gościa.

– Że co? Chcesz go zabrać? – zdziwił się chłopak. – Po co niby?

Trish odwróciła się do niego i posłała mu promienny uśmiech.

– Coś czuję, że rozluźni atmosferę.

Floyd wepchał się na tył samochodu, wcześniej rzucając na siedzenie swój materiałowy plecak z naszywkami. Nim Ryan zdążył jakkolwiek zareagować, już czuł ściskające go ramię chłopaka.

– Siema!

– No, siema – odparł bez entuzjazmu.

Następny macalski się znalazł.

– Gdzie tak w ogóle jedziecie?

– Przed siebie – odparła Trish. – Wysadzimy cię, kiedy będziesz chciał.

– Spoko – odparł Floyd, wzruszając ramionami.

Spoko? – powtórzył w myślach Ryan. Chłopak tak po prostu zgodził się jechać nie wiadomo gdzie z ludźmi, których prawie nie znał, w tym z jednym „podobno mordercą”, który niedawno opuścił zakład poprawczy. A Pocahontas tak po prostu zabrała jakiegoś typka z ulicy, bo „będzie fajnie”. Ryan już nie wiedział, kto tu jest nienormalny. On czy ta dziwaczna zgraja.

Bliżej poranka niż nocy zatrzymali się przy małym, prywatnym zajeździe z całodobową restauracją, aby coś zjeść i skorzystać z łazienki. Ryanowi nie chciało się ani jednego, ani drugiego, ale cieszył się, że wreszcie będą mieli więcej przestrzeni. Floyd cały czas się do niego kleił i próbował zagadywać, by w końcu zasnąć opierając głowę o jego ramię. Ryanowi kilka razy zdawało się także, że Atsah jakoś dziwnie przyglądał im się w lusterku. Chociaż nic nie umiał wyczytać z jego spojrzenia. Trish za to obserwowała wszystkich z zadowoloną miną, jak zwiedzający w ZOO podglądający małpy na wybiegu. Jakby ona jedna wiedziała, o co tu chodzi.

Do początku sezonu brakowało jeszcze paru miesięcy, więc spodziewali się, że zajazd będzie opustoszały. Bardzo się pomylili. Właściciele, czyli małżeństwa rzeczywiście nie było. Były za to dwójka ich nastoletnich dzieci, które pod nieobecność rodziców.

Ryanowi i reszcie powiedzieli, że śmiało mogą się rozgościć. Zrobić sobie coś dojedzenia w kuchni, a nawet się gdzieś przespać. Niech tylko wrzucą parę dolców do imprezowej miski, która stała na ladzie. Ryana chciał się wycofać i liczył na wsparcie Atsah, który nie wydawał się imprezowym chłopakiem. W końcu większość wolnego czasu spędzał w lesie, w odosobnieniu. Bardzo się pomylił. Atsah wparował na imprezę jako pierwszy, po drodze zagarniając ramieniem Ryana. Floyd i Trish także nie mieli nic przeciwko.

Godzinę później Ryan podpierał ścianę w rozległej sali, która na co dzień zapewne służyła jako jadalnia dla gości. Teraz z sufitu zwisały kolorowe lampki, a stoliki stały upchnięte w kątach. Trish i Atsah zniknęli gdzieś w tłumie. Ryan widział tylko Floyda, który właśnie uczył grupkę dzieciaków robić kółka z dymu, co

nagradzane było wybuchami śmiechu co parę sekund. I doprowadzało Ryana do pasji. On chciał tylko przemierzyć kraj pustymi drogami stanowymi jak w filmach i zobaczyć Santę Boy'a na żywo.

Zamyślony prawie podskoczył, gdy nagle wyrósł przed nim Atsah. Jedną dłonią zaparł się o ścianę koło jego głowy i nachylił ku Ryanowi. Teraz ich twarze dzieliło od siebie kilka centymetrów. To drugi raz, gdy byli tak blisko siebie. Pierwszy był wtedy, gdy Atsah postanowił zedrzeć Ryanowi z czoła plaster, którym zasłaniał bliznę po wypadku. Od tamtej pory już go nie nosił.

– Dobrze – skomentował nagle Indianin, dwoma palcami przejeżdżając po chropowatej powierzchni blizny. – Tak ci lepiej.

– Co, do cholery? – parsknął Ryan, bezskutecznie próbując strzepnąć jego dłoń.

Czuł się dziwnie skrępowany, więc wzrokiem uciekł w bok prosto na Floyda, który przyglądał im się z pewnej odległości.

– I jeszcze on.

– Właśnie. On – potwierdził Atsah i chwycił chłopaka za twarz, znów nakierowując jego spojrzenie na siebie.

– Boli! – poskarżył się Ryan, bo chłopak trzymał go za szczękę.

Zagapił się na czarne oczy Atsah. Czuł, jakby jego rozszerzone źrenice go wchłaniały.

– Brałeś coś? – spytał domyślnie.

Chłopak odpowiedział uśmiechem. Chyba pierwszy raz Ryan widział go takim rozluźnionym. Robiło się niepokojąco. Gdy Atsah wreszcie puścił jego twarz, postanowił się wycofać. Nie udało mu się, bo Indianin chwycił go za ramiona i przyparł mocniej do ściany.

– Dziwnie jest z chłopakami – stwierdził, nachylając się jeszcze bardziej ku Ryanowi. – Nie mają piersi, więc żeby być naprawdę blisko, trzeba docisnąć ciała do siebie.

– Co? – jęknął jedynie Ryan, czując jak Atsah go obejmował.

Czuł, jak dziwne napięcie, którego nie zaznał nigdy wcześniej, obejmuje całe ciało. Jakby go sparaliżowało. Spojrzeniem wędrował od błyszczących oczu

do pełnych ust chłopaka, które powoli zbliżały się ku jego. Tak mu się przynajmniej wydawało, bo dla niego wszystko działo się jak na spowolnionym filmie.

Najpierw poczuł pojedyncze pasma długich, czarnych włosów Atsah na swoim policzku i powiece. Całe jego ciało się spięło. To było ledwie muśnięcie, ale on czuł, jakby jego skórę przecięło ostrze.

Chyba tego chciał, przeleciało mu przez myśl, gdy jego wargi omiół ciepły oddech chłopaka. Przełknął ślinę i przymknął oczy, ale nic się nie stało.

– Strasznie się spinasz. – Usłyszał zamiast tego. – Powinieneś się rozluźnić.

Nie zdążył nawet o nic zapytać, bo teraz wszystko działo się błyskawicznie. Gdy spojrzął na Atsah, ten właśnie kładł sobie coś na języku. Znaczek z nadrukiem banana. Pocałował Ryana gwałtownie, dociskając go swoim ciężarem do ściany i torując sobie drogę do jego ust językiem.

Chłopak sapnął z frustracją przez nos, ale szybko się temu poddał. Podobało mu się. Nie słyszał nawet gwizdów i okrzyków ludzi zgromadzonych wokół nich. Otrząsnął się, gdy poczuł coś nieprzyjemnego na swoim języku. I był jeszcze ten dziwny, słodkawy smak. Wyrwał się Atsah i sięgnął do swoich ust, aby wyciągnąć znaczek.

– Pieprz się! – syknął, patrząc na Indianina wściekłym wzrokiem i pośpiesznie wyszedł z sali.

* * *

– Spodziewałem się podobnych atrakcji, ale nie w takiej konformacji.

Trish obejrzała się za na Floyda, który właśnie stanął obok niej. Jeszcze przed momentem oglądali całe zajście z różnych perspektyw.

– Co masz na myśli? – zapytała i napiła się soku z wysokiej szklanki z lodem.

Roztropnie byłoby, żeby chociaż jedna osoba z ich paczki pozostała trzeźwa. Nie miała nic przeciwko temu, aby to była ona, bo picie i inne używki uznawała za bezsens. To raczej nie łączyło jej z biologicznym ojcem.

Jeśli chodzi o rzeczy, za którymi Trish nie przepadała, należały do nich także tunele w uszach. Floyd takie miał i ich widok przyprawiał dziewczynę o dreszcz obrzydzenia. Jak chociażby teraz.

– Chyba chodziliście ze sobą? Ty i Ryan.

– To był tylko eksperyment – wytłumaczyła Pocahontas, uśmiechając się. – Chcieliśmy sprawdzić, czy przyjaźń i miłość rzeczywiście dzieli cienka, ale nieprzekraczalna granica. Okazało się, że tak. Eksperyment zakończony. Ale to ciekawe, że o tym wiedziałeś. To było tylko kilka tygodni i nie afiszowaliśmy się z tym. Trzeba było być pilnym obserwatorem.

Floyd zaśmiał się nisko i wcisnął dłonie w kieszenie spodni.

– Jestem leniwy – przyznał. – Obserwowanie to najlepsze hobby dla kogoś takiego jak ja.

– Ach, tak? – mruknęła Trish, posyłając chłopakowi nieprzekonane spojrzenie.

– Tylko kogo obserwowałeś? Mnie czy Ryana?

Na to pytanie już nie uzyskała odpowiedzi, bo nim skończyła mówić, Floyda już przy niej nie było.

* * *

Ryan przysiadł na niskim, kamiennym murku okalającym parking należący do restauracji, i przetarł twarz dłońmi, by potem ją w nich ukryć. Serce nadal mu kołatało. Dlaczego na to pozwolił? – zastanawiał się. Nie był jakimś zahukanym chłopcem z małego miasteczka. Wiedział, co mu się podobało i nie miał problemów z zaakceptowaniem tego. Powiedział też o tym Trish, która palnęła jedynie coś w stylu „Tylko nie wrywaj mi moich chłopaków na te błękitne oczy”.

Jednak dlaczego ciągnęło go do takich jednostek? Trish była taka sama. Pewna siebie, jak samiec alfa upchany w kobiece ciało, a jednocześnie niedostępna. Przed nikim nie otwierała się w pełni. Tworzyła barierę.

A Atsah do tego był walniętym Indiancem, który większość życia spędzał w lesie, mordował psy bez mrugnięcia okiem i podobno kogoś zamordował. Więc dlaczego w ogóle dał mu się pocałować? Odpowiedź była prosta: bo chciał.

Ciągnęło go do tego dziwaka już od pierwszej chwili, gdy go ujrzał. I nic dobrego z tego nie wyjdzie.

– Spadaj – syknął, gdy stanął przed nim Atsah.

Poznał go po butach i tam już zatrzymał wzrok. Nie mógł zmusić się, by spojrzeć mu w twarz.

– Fajnie było zabawić się moim kosztem? – spytał, bo Indian wciąż stał w tym samym miejscu.

– Chciałem tylko żebyś się przestał tak spinać. Zwykła zabawa – wytłumaczył Atsah, wzruszając nonszalancko ramionami. – To w głównej mierze cukier. Trochę kwasu. Nic ci nie będzie.

– Super – prychnął Ryan.

Bycie czyjąś „zwykłą zabawą” nie należało do najprzyjemniejszych doznań.

– Sorry, że nie umiem się bawić – parsknął, podnosząc się z murku.

Na imprezę nie miał już zamiaru wracać. Chciał iść do ich samochodu, ale kluczyki miał przecież Atsah. Z patowej sytuacji wyratowała go Trish, która właśnie do nich dołączyła.

– Załatwiłam nam przenocowanie – poinformowała, machając dwoma kluczami do pokoiów.

– Spoko, śpię z tobą – zdecydował Ryan, biorąc od niej jeden z kluczy.

Już bez zdania więcej, ani spojrzenia w stronę pozostałej dwójki, udał się w stronę wejścia do zajazdu. Trish odprowadziła go wzrokiem aż do drzwi, a potem zwróciła się do Atsah:

– Nie sądziłam, że tak szybko zaatakujesz.

Indianin uśmiechnął się, wzruszając lekko ramionami.

– Za dużo sobie dopowiadacie. To tylko zabawa.

– Jasne – zgodziła się Trish, unosząc sugestywnie brwi, jakby w ogóle nie dawała temu wiary.

Zapowiadało się na to, że wycieczka będzie jeszcze ciekawsza, niż się tego spodziewała.

* * *

– Czy oni muszą być tacy gejowscy?

Sasza uniósł się na łokciu, aby spojrzeć na Santę Boy'a. Leżeli na łóżku i oglądali nocną powtórkę „Modern Family”. To był głupawy serial bez głębi,

ale dialogi i dobór aktorów były świetne, a żarty nawet świeże. No i na Sofię Vergare zawsze dobrze się patrzyło. Nawet Santa Boy przyznał, że to niezła żyleta.

– Bo to para gejów – parsknął w odpowiedzi.

– Ale są strasznie przerysowani. Ten rudy jeszcze daje radę – odparł Santa, sięgając dłonią do paczki chipsów ulokowanej między nimi. – Ale ten gruby i to jego machanie łapami? Sam bym mu przypieprzył, jakbym go spotkał na ulicy, mimo że też jestem pedałem.

Sasza przymknął na chwilę oczy. Niekiedy był blisko uznania, że Sancio wreszcie klepki poprzestawiały się głowie we właściwie miejsca, ale zawsze szybko przekonywał się, że znów się przeliczył.

– Bo tylko ten rudy aktor w realu jest gejem. A ten tylko gra i może dlatego jest taki przerysowany? – zaproponował. – Z nas za to testosteron aż bucha, więc już odetchnij i daj sobie siana.

– No może ze mnie.

– I co to ma niby znaczyć? – spytał Sasza, zerkając na twarz muzyka i ten jego głupawy uśmieszek.

To oczywiście, że go podpuszczał.

– Masz psa ze schroniska, sortujesz śmieci na więcej sposobów niż tego wymagają, co tydzień namiętnie polerujesz antyramy z winylami High Death, które sam powiesiłeś w „specjalnym miejscu”. A, i co tydzień dzwonisz do matki i gadasz z nią godzinami. Ostatnio głównie o przygotowaniach do jej ślubu. To przynajmniej niepokojące, że odróżniasz kolor écru od perłowego.

– Odróżniam też fiołkowy od ametystowego – odparł Sasza. – Właśnie taki kolor mają teraz palce naszego sąsiada.

Usiadł na łóżku po turecku i wbił wyczekujący wzrok w Santę Boy’a, posyłając mu szeroki uśmiech. Był bardzo ciekawy, jak mężczyzna z tego wybrnie.

– A coś się biedakowi stało? Powinieneś go poduczyć, jak wsadzać sobie palce w dupę, aby nie uszkodzić ani jednego, ani drugiego.

– Nie pajacuj – prychnął Sasza, chociaż skrycie lubił te głupawe, niesmaczne żarciki Santy.

Muzyk przewrócił oczami. Leżał na łóżku z ręką podłożoną pod głowę. Wyglądał, jakby cały świat należał do niego.

– Był niemiły – rzucił nonszalancko.

– I od kiedy rusza cię gadanina jakiegoś idioty? – spytał Sasza. Zaraz jednak dodał domyślnie: – Powiedział coś o mnie, prawda? Ale to dalej nie powód, aby odstawiać takie akcje.

Nie uzyskał odpowiedzi, więc położył się z powrotem, opierając głowę na klatce piersiowej Santy Boy'a. Ten zaczął mierzwić dłonią jego irokeza, patrząc na sufit.

– Jestem człowiekiem, który jest zdolny kogoś zabić, aby chronić osobę, którą kocha – przyznał po chwili. – Wiem to bardzo dobrze. To siedzi we mnie gdzieś głęboko, zwykle schowane, ale niekiedy wypęłza na zewnątrz. Niekiedy boję się sam siebie.

Sasza wiedział to doskonale. Splótł ich palce ze sobą, przymykając oczy.

– Świat nie pomylił się robiąc ze mnie geja – kontynuował Santa. – Przynajmniej ten spaczony gen umrze razem ze mną. No i do kochania mam tylko ciebie.

Rozdział 11

Ryan liczył na spędzenie spokojnej nocy w hotelowym pokoju, oczywiście po wysłuchaniu tego, co na temat jego niespodziewanego pocałunku z Atsah miała do powiedzenia Trish. Z tą myślą umył się, przebrał i położył do łóżka. Gdy wreszcie, po jakichś dwudziestu minutach oczekiwania usłyszał skrzypienie klamki od drzwi wejściowych, odlepił wzrok od ekranu telefonu i skierował go w tamtą stronę. Nie ujrzał jednak osoby, której się spodziewał. Chociaż, ściśle rzecz ujmując, połowiczna właśnie tak było.

Do pokoju weszła bowiem Trish, towarzyszył jej jednak ten, którego Ryan miał teraz ochotę widzieć najmniej.

– A on tu po co? – spytał, unosząc się na łóżku do siadu.

– Zaszły pewne zmiany – oznajmiła Trish i sięgnęła po swoją porzuconą w kącie torbę. – Przed chwilą na korytarzu byłam świadkiem tego, że Atsah i Floyd nie dogadują się najlepiej i zamknięcie ich na noc w jednym pokoju nie jest najlepszym pomysłem.

Ryan zrobił zdziwioną minę i spojrzał na Indianina, który za to jedynie wzruszył ramionami, wyginając usta w podkowę. Chyba nie miał sobie nic do zarzucenia.

– I niby dlatego mam spędzić noc z tym zwierzęciem bez żadnych zahamowań?
– fuknął Norton.

– A wolisz z Floydem?

Z jakiegoś powodu nie wolał, więc tylko wydał z siebie umęczone, teatralne westchnięcie. Dalsza dyskusja nie miała z resztą sensu. Pocahontas już postanowiła i jedyne, co mu pozostało, to się z tym pogodzić.

W pokoju było tylko jedno łóżko, więc wyglądało na to, że będą się nim dzielić. Ryan nie miał ochoty spać na podłodze. Nie chodziło nawet o komfort, a bardziej o dumę. Nie zamierzał pokazać, że tamto wydarzenie poruszyło go w jakikolwiek sposób. Gdy więc zostali w pokoju jedynie we dwóch, ostentacyjnie wrócił do przeglądania Internetu na telefonie, nie poświęcając Indianinowi ani sekundy więcej uwagi.

Atsah przyjął to milczeniem i udał się do łazienki. Wrócił po paru minutach przebrany i najwyraźniej gotowy do snu, bo położył się na łóżku obok Ryana. Ten odwrócił się do niego plecami i wsunął telefon pod poduszkę.

Nie spał, to oczywiste. Nawet nie próbował, bo wiedział, że nic by to nie dało. Czuł go wyraźnie za sobą. Nie dotyk, bo ich ciała się nie stykały, ale coś wyraźnie drażniło jego nerwy. Może wzrok Indianina, jego ciepło, a może po prostu świadomość, że tam był.

Drgnął i otworzył oczy, gdy usłyszał cichy śmiech.

– Wiesz, po czym można rozpoznać, czy ktoś śpi, czy tylko udaje? – spytał Indianin. – Po oddechu. Oddech śpiącego człowieka jest wolniejszy i równy. Zdaje się, że nie wiedziałeś o tym ani ty, ani Floyd.

Ryan był zaskoczony przynajmniej z kilku powodów. Jeden był taki, że pierwszy raz słyszał, aby Indianin ciągiem wypowiedział aż tyle słów. Czyżby to, co zażył na imprezie, rozwiązało mu język?

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał, patrząc na niego przez ramię.

– To, że faceci w naszej szkole dzielą się na trzy rodzaje – odparł Indianin, posyłając mu zadziorny uśmiech. – Na takich, którzy marzą o choćby muśnięciu białej skóry Pocahontas, takich, którzy mają te same myśli względem Ryana Nortona i takich, którzy chcą obu tych rzeczy.

Ryan zdobył się na prychnięcie, chociaż zrobiło mu się gorąco. Miał nadzieję, że się nie zarumienił jak wiejska dziewczka słyszająca komplement. Więc, do którego rodzaju należał Atsah? – zastanawiał się. A do którego on sam?

Oczywiście nie marzył o samym sobie, ale od pewnego czasu zastanawiał się nad różnymi rzeczami. Właściwie, pogodził się już z tym, że raczej nie był przedstawicielem pierwszego rodzaju. Miał nadzieję, że może w takim razie łapie się chociaż do trzeciego. Teraz jednak uświadomił sobie jedną rzecz. Gdy był przekonany, że w tę noc przyjdzie mu dzielić łóżko z Pocahontas nie czuł nic specjalnego. A przecież kiedyś robili razem w łóżku rzeczy wymagającej znacznie większego zaangażowania niż spanie.

Ryan nie mógł powstrzymać się przed parsknięciem, co zwróciło uwagę Atsah. Zaangażowanie. Tego właśnie brakowało. Chciało mu się śmiać z jeszcze jednego

powodu. Dopiero teraz dotarło do niego drugie dno słów chłopaka. Atsah był zazdrosny o Floyda.

Świadomość tego, że leżeli na jednym łóżku, zamknięci sami w pokoju, a Indianin do tego coś brał, uderzyła w niego ze zdwojoną siłą. Patrzyli na siebie bez słowa, prosto w oczy, a Ryan nie mógł się zdecydować, czy jest bardziej podekscytowany, czy przerażony.

Zacisnął palce jednej dłoni na prześcieradle i przygryzł dolną wargę. Czuł, jak łomotało mu serce, a jego twarz zrobiła się gorąca i mokra od potu. Pewnie jego źrenice były teraz tak samo rozszerzone, jak te Atsah. Kurwa, raz się żyje – dodał sobie animuszu w myślach i po jeszcze jednym głębokim wdechu, nachylił się ku niemu. Przez chwilę wydawało mu się, że Atsah robi to samo. Że zaraz ich usta albo dłonie się spotkają, ale zamiast tego Indianin odsunął się i usiadł na skraju łóżku w ten sposób, że Ryan mógł widzieć tylko profil jego twarzy. A właściwie tylko czubek jego nosa i zaciśnięte usta, bo gdy Atsah się pochylił, jego rozpuszczone włosy opadły niczym kurtyna.

Ryana miała właśnie ować panika i zażenowanie, jak bardzo mógł się pomylić, ale nim myśli te na dobre zagościły się w jego umyśle, usłyszał:

– Naprawdę go zabiłem. Tego chłopaka.

I wszystko inne przestało mieć znaczenie. Ryan odsunął się instynktownie, a wtedy zaciśnięte dotąd wargi Indianina wygięły się w uśmiechu. Nie widział jego oczu, więc trudno było mu odczytać znaczenie tego gestu.

– I wiesz co? – kontynuował Atsah. – Wypuścili mnie z poprawczaka po roku.

Zdezorientowanie Ryana jeszcze urosło, bo chłopak nagle się roześmiał.

– Nie powinni mnie wypuszczać. Nazwali to przekroczeniem obrony koniecznej. Wiesz, to on mnie pierwszy zaatakował i to on miał nóż. Wyrwałem mu go i wbiłem w brzuch. I wiesz co?

– C...co? – spytał Ryan, patrząc teraz w przekrwione, rozszerzone oczy chłopaka, który zwrócił ku niemu twarz.

– Nie musiałem tego robić – odparł Atsah, wciąż się uśmiechając.

Wyglądał teraz jak obłąkany. Ryan naprawdę zaczął się bać. Pewnie rzuciłby się teraz do drzwi, gdyby nie oznaczało to konieczności minięcia chłopaka.

– Miał nóż.

Atsah znów się roześmiał.

– A gdybyś ty go teraz miał? – zapytał, wciąż się tak dziwnie uśmiechając. – Sądziś, że miałbyś nade mną przewagę? Że miałbyś jakiegokolwiek szansę?

Nie. Nie miałby żadnych szans.

– Lepiej już idź.

* * *

Trish siedziała na łóżku w podkoszulku na ramiączkach i krótkich spodenkach, które służyły jej za piżamę i nacierała łydki balsamem. Gdy Floyd siedzący obok po raz któryś z rzędu znów oglądał odbicie swojego policzka w ekranie telefonu, przewróciła oczami.

– Już nie dramatyzuj – parsknęła. – Ledwie cię musnął. Masz szczęście, że nie był trzeźwy i mu się omsknęła pięść.

– Wolę myśleć, że to mój zajebisty refleks – odparł wesoło chłopak.

Nie wydawał się jakoś nadmiernie przejmować sytuacją, która miała miejsce na korytarzu. Czyli tym, że ni stąd, ni zowąd Atsah postanowił mu przywalić. Dobrze, że akurat Trish się wtedy napatoczyła i ogarnęła sytuację.

– Ale jazda – skomentowała, układając się wygodniej na poduszkach. – Ja tu jestem, a to Ryan zgarnia całe zainteresowanie. Czuję się jak bohaterka jakiejś homomangi. Nagle wszyscy w okół okazują się być gejami. Ha, nawet mój kreator.

– Co? Kreator?

Trish machnęła ręką.

– Nieważne – stwierdziła.

Skoro „nieważne”, to Floyd nie zamierzał się zagłębiać. Taki już miał charakter. Położył się na łóżku koło dziewczyny.

– Myślisz, że co tam się dzieje? – spytał, zerkając na ścianę, do której dosunięty był mebel. – To na pewno bezpieczne zostawiać Ryana samego z tym świrusem?

– Nie słyszę jęków żadnego rodzaju, więc raczej się nie mordują i nie pieprzą – odparła Trish, posyłając mu jeden ze swoich firmowych uśmiechów.

Gdy mimowolnie jej wzrok padł na jedno z uszu Floyda, skrzywiła się. Tunele przyprawiły ją o nieprzyjemne dreszcze. Aż się wzdrygnęła.

– Ohyda – mruknęła, zasłaniając oczy dłońmi.

– Hm? To? – podłapał Floyd i po chwili majstrowania wyciągnął jedną z plastikowych wkładek z ucha.

Gdy Trish to zobaczyła, aż pisnęła. Wszelkie dodatkowe otwory w ludzkich ciałach, których nie zaplanowała matka natura, tak na nią działały.

– I po co ci to? – jęknęła, zerkając na rozciągniętą skórę.

– Dobre pytanie – przyznał Floyd. – W sumie, widziałem tylko jedno praktyczne zastosowanie. W pornolu.

– Niech zgadnę... Ktoś przekładał przez niego fiuta? – parsknęła Trish, a potem zaczęła się śmiać.

– No – przyznał chłopak, również się śmiejąc.

– Włóż już to z powrotem, bo aż mam dreszcze.

Gdy chłopak wykonał polecenie, po prostu się do niej przybliżył i ją pocałował. Trish oddała pocałunek. Wciągnęła Floyda bardziej na siebie, chwytając go za materiał koszulki. Jedną nogą oplotła go w pasie. Wszystko jednak nie trwało długo, bo Trish najwyraźniej nie miała ochoty pozwolić sytuacji nadmiernie się rozwinąć. Gdy Floyd zszedł z pocałunkami na jej szyję, a rękę wsunął pod materiał bluzki, chwyciła go za dredy i odciągnęła od siebie.

Chłopak syknął z bólu i zrobił zawiedzioną minę. Jednak potulnie się odsunął.

– W ogóle nie? – spytał z nutą nadziei w zachrypniętym głosie.

– Nie jestem typem dziewczyny, która w trakcie oczy trzyma zamknięte, a jak widzę te twoje uszy, to mi się odechciewa.

– Aż tak? – zdziwił się Floyd i aż zasłonił swoje małżowiny dłońmi. – No to głowę mogę ulokować gdzieś, gdzie nie dosięgniesz wzrokiem.

– Skoro ci to odpowiada.

Floyd miał ładnie wyrzeźbione ciało, uznała Trish. Szczególnie jak na kogoś, kto ponoć jest leniwy, a jego jednym hobby było obserwowanie. Mięśnie grające pod skórą na jego plecach były naprawdę ładnym widokiem. Ciekawe, czy Ryan by się z

nią zgodził? – przeszło jej przez myśl. W tym samym momencie kątem oka wyłapała, jak ktoś wpadł do ich pokoju. Trochę niemądrym było zostawienie otwartych drzwi, uznała.

To był Ryan. Jakiś taki poszarpany i rozedrgany stał przylepiony do ściany obok drzwi i chyba próbował ogarnąć umysłem scenę, której właśnie był świadkiem.

– Ja... ja chyba sobie pójdę... – zdecydował po otrząśnięciu z pierwszego szoku.

– Gdzie niby? – spytała Trish, lekko podciągając się na łokciach, aby lepiej zobaczyć.

Spokój w jej głosie był aż nierealny. Szczególnie że z ubrania pozostał jej jedynie biustonosz, a Floyd klęczał między jej nogami. Teraz on także patrzył na Ryana i również nie wydawał się zażenowany sytuacją.

– Gdzie? Gdziekolwiek – odparł Ryan. – Tylko nie tutaj.

– Wbiegłeś tu jak oparzony. Rozumiem, że z pokoju, który dzielisz z Atsah. Wnioskuje, że wracać tam nie chcesz, a na korytarzu chyba siedzieć nie będziesz? Możesz zostać tutaj. – Trish poklepała miejsce na łóżku obok siebie. – Jest jeszcze sporo miejsca, a Floyd nie będzie miał nic przeciwko, prawda?

– Prawda – potwierdził chłopak, uśmiechając się szeroko.

Siedział teraz na wprost Ryana. Jego nogi swobodnie zwisały z brzegu łóżka. Miał na sobie jeszcze bokserki. Nie miał żadnych oporów przed eksponowaniem ich zawartości ani swojego obnażonego ciała.

– Żartujecie... – jęknął Ryan, ale zaraz spojrzał na ścianę, która oddzielała ich pokoje.

Nie chciał myśleć o tym, co przed chwilą usłyszał. Boże, to było takie pojebane. Wszystko się takie ostatnio wydawało, a on był tylko zwykłym dzieciakiem. Byłoby miło przez chwilę nie być zdolnym do zebrania myśli.

Odbił się od ściany i podszedł do łóżka. Trish uśmiechnęła się do niego zachęcająco i wyciągnęła rękę, którą chwycił. Dał się ściągnąć z siebie podkoszulek, a potem prowadzony dłońmi dziewczyny położył się na łóżku.

Trish nachyliła się nad nim, zakładając opadające kosmyki włosów za ucho. Pocałowała go w usta. Najpierw lekko i zaczepnie, aby przykuć jego uwagę, a potem

znacznie bardziej namiętnie. Ryan oddał pocałunek, przymykając oczy i przyjmując jej sprawny język. Czuł jej ciepłe dłonie, wędrujące po jego ramionach. A potem jeszcze jedne, znacznie niżej. Obce i szorstkie, ale intrygujące.

Chwilę ugniatąły jego brzuch, a potem wkradły się pod materiał jego spodni. Otworzył oczy i spojrzał w dół swojego ciała, gdy obce palce zaczepiły o jego włosy łonowe. Floyd wystawił język, jak niegrzeczny dzieciak na placu zabaw, i obsunął materiał. Ryan wydał z siebie zduszone sapnięcie, łykając z trudem powietrze i spojrzał na Trish, która uśmiechnęła się do niego, pokazując pełen garnitur oślepiających białych zębów. Nachyliła się nad nim jeszcze raz, aby znów ucałować jego usta, a potem odsunęła się, dając więcej miejsca Floydowi. Zsunęła się na podłogę i po krótkim rozglądnięciu, namierzyła swoją bieliznę, by wciągnąć ją na siebie.

Nie czuła się wyalienowana, czy coś w tym stylu. Wręcz przeciwnie. Była z siebie bardzo zadowolona, że udało jej się do tego doprowadzić. Ryan potrzebował jakiegoś impulsu, bo sam pewnie nie zdecydowałby się nigdy. No i to sprawi, że ich podróż będzie jeszcze ciekawsza.

Trish uśmiechnęła się do siebie i tak jak Ryan jakiś czas temu spojrzała na ścianę, za którą znajdował się Atsah. Będzie zabawa. Tym czasem Floyd zupełnie obnażył chłopaka. Penis Ryana nie przeżył się tak dumnie, jaki ich nowego znajomego.

Trudno się dziwić w takiej sytuacji. Obecność obserwatora w postaci Trish też na pewno nie pomagała. Dziewczyna była mniej więcej ubrana, więc postanowiła się wycofać. Wyszła z pokoju, pozostawiając wszystko w rękach i ustach Floyda.

– Coś jest ze mną grubo nie tak – skomentowała, gdy znalazła się już na korytarzu. – Geny to jednak niesamowita siła.

* * *

Schowany za krawędzią muru jednego z domów, obserwował willę, która należała do Ahigi. Nietrudno było ją znaleźć. Wszyscy w mieście wiedzieli, gdzie mieszkał szef jednej z mafii trzęsących tym miastem. To nie była jakaś wielka tajemnica.

Nie było takiej potrzeby. Nikt o zdrowych zmysłach i chociaż resztką instynktu samozachowawczego nie zbliżał się do tego miejsca. Dom był monitorowany przez kamery i dobrze obstawiony przez ludzi z gangu. Patrolowali on także ulice wokół, więc nie mógł tu zostać za długo. Nie miał nawet takiego zamiaru, bo było to pozbawione większego sensu.

Gdyby Ahiga chciał po prostu jego, to by mu się oddał. Był gotowy to zrobić, ale jego śmierć wcale nie oznaczała bezpieczeństwa jego rodziny. Właściwie, Johnny miał niemal pewność, że po nim zginęli by także jego rodzice, bratowa i jej syn.

Kiedyś znał tajemnice mafii i mógłby ich użyć, aby nakłonić Emperors do rozpoczęcia wojny z Banitami, ale od jego wyjazdu minęło kilkanaście lat. Nie miał już żadnych asów w rękawie.

Właśnie. Johnny podwinął rękaw bluzy i spojrzał na swój tatuaż. Wielokrotnie zastanawiał się nad jego usunięciem w ciągu tych wszystkich lat, gdy tułał się po świecie, ale w końcu zawsze rezygnował. Złotozielony, precyzyjnie wykonany wąż owijał jego przedramię. Jego rozwarta paszcza z długimi, zakrzywionymi zębami jadowymi znajdowała się na wewnętrznej stronie jego nadgarstka.

Nie miał wyboru. Znowu musiał się taki stać. Zimny i obślizgły. Przywdziać łuski. Jeśli chciał, aby jego rodzina przetrwała, musiał poświęcić kogoś innego.

Zauważył dwóch mężczyzn zbliżających się ulicą, która prowadziła do willi Ahigi, więc postanowił się ulotnić, nim oni też go zobaczą. Nie oglądając się za siebie, pokonał wąską uliczkę, w której się znajdował, by wyjść na główną ulicę, gdzie zaparkował swoje auto. Musiał zacząć działać.

Napis na murze jego domu oznajmiał, że miał jeszcze ponad sto dni, ale nie mógł dłużej tego odkładać. Mafii nie można było wierzyć. Ryan był też daleko, więc jak wszystko się spierdoli, to może chociaż syn jego brata to przeżyje.

Wsiadł do auta i pojechał pod swój dom. Nie mógł trafić tam w lepszym momencie. Gdy parkował kilka podwojek dalej, ktoś właśnie zaczynał malować napis na murze. Tym razem sprejem. Pomimo mroku nocy i znacznej odległości, Johnny nie miał problemów ze stwierdzeniem, że to nie był Raphael. Ten chłopak był znacznie wyższy. Prawdopodobnie ten sam, który co noc przychodził pod dom Nortonów. Ten, któremu zależało najbardziej na wkupieniu się łaski mafii. Morderca psów.

– Dobrze – skomentował Johnny i wychylił się do tyłu, aby podnieść coś z siedzenia.

A było to kij bejsbolowy. Metalowy, taki, jakich używali w nieprofesjonalnych ligach. Wysiadł z samochodu i kilkakrotnie poprawiając chwyt, zbliżył się do chłopaka. Gdy ten go zauważył, było już za późno. Johnny podbiegł do niego i zamachnął się kijem. Trafił go w ramię. Chłopak syknął i wypuścił z ręki puszkę spreju, która z brzdękiem uderzyła o asfalt.

Carl szybko odzyskał rezon. Zdarł ze swojej twarzy maskę przeciwgazową i ze wściekłym rykiem rzucił się na Johnny'ego. Kolejne uderzenie kijem zablokował przedramieniem, co kosztowało go wiele bólu, i natychmiast kontratakował. Wolną pięścią trafił mężczyznę w szczękę.

Johnny zrobił parę kroków w tył i potrząsnął głową. Aż zadzwoniło mu w uszach. Nie spodziewał się, że dzieciak miał aż taką krzepę. I dobrze. Ogarnięty furią dzieciak skoczył na niego i najwyraźniej próbował go ugryźć. Johnny zablokował go kijem, ale uderzył tyłem głowy w mur. Szybko jednak się otrząsnął. Kopnął dzieciaka w łydkę, a potem uderzył kijem w brzuch, trafiając też w krocze. Gdy jego przeciwnik zgął się w pół, wykorzystał szansę i przywalił mu w głowę z kolana. Carl wylądował plecami na ziemi.

Poszło trochę za ławo. Nie tak to miało wyglądać. To Johnny był tutaj starszy i dawno wyszedł z wprawy. Spodziewał się po dzieciaku zdolnym wybebeszyć psa trochę więcej. Podszedł i się nad nim nachylił. Niewiele widział w tej ciemności. Czyżby dzieciak stracił przytomność?

– Hej, idiota, zipiesz tam jeszcze? – spytał, trącając go butem.

Jak na zawołanie Carl zerwał się z ziemi i zaraz to Johnny leciał na kolana porażonym bólem. Dzieciak przywalił mu z całej siły w krocze puszką po spreju, którą teraz odrzucił za siebie. Wyrwał Johnny'emu kij i uderzył go w żebra, a zaraz potem w brzuch.

– Pierdol się! – krzyknął, chcąc zadać kolejny, wszystko kończący cios w głowę.

Jego uwagę rozproszyły jednak światła, które właśnie rozświetliły dom i posesję naprzeciwko. Uświadomił sobie, że nie ma już maski na twarzy. Gdy usłyszał skrzypienie frontowych drzwi, rzucił się do ucieczki.

Johnny też powędrował zamglonym spojrzeniem w stronę bramy domu zna przeciwka. Po kolejnych kilkunastu sekundach jedynym, co się w niej pojawiło, był kot z płonącymi w ciemności oczami. Przeszedł między metalowymi prętami i czmychnął w tylko sobie znanym kierunku. Po chwili światła na ganku i w domu zgasły. Ktoś po prostu wstał, aby wypuścić kota.

Dobrze. Johnny syknął z bólu i podniósł się na równe nogi. Chciało mu się rzygać, a w ustach czuł krew. Miał nadzieję, że wyglądał tak beznadziejnie, jak się czuł. Bardzo możliwe, że przynajmniej jedno z jego żeber było pęknięte. Dowlekł się do muru swojego domu i z bolesnym stęknieniem usiadł na ulicy, opierając się o niego plecami. Dokładnie nad głową miał niedokończony napis.

Pozostało mu czekać na swojego anioła.

Rozdział 12

Czekał niecałą godzinę. Przez cały ten czas siedział na ziemi wsparty plecami o mur. Bolało go prawie całe ciało, łącznie z głową. Najbardziej dawało znać o sobie potłuczone żebro. Do tego wszystkiego przez skórę, do wnętrza jego sponiewieranego ciała promieniowało zimno od betonu. Czuł się fatalnie i pewnie tak wyglądał. I oto chodziło.

Po kilkudziesięciu minutach zaczął mieć wątpliwości, czy w ogóle coś się wydarzy. W końcu jednak jasna poświata z rowerowej lampki poraziła jego oczy. Nakrył je dłonią i spomiędzy palców spojrzął na Raphaela, który właśnie opierał swojego górala o mur kilka kroków od Johnny'ego. Zaraz dopadł do niego i przykucnął tuż obok.

– Co tutaj robisz? – spytał mężczyzna. Oprócz słów z jego ust wyrwało się także bolesne syknięcie. – Miałeś więcej nie przychodzić.

– To dotyczyło się sklepu – odparł zadziornie Raphael, ale po minie widać było, że jest przerażony. – Carl do mnie zadzwonił i powiedział, że ci wpier... Że się pobiliście i że to ty zacząłeś.

Chciał zapytać o wiele rzeczy. Przede wszystkim, po co Johnny to zrobił. Nie miało to przecież żadnego sensu. Carl był nikim. Wiedział jeszcze mniej od niego. Jednak teraz nie było na to czasu. Johnny wyglądał naprawdę źle. Krwawił z ust, siedział nienaturalnie wykrzywiony, ale najgorszy był jego wzrok. Taki pusty. I ten uśmiech.

Jak mógł się uśmiechać w takiej sytuacji? Raphael nie potrafił tego pojąć.

– Musisz jechać do szpitala – zdecydował.

Chwycił Johnny'ego za ramię i próbował go podnieść, ale ten ani drgnął.

– Nie.

– Jak to nie?! – nie rozumiał Cherubin. – Możesz mieć coś złamane. Albo mieć krwotok wewnętrzny!

Johnny zaśmiał się ochryple, wzruszając przy tym ramionami, a jego uśmiech jeszcze się poszerzył.

– No i? – spytał rozbawionym głosem.

– Jakie „No i”?!

– Na izbie przyjęć będą chcieli wiedzieć, co mi się stało. Nawet jeśli nic nie powiem, to i tak poznają po moich obrażeniach, a wtedy zadzwonią na policję.

– No i dobrze! Od tego są. Nawet jeśli wszystko by się wydało i mnie też by się oberwało, to niech tak będzie! – odparł chłopak. – Należy mi się. Niech tylko się tym zajmą...

– Niczym się nie zajmą – przerwał mu Johnny. – Jeśli dowie się policja, dowie się Ahiga. I nie będzie zadowolony, że gliny się w to wmieszały. Nie będzie czekał do trzynastego sierpnia.

– Trzynastego sierpnia? – powtórzył Raphael, nie wiedząc, co mężczyzna miał na myśli.

Johnny znów zaśmiał się ponuro i pozwolił swojej głowie opaść. Zaciśnął dłoń na włosach.

– W sumie, co za różnica? – parsknął po chwili ciszy całkowicie zrezygnowany.

Raphael patrzył na niego na granicy paniki. Nie chciał tego wszystkiego. Nie chciał, żeby ten zabawny, pewny siebie facet siedział pobity pod murem własnego domu, patrząc na niego wzrokiem pozbawionym jakiegokolwiek nadziei.

– To... to może chociaż pomogę ci dojść do domu? – zaproponował, nie wiedząc już, co robić.

Johnny pokręcił głową, nawet na niego nie patrząc.

– Dopiero co stracili jednego syna. Nie potrzebne im jeszcze to. Niech mają spokój, póki jest jeszcze czas.

– Ale nie możesz tu zostać. Zabiorę cię do siebie – upierał się Raphael. W jego głosie dało się wyczuć desperację. – Zgódź się, rodziców nie ma. Proszę, zrób to dla mnie. Bo inaczej wyrzuty sumienia mnie zabiją.

Johnny niechętnie, ale się zgodził. Pojechali jego samochodem. Rower Raphael wcisnął do bagażnika. Nie mieszkał daleko. Zaledwie kilka przecznic dalej, w zadbanej willi z przestronnym, zadbanym ogrodem.

Raphael zaprowadził mężczyznę do swojego pokoju. Musiał go podpieścić, gdy szli po schodach. Usadowił go na swoim łóżku i pobiegł do kuchni po apteczkę, kruszony lód i wodę. Johnny nie opierał się, gdy dezynfekował rozcięcie przy jego

ustach, a potem je opatrzył. Syknął, gdy Raphael przyłożył mu do tworzącego się z tyłu głowy guza torebkę z lodem. Był bardzo cichy i jakby pozbawiony chęci do życia.

Teraz nadeszła trudniejsza część. Raphael nie zamierzał pytać o pozwolenie, bo pewnie i tak nie dostałby żadnej odpowiedzi. Przykucnął między nogami Johnny'ego i zaczął rozpinąć guziki jego koszuli. Na początku nie było źle. Pierwsze, co ujrzał, to złoty naszyjnik, który spoczywał na ładnie umięśnionej klatce piersiowej mężczyzny. Johnny miał dość gęste, kręcone i ciemne włosy, czyli naturalnie był brunetem z zielonymi oczami. To musiało być seksowne, uznał Raphael. Potem robiło się gorzej. Skóra po prawej stronie tułowia zaczęła już przybierać nieprzyjemny dla oka kolor.

– Myślisz, że są tylko stłuczone? – spytał.

– Jeśli tak, to przestanie boleć za kilka dni – stwierdził beznamiętnie Johnny i dotknął swoich żeber.

Syknął z bólu.

– Mam maść na stłuczenia. – Cherubin wyciągnął z apteczki napoczętą tubkę i podał ją mężczyźnie.

Na ten gest i minę chłopaka Johnny wreszcie się uśmiechnął. Usiadł głębiej na łóżku, a potem położył się na plecach.

– I gdzie się podział ten bezczelny dzieciak z tamtej nocy w sklepie? Ten, który mnie pocałował? – spytał, zerkając na Raphaela, który wstał z klęczek i wyraźnie się wahał. – Będę zawiedziony, jeśli odpuścisz sobie taką szansę.

Cherubin zachichotał i wpełznął na łóżko. Kilka pasemek zaczesanej na bok grzywki opadło mu na jasne czoło. Zagryzł dolną wargę, uśmiechając się figlarnie. Odkręcił tubkę i nałożył paść na dłoń.

– To atakuję.

– Mmm.

Johnny zaśmiał się gardłowo, patrząc na zaoferowaną minę chłopaka. Nawet ten lekki dotyk sprawiał mu ból, ale jednocześnie przyjemnie chłodził. Cherubin nachylił się nad nim i delikatnie, okrężnymi ruchami wsmarowywał maść w stłuczenie. To, że jego dłoń co jakiś czas zapuszczała się trochę za daleko, w stronę biodra mężczyzny, tylko wywołało u Johnny'ego uśmiech. Dzieciak był taki

pocieszny. Nie czuł od niego żadnego zagrożenia, a przede wszystkim to on tutaj panował nad sytuacją. To było zupełnie innego od tego, co miał szansę doświadczyć.

Chwycił go za jeden z wielu kolczyków, którymi chłopak miał przebite uszy, i lekko pociągnął. Zaskoczony Raphael popatrzył na niego z wyrzutem, ale zaraz uśmiechnął się radośnie. Już pozbawiony skrępowania ostentacyjnie wytarł resztki maści z dłoni o brzuch Johnny'ego, co mężczyzna skomentował rozbawionym parsknięciem.

Raphael błędził przez chwilę wzrokiem po jego ciele, nie mogąc się zdecydować. Przygryzał przy tym wargę. W końcu położył dłoń na szyi Johnny'ego, a dokładniej na grdyce, badając wypukłość palcami.

– Naprawdę jesteś facetem – powiedział rozbawionym głosem.

– Zwykle nie tak to się sprawdza – odparł Johnny, unosząc brew. – Wiesz, u weterynarza czy coś.

Cherubin zrozumiał aluzję i momentalnie powędrował spojrzeniem w dół ciała mężczyzny. W geście niemego pytania zerknął w zielone oczy Johnny'ego.

– Bez szans – odparł mężczyzna. – Obolałe mam dokładnie wszystko. No ale...

Zaświecił garniturem białych zębów i chwycił chłopaka za krocze. Cherubin momentalnie się spiął, ale gdy spojrzął w roześmiane oczy Johnny'ego na jego usta wpłynął uśmiech. Nachylił się nad nim i polizał go po grdyce. Johnny zaśmiał się gardłowo. Chwycił chłopaka za krótkie, nażelowane włosy i nakierował jego usta na swoje. Nim ich wargi się złączyły, musnął jeszcze drobny podbródek Cherubina.

Mały diabełek znał się na rzeczy, pewnie trenował na niejednej dziewczynie, ale teraz wyraźnie tracił rezon. I dobrze. Inaczej to by było zbyt podobne. Johnny przetorował sobie drogę językiem do wnętrza jego ust, a dłonią do wnętrza dresowych spodni. Teraz dwa węże mogły się spotkać. Raphael na to uczucie wydał z siebie nieartykułowany dźwięk, niemalże skomlenie. Prawie jak szczeniak proszący o przysmak.

Mała, różowa kobra Cherubina była śliska i gładka, podobnie jak skóra wokół. Dzieciak musiał się golić. Johnny uniósł się trochę, aby sięgnąć głębiej, do jego jąder. Te też były gładkie. Zaraz jednak z powrotem opadł na plecy, bo jego żebra dały

o sobie znać. Przejechał wtedy dłonią wzdłuż prężącego się penisa, wyciskając z dzieciaka kolejne ekstatyczne jęknięcie.

Cherubin nie miał już wåtpliwości, więc ściągnął z siebie całe ubranie. Johnny przekręcił się z jęknięciem na bok i lekko pchnął go w ramię, aby zrobił to samo. Niestety w jego stanie nie było mowy, aby dzieciak na nim usiadł, a szkoda. Odgarnął mu włosy z czoła i spojrzał w czarne, błyszczące teraz oczy.

Nie miał wyboru. Tak przynajmniej sobie wpierał.

Znów go pocałował. Najpierw zaczepnie, chwytając zaczerwienioną już wargę, a potem znacznie bardziej gwałtownie. Ręką z wytatuowanym węzem znów sięgnął do jego penisa. Raphael przyjął te wszystkie doznania z rozedrganym westchnięciem. Dłonią zawędrował na pierś Johnny'ego. Podobały mu się jego mięśnie. To, że były tak dobrze wyczuwalne pod gorącą skórą. No i te kręcone włosy na kłacie były takie seksowne.

Skończył z cichym westchnięciem na ustach. Przez chwilę oczy trzymał zamknięte, a Johnny doszedł do wniosku, że mały diabełek miał niesamowicie długie i gęste rzęsy, które teraz zroszone były kilkoma kroplami. Żeby nie było zbyt romantycznie, ubrudzoną dłonią klepnął chłopaka w nagi pośladek, wycierając się przy okazji. Raphael popatrzył na niego początkowo z oburzeniem, a potem zachichotał.

Johnny przewrócił się z powrotem na plecy. Odgarnął kosmyki z czoła, a jego dłoń już tam pozostała, zaciśnięta na włosach. Zagapił się w sufit. Nie miał wyboru.

Raphael wykorzystał ten moment na wytarcie się. Nie zamierzał jednak zakładać z powrotem ubrania. Nadal w stroju Adama położył się na brzuchu i oparł podbródek o ramię Johnny'ego, zerkając mu roześmianym wzrokiem w te zielone oczy.

– Gdzie twoi rodzice, tak w ogóle? – spytał mężczyzna, patrząc na niego przelotnie.

– Hm? Na jakiejś sztywniackiej konferencji. Oboje są doktorami na uczelni. Matka jest chemikiem. Teraz zajmuje się naturalnymi kosmetykami. W oranżerii mamy prawdziwy busz. Jakbym zaczął gdzieś tam hodować zioło, pewnie by się nawet nie skapnęła. – Zaśmiał się Raphael.

– Nie tego się spodziewałem – przyznał Johnny, zerkając na chłopaka z krzywym uśmiechem.

Chłopaka, który teraz bez choćby odrobiny wstydu i zupełnie nago leżał ze starszym facetem w łóżku. I współpracował z mafią. Ale to nie tak, że go nie rozumiał. Powodów jego buntu. Kiedyś był taki sam, a raczej tysiąc razy gorszy. I jak to się skończyło? Ludzie powinni uczyć się na cudzych błędach, a zamiast tego wciąż i wciąż, od nowa, popełniają te same.

– Więc... To z Carlem? Po co to było? – spytał Cherubin. – On wie jeszcze mniej ode mnie, to by ci nic nie dało.

No to nadeszła pora, westchnął w myślach Johnny.

– Nie planowałem tego – przyznał, odwracając wzrok jakby zawstydzony. – Po prostu go zobaczyłem i pękłem. Chciałem się na kimś wyżyć. Jestem sfrustrowany, bo nie mogę nic zrobić. Tylko czekać, aż Ahigę znudzi zabawa i... Gdyby chodziło mu tylko o mnie, to po prostu bym mu się oddał. Ale on chce odebrać mi wszystkich, na których mi zależy. I żebym na to patrzył.

– A nie możesz po prostu... nie wiem, zadośćuczynić za to, co mu zrobiłeś?

Johnny roześmiał się, chociaż w jego głosie nie dało się wyczuć choćby nuty rozbawienia. Zaraz pożałował, że to zrobił i z sykiem dotknął swoich żeber.

– Chciałem go zabić – wyznał, a Raphael spojrział na niego zszokowany. – Właściwie do niedawna byłem przekonany, że mi się to udało. Jednak gdyby chodziło tylko o to, po prostu by mnie załatwił przy pierwszej, lepszej okazji. Zdradziłem go, a to jeszcze gorsze. Ahiga nienawidzi dwóch rzeczy: swojego imienia i zdrady. A ja właśnie to zrobiłem. Zdradziłem jego zaufanie.

Raphael odsunął się, przestając opierać głowę o ramię mężczyzny i naciągnął na swoje ciało skraj kołdry. Teraz jego nagość wydała mu się nie na miejscu. Po chwili wahania dotknął palcami wierzchu dłoni mężczyzny. Musnął przy tym opuszkami tatuaż złotozielonego węża.

– Opowiesz mi? – poprosił.

– Czemu nie – odparł Johnny zrezygnowanym głosem. Uśmiechnął się pod nosem. Boże, jaki on był wtedy głupi. – Od czego by tu zacząć... Może od tego, że mój starszy brat był idiotą. Odkąd tylko pamiętam. Takim idiotą, który myśli, że cały świat

należy do niego. Ciągle gdzieś się włóczył, olewał szkołę. Już w liceum miał problemy z agresją i alkoholem. W końcu skończyło się to kuratorem i dozorem policyjnym. No i zbieraniem śmieci przy autostradzie, co tylko potęgowało jego wkurwienie na cały świat. Początkowo rodzice próbowali go jakoś naprostować, ale potem odpuścili. Nawet przestali reagować na jego kolejne wyczyny. Nawet nie specjalnie się zdziwili, gdy zaciążył dziewczynę. Po prostu przyjęli to do wiadomości. Wszystkie swoje nadzieje przerwili na mnie, na dobrego dzieciaka, który nie sprawiał problemów i dobrze się uczył. Mieli wysokie oczekiwania, a kiedy coś spieprzyłem, obrywało mi się podwójnie. Za mnie i za brata. To mnie frustrowało, ale dusiłem wszystko głęboko w sobie. Do czasu. W końcu nadszedł mój czas buntu i miałem tego pecha, że akurat wtedy spotkałem Ahigę. Może w innym przypadku skończyłoby się na paru bójkach i pośpiesznie wypalonych jointach na długiej przerwie za szkołą.

Raphael był właśnie takim dzieciakiem. Z dobrego domu, z rodzicami, którzy coś osiągnęli i wymagali tego samego od swojego dziecka, a on nie specjalnie się do tego palił.

– Więc gdyby nie Ahiga, mógłbyś się wycofać w odpowiednim momencie. Zostać księgowym, czy coś? – spytał.

Miał nadzieję, że dla niego nie było za późno.

– Pewnie byłbym chujowym księgowym, który, aby wstać z łóżka, musi łyknąć garść antydepresantów – przyznał Johnny – ale przynajmniej nikt nie dybałby na życie mojej rodziny. Ahiga chodził do tej samej szkoły. Cóż, właściwie bardziej składał w niej rzadkie wizyty. To imponowało takim głupim dzieciakom jak ja. Że jest taki wolny, nic go nie krępuje. To były tylko pozory, ale żeby to dojrzeć, trzeba było być blisko niego. Ja byłem jedną z niewielu osób, którym na to pozwolił. Ahiga był nieślubnym dzieckiem szefa Banitów. Jego matka, Indianka, była kochanką starego Ledgera. Dla niego czystość krwi i inne pierdoły były bardzo ważne. Dlatego za swojego jedyne spadkobiercę uważał tylko starszego syna, którego miał ze swoją żoną. I dlatego nadał swojemu młodszemu synowi indiańskie imię. Żeby jeszcze podkreślić to, że nie uważa go za... w pełni swojego. Inni członkowie mafii traktowali Ahigę tak, jak jego ojciec - lekceważyli go. A on tego nienawidził. Dorastał w poczuciu odrzucenia i upokorzenia. Dlatego miał obsesję na tym punkcie. Musiał

wszystkim udowodnić, że jest najsilniejszy. No i przede wszystkim lepszy od swojego brata. A ten to wyczuł. Myślę, że obawiał się Ahigi i tego, jak bardzo był zdeterminowany. Ahiga był też silniejszy i sprytniejszy od niego, no i bardziej bezwzględny. Dosłownie szedł do celu po trupach. Robert czuł nóż na gardle, więc chwycił się wszystkiego, czego się dało. W końcu przekupił dziewczynę Ahigi, żeby szpiegowała dla niego. Ahiga po pewnym czasie odkrył prawdę. Nigdy wcześniej nie widziałem go aż tak wściekłego. Pewnie by ją zabił, gdybym go nie powstrzymał. I wtedy zrozumiałem, że zostałem mu tylko ja. I że nigdy nie pozwoli mi po prostu odejść. Znałem jego tajemnice, jego lęki i słabości. Wszystko to, czego najbardziej bał się ujawnić. Wiedziałem, że jeśli zostanę z nim dłużej i Ahiga przejmie władzę w gangu, to już nigdy się nie wyrwę. Na pewno nie żywy.

– Więc postanowiłeś go zabić, zanim on zabije ciebie – domyślił się Raphael.

– Tak. I jeszcze do niedawna myślałem, że mi się udało. Wiedziałem, że stary Ledger będzie chciał zemsty, chociaż bardziej na wzgląd na swój splamiony honor, niż śmierć swojego bękarta, więc wykorzystałem okazję, aby uciec. Na następny dzień moja klasa wylatywała na wycieczkę do Meksyku. Na miejscu wykorzystałem okazję i zgubiłem się w tłumie. Zniknąłem na trzynaście lat i nie powinienem był wracać.

Johnny przetarł twarz dłońmi, rysując paznokciami skórę na pokrytych dwudniowym zarostem policzkach. Musiał wyglądać żałośnie, bo Raphael poderwał się do siadu, nie zważając na obsuwając się z jego jasnego, szczupłego ciała kołdrę i patrzył na niego przejętym spojrzeniem.

– Tylko nie mów, że wszystko będzie dobrze – parsknął Johnny – bo nie będzie.

– Okej – zgodził się cicho Cherubin. – A jak go... No wiesz...

Johnny się roześmiał i pokręcił głową. Klepnął chłopaka w udo.

– Ta twoja ciekawość zaprowadzi cię kiedyś do piekła – stwierdził. – Jak go prawie zabiłem? Prawda jest taka, że nie miałem jaj, żeby stanąć z nim twarzą w twarz. Ahiga miał jedną pasję, która przez chwilę pozwalała mu się oderwać od tego wszystkiego: nielegalne wyścigi samochodowe, które odbywały się nocą na pustych, prostych odcinkach dróg. Ludzie, którzy brali w nich udział, sami tuningowali swoje auta. Wyciągali z nich wszystko, co nie było konieczne, a zwiększało masę, podrasowywali wydech i wkładali większy silnik. Samochodu Ahigi oprócz niego

mogły dotykać tylko dwie osoby - jego mechanik i ja. Przed kolejnym wyścigiem zakradłem się do jego auta i podciąłem mu przewody hamulcowe. Wygrał, jednak po przekroczeniu mety auto nie zahamowało i uderzyło w budynek, a nie było w nim nawet poduszek powietrznych. Z auta została tylko miazga. Ahigę ze środka musiała wyciągać straż pożarna. Przyjechała karetka, próbowali go reanimować, ale nie przynosiło to żadnych efektów. Byłem pewien, że tego nie przeżył. Zdradziłem go, a on ufał tylko mi. Teraz przyjdzie mi za to zapłacić. Mi i mojej rodzinie.

Gdy obudził się późnym rankiem, Cherubina już przy nim nie było. Chłopak miał swoją własną łazienkę, więc Johnny właśnie tam się udał. Odlał się i przemył twarz, a potem obejrzał się lustrze. Nadal miał rozpiętą koszulę, bo tak zasnął. Wyglądał źle. Siniki były jeszcze bardziej wyraźne niż wczoraj, miał przeciętą wargę, sińce pod oczami i guza, ale on nie był tak dobrze widoczny.

Dał się tak zmalretować i opowiedział mu o swoim dawnym życiu, aby wzbudzić w dzieciaku poczucie winy oraz współczucie. Zamierzał zbliżyć się do niego, może nawet rozkochać. Stać się dla niego kimś na tyle ważnym, aby dzieciak był w stanie dla niego zaryzykować. Poświęcić się.

Nie miał innego wyboru. Sam nie dostanie się w pobliże Ahigi. Stracił wszystkie kontakty z tamtym światem. Nie miał żadnych kart przetargowych. White Emperors nie staną po jego stronie. Nie za darmo. Cherubin był jedyną osobą mającą kontakt z Ahigą, którą znał i do której mógł dotrzeć. Przekabacić na swoją stronę.

Nie miał wyboru. Ahiga musiał zginać, bo inaczej to stanie się z nim i jego rodziną. Zaś ten głupi dzieciak znalazł się w złym miejscu o złym czasie i to na własne życzenie, a Johnny zamierzał to wykorzystać. Nie miał innego wyboru.

* * *

Raphael wstał rano, aby podlać w oranżerii rośliny. Nie rozróżniał ich za bardzo, ale wszystkie miały numery, a matka sporządziła mu listę, gdzie wyjaśniła, jak zajmować się poszczególnymi gatunkami pod jej nieobecność. Robił to z niechęcią, bo po prostu nie lubił się przemęczać, ale to miejsce zawsze mu się podobało. Pełne wysokich, nawet kilkumetrowych roślin, wiecznie zielonych

i kwitnących przypominało jakiś rajski raj. I zawsze panowało tu lato niezależnie od pory roku za oknem.

Właśnie podlewał dwumetrowy, egzotyczny krzak o grubych, ciemnoczerwonych łodygach. Matka na sto procent by go zbeształa, gdyby określił tak roślinę w jej obecności. Bo to nie był krzak tylko... coś tam. Raphael prawie widział oczami wyobraźni, jak jego matka w charakterystyczny sposób poprawia okulary na zadartym nosie podczas dawania mu kolejnej lekcji. Uśmiechnął się do siebie.

Niewiele pamiętał z jej gadaniny, ale wiedział, że z nasion tej rośliny otrzymuje się olej wykorzystywany w kosmetykach. Należało go wycisnąć, a potem wygotować, bo inaczej pozostawała w nim silna trucizna, która mogła nawet zabić. Matka zawsze go przestrzegała, gdy był mały, aby pod żadnym pozorem nie brał do ust nasion tej rośliny.

Gdy jego komórka się rozdzwoiła, z rozdrażnionym sapnięciem odłożył konewkę na ziemię. Był pewien, że to znowu dzwoni Carl, żeby pieprzyć jakieś głupoty. Ostatnio nie mógł go znieść.

Spojrzał na ekran telefonu i zamarł. W jednym momencie jego odczucia zmieniły się o sto osiemdziesiąt stopni. Teraz bardzo chciał, żeby to był Carl. Niczego innego bardziej nie pragnął.

Dzwonił Ahiga. Raphael przełknął ślinę i nacisnął zieloną słuchawkę. Przyłożył telefon do ucha.

– Tak?

* * *

Pocahontas wstała jako pierwsza. Oporządziła się jako tako i wyszła z pokoju, pozostawiając dwójkę śpiących chłopaków samych, aby kupić im coś na śniadanie. Gdy wracała, zatrzymała się na korytarzu, aby poprawić przed lustrem włosy. W tym momencie z pokoju wyszedł Ryan. Trish chciała coś powiedzieć, ale on najwyraźniej nie zamierzał jej słuchać. Był wściekły.

– Pieprz się – syknął, pokazując jej środkowy palec.

I to by było na tyle. Trish popatrzyła za nim w ogóle nieurazona, gdy zbiegał po schodach. Uśmiechnęła się do siebie.

Musiał odetchnąć, zaczerpnąć świeżego powietrza, a przede wszystkim nie być tam. W tamtym pokoju. Co go podkusiło, do cholery? Co nim kierowało oprócz Trish, oczywiście, gdy się na to godził?

Wyszedł do ogrodu przed hotelem i zamarł. Na niskim, kamiennym murku siedział Atsah i z pochyloną głową palił papierosa. Popiół strzepywał na ziemię, między swoje stopy. Wyglądało na to, że nawet się nie uczesał przed przyjściem tutaj.

On też go dostrzegł. Patrzył na Ryana przez moment trudnym do rozczytania wzrokiem, a potem jakby nigdy nic wrócił do swojego wcześniejszego zajęcia. Norton zacisnął pięści i wciągnął głęboko powietrze. Podbiegł do Atsah i chwycił go za ramiona, aby na niego spojrzeć.

– Przepraszam, okej? Nie chciałem. Po prostu...

Atsah pokręcił głową, uśmiechając się słabo.

– Nie. To ja nie powinienem...

– Powinieneś! – przerwał mu ostro Ryan, aż nim potrząsając. – Zachowałem się jak gnojek, okej? Ale po prostu skitrałem... Zaskoczyłeś mnie. I teraz jeszcze tyle się dzieje. Mój ojciec i cała reszta... Ale dziękuję, że mi powiedziałaś. Akurat mnie.

– To nic takiego.

– Gówno prawda! To coś bardzo ważnego... Boże, ale spieprzyłem.

Atsah było już wystarczająco trudno odnaleźć się w tej sytuacji, więc gdy nagle Ryan oparł czoło o jego klatkę piersiową, wciąż trzymając go za ramiona, po prostu zeszywniał.

– Spieprzyłem – powtórzył ciszej chłopak. – Przepraszam.

– W porządku – odparł Atsah, pochylając się ku niemu.

Ryan potrząsnął głową, bo pojedyncze pasma zupełnie czarnych włosów Indianina drażniły jego nos i policzki. Atsah zaśmiał się cicho na ten gest, wydmuchując powietrze na jego ucho i kark.

– Będzie w porządku – powtórzył, muskając ustami skórę chłopaka.

Trwali tak przez chwilę, aż nie przyszła kolej na to, aby Ryan się roześmiał.

– Naprawdę spieprzyłem, a w nocy jeszcze bardziej. Po co to zrobiłem? – spytał sam siebie. – Jestem idiotą.

Puścił ręce Atsah i objął go w pasie, jeszcze się do niego przybliżając. Po chwili poczuł, jak Indianin też go obejmuje, a potem opiera policzek o jego głowę.

Całą scenę z okna obserwowała Trish, pogryzając przy tym maślaną bułkę z dżemem truskawkowym. Za nią Floyd właśnie naciągał spodnie na tyłek. Po chwili również wyglądał przez okno.

– Powinienem się obrazić? – spytał rozbawiony.

– Hm?

– Wykorzystałaś mnie – stwierdził. Nie wydawał się w ogóle przejmować.

Trish spojrzała na niego kątem oka, uśmiechając się.

– Może – odparła, podając mu bułkę z talerzyka, który leżał na parapecie. Floyd wgryzł się w pieczywo i sięgnął po kawę w papierowym kubku. – Ale to nie moja wina, że ludźmi tak łatwo można manipulować.

Rozdział 13

Znowu tu był. Za oknami Słońce pięło się już wysoko po nieboskłonie, ale w pokoju panował półmrok. Ciężkie, ciemnoczerwone kotary szczelnie przesłaniały okna. Na ich tle, za masywnym, zabudowanym biurkiem siedział Ahiga. Raphael nie miał pojęcia, dlaczego kazał mu tu przyjść. Nie rozumiał też spojrzenia tego człowieka, a raczej nic nie potrafił z niego wyczytać.

Ahiga siedział za biurkiem i po prostu na niego patrzył. Nie powiedział nic od momentu, gdy drzwi zamknęły się za Cherubinem. Chłopak zrozumiał, że to znów on ma zacząć, ale nie miał pojęcia, o czym mówić.

– Wiem, że z wychowaniem młodzieży jest coraz gorzej, więc może pomogę. Zaczynaj od „przepraszam”.

Zaskoczony Cherubin uniósł głowę i spojrzał prosto w ciemne, zimne oczy Ahigi. To był błąd.

Wszystko było błędem.

– Przepraszam – pokajał się, jak mu kazano, chociaż nie miał pojęcia za co.

Ahiga wydał z siebie coś niemal podobnego do parsknięcia. Czekał.

– Nie chciałem tego wszystkiego, okej? – wybuchnął Raphael, chociaż wiedział, że było to idiotyczne i niebezpieczne. – Byłem znudzony, dobra? Chciałem wkurzyć moich doskonałych rodziców, poczuć jakąś adrenalinę. Nie wiem... Ale na pewno nie chciałem kiedykolwiek stanąć przed panem. Carl... Carl bardziej się do tego nadaje. Ja już mam dość.

– Więc chcesz odejść? To odjedź – rzucił Ahiga, a chłopak obdarzył go zaskoczonym spojrzeniem. – Takie tu mamy zasady. Można odejść, tylko trzeba zakończyć wszystkie swoje sprawy. Wziąć odpowiedzialność za czyny swoich ludzi.

– Ludzi? Ja nie mam żadnych ludzi! – zaprzeczył Cherubin. – Carl i Floyd? To nie są moi ludzie. Nie szefowałem im.

On po prostu był łącznikiem. Po prostu padło na niego, bo Floydowi na niczym nie zależało, a Carl był zbyt wybuchowy. Boże, po co się oszukiwał. Chciał tego. Chciał poczuć się kimś ważnym, dopóki nie wiedział, co to ze sobą niesie.

– Zdaje mi się, że wykonywali twoje polecenia. Te, które ja ci przekazałem. I te, których nie.

– Których nie? – powtórzył głucho chłopak.

– Co Johnny robi u ciebie w domu?

Śledzili go? – pomyślał z paniką Raphael, gdy usłyszał pytanie. Tylko teraz, czy od początku?

– Zapewne to nie skończy się dla mnie dobrze, jeśli odpowiem, że teraz to pewnie śpi? – parsknął, nie mogąc się powstrzymać. I zaraz dodał zrezygnowany: – Ja już nie łapię, o co chodzi.

Gdy Ahiga poruszył się na krześle i odwrócił przodem do niego, prawie zapomniał, jak się oddycha. Przed oczami mignęła mu wizja, jak mężczyzna wstaje za biurką, podchodzi do niego, a potem... Sam nie wiedział. Skręca kark gołymi rękami... Nic takiego jednak nie miało miejsca. Cherubin doznał jeszcze większego szoku, gdy szef Banitów się uśmiechnął. Nieznacznie, ale niezaprzeczalnie. To był uśmiech. Ahiga wydawał się rozbawiony. Raphael miał świadomość, że gapił się teraz na niego jak idiota.

– Pytałem, dlaczego „śpi” u ciebie pobity – powiedział mężczyzna z czymś na kształt rozbawienia w głosie.

– To Carl...

– Tak, Carl – potwierdził gangster, unosząc brwi. – Nie wydałem takiego rozkazu.

– To Johnny zaczął – odparł Cherubin. – Carl się tylko bronił. Miał się dać...

Nie skończył.

– Och, miał się dać – stwierdził odkrywco. Więc to za to miał przeprosić, za działanie na własną rękę. Czegoś tu jednak nie pojmował. – Ale Johnny i tak ma zginąć, prawda? I ma cierpieć... Więc, co za różnica, czy...

– Taka różnica, że ma cierpieć, owszem. Ale tylko ja mam prawo mu to cierpienie zadać. Ani ty, ani te twoje śmieci, nie macie do tego prawa. Nie jesteście tego godni. On jest mój. Tylko mój!

Ten wybuch był już kolejnym zaskoczeniem tego dnia. Łącznie z tą chwilą rozmawiał z Ahigą trzy razy. Słyszał o nim wiele rzeczy, w tym większość mrozących

nawet najgorętszą krew w żyłach, ale nie miał pojęcia, ile z tego było prawdą, ile plotką, a ile celowo rozsiewanym kłamstwem. Mężczyzna okazał się jednak taki, jak to sobie wyobrażał. Inny od gangsterów pracujących „na ulicy”, z którymi dotąd miał kontakt. Nie mówił dużo, nie unosił głosu, nie ubierał się wyzywająco, ale on tego nie potrzebował. Nie musiał niczego udowadniać.

Teraz jednak Cherubin był skonfundowany. Ahidze aż tak zależało na zemście? Aż tak nienawidził Johnny’ego, że nie zniósłby, gdyby ktoś inny tego dokonał? Gdyby ktoś inny go skrzywdził? Ale dlaczego?

Odpowiedź był prosta. Bo zdrada Johnny’ego bolała bardziej niż kogokolwiek innego. Bo nikomu innemu tak nie ufał, nikogo innego nie nazywał swoim przyjacielem. Nikogo innego tak... nie kochał.

Cherubin otworzył szerzej oczy i spojrzał na nieruchomą twarz Ahigi.

– I co teraz? – spytał.

– Właśnie, co teraz? – powtórzył Ahiga znów tym samym, bezuczuciowym tonem. Zaraz nakazał głośniejszym głosem: – Dawajcie go.

Drzwi do pokoju się otworzyły i ukazał się w nich wysoki, masywny mężczyzna ogolony na łyso. Jedną z dłoni ścisnął włosy Carla, a drugą jego spętane ręce. Wepchnął go do pokoju. Chłopak dał się prowadzić jak szmaciana lalka. Raczej nie miał już siły na opieranie się.

Wyglądał znacznie gorzej niż Johnny, uznał Raphael, patrząc na niego zszokowany. A ponoć to on wygrał bójkę. Obrażenia, które zdobyły teraz jego twarz i zapewne resztę ciała, musiał zdobyć później. Był posiniaczony i opuchnięty. Zakrzepła krew z rozciętego łuku brwiowego sklejała mu jedno z oczu.

Mętym spojrzeniem obrzucił Raphaela i mężczyznę przed sobą. Nigdy wcześniej nie spotkał osobiście szefa The Outlaws, ale musiał sobie zdawać sprawę, przed kim przyszło mu stanąć.

– Więc... – Ahiga zupełnie go zignorował i zwrócił się do Cherubina: – Jak zamierzasz to rozwiązać?

– On nic nie zamierza! On nic nie rozumie! – wybuchnął niespodziewanie Carl.
– On nie jest taki jak my!

Mężczyzna za nim szarpnął go, a potem przewrócił na kolana.

– Kto ci udzielił głosu?! – warknął. – Przeprós pana Ledgera za swoje zachowanie!

– Tacy jak my? – parsknął Ahiga. – Uważasz, że jesteś taki jak ja? Powiem ci coś, temu dzieciakowi z farbowaną czupryną i tyłkiem podkreślonym przez za ciasne rurki jest bliżej do mnie niż tobie kiedykolwiek... Hm, nie zabrzmiało to dobrze.

– Co?! – Carl szarpnął się na klęczkach i wściekłym spojrzeniem obdarzył Raphaela. – Ja... ja rozumiem!

– Myślisz, że jesteś taki jak my, bo wychowała cię ulica? I że tylko to czyni cię z nami równym? Nie jest tak. Jesteś tylko kolejnym debilem, który swoje niepowodzenia tłumaczy „niesprawiedliwością”. To Ameryka, dziecko. Tu nawet gościu, którego urodziła w przydrożnym rowie, może zostać milionerem. Jeśli tylko jest wystarczająco sprytny. A ty taki nie jesteś. Nie jesteś nawet na tyle sprytny, aby być moim psem. Byłeś za to psem tego metroseksulanego, wychudzonego gogusia – parsknął gangster, wskazując na Raphaela. – To niezbyt imponujące, sam przyznaj. Więc zapamiętaj tę lekcję i nie pokazuj mi się więcej na oczy.

Kiwnął głową, a jego człowiek natychmiast szarpnął chłopakiem, zmuszając go do wstania. Przed wytarganiem go z pokoju rzucił jeszcze szefowi telefon komórkowy. Ahiga złapał go w powietrzu. Cherubin od razu rozpoznał, że urządzenie do niedawna było własnością Carla.

– Więc... – mruknął Ahiga, odbezpieczając smartfona – mam nadzieję, że ten mały pokaz przekona cię, że samowolka nie przyniesie ci niczego dobrego. Radzę ci zacząć nosić ze sobą spluwę albo chociaż nóż, bo baran będzie chciał się zemścić.

– Na mnie? – zdziwił się Cherubin, wciąż nie wychodząc z szoku po tym, co właśnie zobaczył. – Nic nie zrobiłem! To pan rozkazał go pobić!

– Zgadza się, ale mnie nie może dosięgnąć. Skupi się więc na tobie w poszukiwaniu zemsty. Został upokorzony i będzie chciał się odegrać.

Raphael prychnął z rezygnacją. Przestał już nawet zważać na swoje gesty. Jego sytuacja i tak była już beznadziejna.

Ahiga uśmiechnął się w czymś na kształt pobleźania. Zaraz jego twarz przybrał inny wyraz, bardziej niepokojący. W telefonie dzieciaka znalazł bardzo ciekawe zdjęcie. Data wskazywała, że zostało przesłane dzisiaj. Przedstawiało dwóch

nastolatków leżących na łóżku. Tego, który robił zdjęcie, czyli dzieciaka w dreadach oraz drugiego, pogrążonego we śnie. W nim Ahiga rozpoznał bratanka Johnny'ego. Była też dołączona wiadomość: Przerwa w drodze do Austin.

Wyśmienicie.

– Jak myślisz, dlaczego Johnny nie stara się ze mną wygrać? – spytał, odkładając telefon na biurko i ponownie wbijając przenikliwy wzrok w Raphaela. – Dlaczego nie stara się ocalić rodziny? Nie zależy mu? Zastanów się nad odpowiedzią, bo od niej może zależeć, czy stąd wyjdiesz.

Cherubin przymknął na chwilę oczy.

– To nie tak – odparł po chwili. – Sądzę, że on po prostu nie wierzy, że może mu się udać. Dlatego nawet nie próbuje. Udaje, bo tak każe mu sumienie, ale nie wierzy w sukces. Kiedyś byliście tacy sami, ale teraz już tak nie jest. Pan jest szefem gangu, ma pod swoją komendą armię uzbrojonych oprychów, no i siedzi tutaj, w tej fortecy. A on jest tam, sam. I jest teraz w mieście... nikim. Pan jest przeciwnikiem, którego on nawet nie może podejść na tyle blisko, aby go zobaczyć. Zobaczyć, że jest człowiekiem. Człowiekiem jak wszyscy inni, czyli kruchym i śmiertelnym.

Zagryzł wargę i odważył się spojrzeć na szefa Banitów. Odetchnął, gdy mężczyzna parsknął śmiechem.

– Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz – stwierdził. – Dobra, spieprzaj. I nie kombinuj.

Raphael uniósł zaskoczony brwi. Pozwalał mu iść? Tak po prostu? Bez obicia mordy. Dlaczego Carlowi się oberwało, a jemu nie? Nic z tego nie rozumiał.

– Ta... – wydusił. – To idę.

Gdy miał już otworzyć drzwi, usłyszał głos Ahigi:

– Co zamierzasz zrobić z czasem, który mu pozostał?

Zacisnął dłoń na klamce. Odwrócił się i patrząc mężczyźnie prosto w oczy, odparł:

– Zamierzam przekonać go, aby zapomnienia i pocieszenia szukał w moich ramionach. Będę jego ostoją.

– Zaciągnąć go do łóżka? – parsknął Ahiga.

– Właśnie – potwierdził chłopak, nie spuszczać wzroku. – Panu już się to udało, prawda? Tylko, że to pan szukał pocieszenia. I się pan zawiódł.

* * *

Santa Boy prowadził ich odrestaurowanego, odmalowanego, oczywiście na czarno, Cadillaca deVille. Jechali na ślub matki Saszy. Chłopak wciąż nie mógł uwierzyć, że muzyk zgodził się wziąć udział w tej „szopce”, jak sam to określił jakiś czas temu. I nie chodziło mu konkretnie o ślub Susanne, ale instytucję małżeństwa ogólnie.

Teraz jednak potulnie prowadził samochód. Cóż, zapewne w podjęciu przez niego decyzji pomógł telefon matki Saszy sprzed kilku dni. Chłopak nie do końca to pojmował, ale Santa Boy zdawał się darzyć szacunkiem jego rodzicielkę. I respektować jej słowa.

– Łał, zachowujemy się jak normalni ludzie – zauważył Sasza, nie mogąc powstrzymać śmiechu. – Mamy prezent i garniaki w bagażniku.

– Kosmos, nie? – podłapał Santa Boy, uśmiechając się do chłopaka. – Sam się nie mogę sobie nadziwić.

Ceremonia w urzędzie cywilnym była skromna. Oprócz najbliższej rodziny, jedynie mgliście kojarzonej przez Saszę, uczestniczyli w niej członkowie grupy wsparcia dla uzależnionych, którą prowadziła matka Saszy oraz koledzy jej przyszłego męża z pogotowia ratunkowego.

Susanne miała na sobie prostą, beżową sukienkę na ramiączkach i bolerko. Dyskretny, ale wykonany ręką profesjonalisty makijaż, odejmował jej dziesięć lat. Panna młoda mogłaby mieć na sobie nawet bufiastą suknię z kilkumetrowym trenem, a i tak to nie ona byłaby w centrum uwagi. Sasza wraz z Santa Boy'em stał w pierwszym rzędzie, ale nie musiał widzieć pozostałych gości, aby mieć pewność, że się na nich gapią. Wręcz namacalnie czuł ich spojrzenia. Mrowił go od tego kark.

Część gości musiała rozpoznać Santę Boy'a. Na pewno jego obecność była dużym zaskoczeniem, a to, że towarzyszył synowi panny młodej jako partner, wręcz szokować. Muzyk oczywiście jak zwykle nic sobie nie robił z uwagi, jaką obdarzali

go ludzie. Gdy ceremonia się rozpoczęła i urzędnik zaczął recytować swoje formułki, chwycił Saszę za dłoń. Chłopak był przekonany, że zrobił to tylko po to, aby jeszcze zgęścić atmosferę wokół nich. Uwielbiał działać na przekór. Mimo to Saszy i tak zrobiło się miło. Zacisnął mocniej palce i wzruszony znów spojrzął na swoją matkę. Cieszył się, że im obojgu udało się znaleźć tych facetów.

– Nie płaczesz – zauważył szeptem Santa, pochylając się ku niemu. – A to zaskoczenie.

– Nie wydurniaj się – fuknął również ściszym głosem Sasza, posyłając mu jednak rozbawiony uśmiech. – Nie jestem aż taką ciotą.

Puścił jego dłoń, aby dołączyć do oklasków. Państwo młodzi nałożyli sobie nawzajem obrączki i przypieczętowali zawarcie związku małżeńskiego pocałunkiem. Sasza zacisnął wargi, powstrzymując łzy.

Santa Boy spojrzął na niego, uśmiechając się pobłaźliwie na te wysiłki. Jeszcze będziesz dziś płakał – obiecał mu w myślach.

Przyjęcie, bo imprezy po ślubie w urzędzie nie można było nazwać klasycznym weselem, odbywało się w eleganckiej restauracji. Goście siedzieli przy okrągłych stolikach z białymi obrusami. Kwartet smyczkowy grał na małym podeście, nie przeszkadzając w rozmowie. Goście mogli wybierać spośród kilku ciepłych oraz zimnych dań, choć oczywiście głównym punktem programu był tort weselny.

Sasza i Santa Boy siedzieli wraz z państwem młodym. Przyjęcie toczyło się powoli. Było spokojnie i z klasą, czyli według planu. Sasza wciąż nie mógł się nadziwić, dlaczego Santa zgodził się wziąć udział w tej „szopce”. Teraz zaś spokojnie popijał wino, bo z alkoholi dostępne było tylko ono oraz szampan, i nawet nie wydawał się zirytowany.

Cuda jakieś po prostu.

– No kto by się spodziewał, że tak to się zakończy? – zagadnęła Susanne, patrząc na swojego syna i jego partnera. – Biorę ślub zupełnie trzeźwa z zupełnie trzeźwym facetem, a mój syn na uroczystość zabrał swojego chłopaka – gwiazdora Rocka.

Greg uśmiechnął się i przygarnął do siebie swoją świeżo upieczoną żonę. Pocałował ją w bok głowy.

– Niezbadane są wyroki boskie.

– Raczej ludzka głupota – prychnął Santa Boy.

Sasza posłał mu oburzone spojrzenie i kopnął go w kostkę pod stolikiem.

– Jakbym miał *deja vu** – skomentował to muzyk i dodał głośniejszym głosem: – Nie chodzi mi o obecną sytuację, tylko błędy, które do niej doprowadziły.

– Dokładnie! – podłapała Susanne i zaśmiała się perliście. – A kiedyś tańczyłam topless na twoim koncercie!

Greg i Sasza zawołali w tym samym momencie:

– Żabciu!

– Mamo!

Santa Boy odchylił się na krzesło i objął kark Saszy. Gdy chłopak spojrzał na niego zaskoczony tym gestem, uśmiechnął się do niego.

– Było, minęło – rzucił, patrząc mu prosto w oczy.

Sasza nie mógł stwierdzić tego z pełnym przekonaniem, ale Santa Boy patrzył na niego z czymś na kształt rozczerwienia. A nawet się nie upił. Sasza zerknął w bok, na swoją matkę. Przyglądała im się z szerokim uśmiechem. Czuł, że między nią a Santą wytworzyła się jakaś swoista nieporozumienia. Nie miał pojęcia, o co tu chodziło.

Zmarszczył brwi. Działo się coś dziwnego. Spiał się, gdy przeszły go dreszcze. Palce muzyka wślizgnęły się pod kołnierzyk jego białej koszuli. Z jakiegoś dziwnego powodu, nie mógł teraz oderwać od niego wzroku. Patrzyli sobie wzajemnie prosto w oczy, a wszystko wokół jakby ucichło. Albo Sasza miał takie wrażenie. Czekał na jakieś słowa albo gest, ale nic się nie działo. Tylko ręka Santy obejmująca jego szyję wydawała się jakby jeszcze mocniej przywrzeć do jego skóry.

– Co...

Nie skończył, bo nagle Santa Boy się spiał i spojrzał na Susanne.

– Macie to w genach, czy co? – zapytał muzyk i drugą ręką pomasażował się po łydce.

– O co chodzi? – spytał Sasza, patrząc na matkę.

– Nie mnie się powinieneś pytać.

Santa Boy westchnął i posłał dzisiejszej pannie młodej jeszcze jedno karcące spojrzenie, które jak zwykle nie zrobiło na niej najmniejszego wrażenia. A tak nie chciał psuć uroczystości...

Gdy chwycił Saszę za dłoń, chłopak znów skupił spojrzenie na nim. Santa Boy wziął głęboki oddech i zsunął się z krzesła na podłogę. Przyklęknął na jedno kolano. Sasza najpewniej zapowietrzyłby się z szoku, ale ktoś z gości, zapewne równie zdziwiony, upuścił łyżkę. Ta z donośnym brzdękiem uderzyła o podłogę. To rozluźniło trochę atmosferę.

Santa Boy posłał karcące spojrzenie niesfornemu gościowi weselnemu, a potem Susanne.

– Wszystko zepsułaś – rzucił w jej stronę, a ona odpowiedziała mu szerokim uśmiechem.

Muzyk przewrócił oczami i na powrót skupił się na Saszy. Czuł wyraźnie, że chłopakowi poci się dłoń. Sam podchodził do tego na chłodno. Już się przecież zdecydował.

– Po co? – spytał Sasza.

– Hm? Po co? – powtórzył ja echo Santa Boy. – Po to, żeby mój majątek po mojej śmierci nie trafił w ręce krewnych, z których połowy nienawidzę, a drugiej połowy w ogóle nie znam. Żeby płacić niższe podatki. I żeby cała uwaga mediów znów skupiła się na mnie.

To oczywiście nie była prawda, bo ta znacznie trudniej przechodzi przez gardło. Santa Boy pochylił głowę i przytknął czoło do dłoni chłopaka.

– Bo... – zaczął znacznie ciszej. – Bo ja już nie mogę znieść samotności. Kiedyś jej pożałowałem. Raniłem wszystkich wokoło, bo sam byłem zraniony. Z resztą, tobie zrobiłem to samo. Chciałem, żeby cierpieli tak jak ja. Gdy byłem dzieckiem, wciąż i wciąż zadawałem sobie pytanie „Dlaczego ja?”. Z tych wszystkich ludzi dlaczego akurat ja? Czym sobie na to zasłużyłem? Teraz zadaję sobie dokładnie to samo pytanie, ale już nie dlatego, że jestem zły na świat... Na Boga, jeśli istnieje. Teraz zadaję sobie to pytanie, bo jestem przerażony. Jestem złym człowiekiem, wiem to. I wiem, że niczym sobie na ciebie nie zasłużyłem. Więc po co to robię? Bo boję się, że w końcu zdasz sobie z tego sprawę i mnie opuścisz. A ja już nie umiem żyć w

samotności. Nie zniósę jej. A tylko ty potrafisz ją rozgonić. Można mieć sto osób wokół siebie i nadal czuć się samotnym. Ja tak właśnie mam. Wszyscy, oprócz ciebie. Więc „Po co”? Bo jestem tchórzem.

Santa Boy uniósł wzrok i się uśmiechnął.

– Mówiłem, że będziesz jeszcze dzisiaj płakał.

*Nawiązanie do rozdziału czternastego „Texas Brothers”

Rozdział 14

Do przejechania mieli ponad tysiąc siedemset mil, a w ciągu pierwszego dnia nie pokonali nawet czwartej części drogi do Austin. Dlatego Trish zarządziła nowy tryb podróży – żadnych niepotrzebnych przystanków, tylko na jedzenie i higienę. Spać też mieli w samochodzie. Dzięki Floydowi liczba kierowców wzrosła do trzech, więc przynajmniej teoretycznie mogli być bez przerwy w trasie.

Gdy dochodziła czternasta, zrobili sobie krótki postój na parkingu przydrożnego fastfooda. Nie siedzieli w restauracji, bo była ładna pogoda, a oni potrzebowali zaczerpnąć świeżego powietrza. Trish kończyła swojego burgera, opierając się o maskę samochodu, gdy podszedł do niej Atsah. Byli teraz sami, bo Ryan udał się do toalety, a Floyd zebrał papierki i właśnie zmierzał w kierunku stojącego po drugiej stronie parkingu kosza na śmieci.

– Po co go zabrałaś? – spytał Indianin.

Trish spojrzała na oddalającą się sylwetkę chłopaka w dredach.

– Wroga najlepiej mieć jak najbliżej siebie – odparła. – Inaczej pojechałby za nami. A tak przynajmniej stracił efekt zaskoczenia.

– Może być niebezpieczny.

Trish uniosła brew i spojrzała w górę, na twarz Indianina.

– Na szczęście mamy wśród nas kogoś, kto ma już doświadczenie w neutralizacji niebezpiecznych obiektów.

Atsah parsknął i pokiwał głową.

– Zaczynam nabierać przeświadczenia, że z nas wszystkich, to ty jesteś najbardziej niebezpieczna.

– No proszę, jaki komplementarz – odparła dziewczyna, zwijając w kulkę papierek po burgerze, który właśnie skończyła jeść. – Co takiego powiedziałaś Ryanowi, że jego nastawienie do ciebie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni?

Od rana samochód prowadził Norton, bo był najbardziej trzeźwy z nich wszystkich i wypadła jego kolej. Obok siedział Atsah i obserwująca ich z tyłu Trish dostrzegła między nimi jakąś nową nić porozumienia. Nie dotykali się, nie rozmawiali ze sobą za bardzo, ale na pewno byli bliżej niż jeszcze wczoraj.

Trish się to podobało. Lubiła, kiedy rzeczy szły po jej myśli. Czuła się wtedy jak lalkarz, pociągający za sznurki. Budziło w niej to dziwną satysfakcję. Był też inny aspekt. Już wiedziała, że nie może stać się tą specjalną osobą dla Ryana. Miała nadzieję, iż Atsah zajmie jej miejsce. Ryan może tego nie okazywał, ale potrzebował kogoś, na kim mógł się oprzeć.

Wilk, a raczej szczeniak, o który właśnie była mowa, podszedł do nich, a właściwie podbiegł. W dłoni trzymał telefon.

– Coś ciekawego w toalecie? – prychnęła Trish, widząc jego minę. – Ale tak sam na sam?

– Jak ty coś powiesz... – zbył ją chłopak.

Gdy stanął już przy nich odblokował ekran telefonu i pokazał im coś na nim. Trish przekręciła głowę, bo obraz był do góry nogami. Zmarszczyła brwi.

– Serwis plotkarki? – zdziwiła się. Zaraz jednak dostrzegła to, co chciał jej pokazać Ryan. – Tego się nie spodziewałam.

Spojrzała na krótką notkę okraszona niewyraźnym zdjęciem zrobionym z ukrycia, najpewniej telefonem. Fotka przedstawiała jej starego klęczącego przed basistą High Death.

– Ale jazda, co nie? – skomentował Ryan.

Trish wzruszyła ramionami.

– Może po prostu się starzeje, ale stracił u mnie parę punktów – stwierdziła.

– Bo serio jej gejem? – zdziwił się Ryan. Nie posądzał Pocahontas o takie poglądy.

– Nie, bo wierzy w małżeństwo. A zawsze pierdzielił w wywiadach o okowach norm społecznych i jego potrzebie wolności. Po prostu stracił kilka punktów do zajebistości. No ale... teraz dopiero będą mieli niespodziankę.

Trish zrobiła piruet i szczerząc się dwoma kciukami wskazała na siebie.

– Będzie ciekawie.

– Pewnie tak – zgodził się Ryan, przewracając oczami.

Ukradkiem zerknął na stojącego obok Atsah.

* * *

Ktoś jeszcze, stojący na tym samym parkingu, za pomocą telefonu i Internetu odkrył coś szokującego. Floyd spojrzął jeszcze raz na treść wiadomości i załącznik, a potem na trójkę przyjaciół rozmawiających przy samochodzie.

Scena na zdjęciu odwzorowywała tę, którą uchwycił on sam paręnaście godzin temu i przesłał do Carla. W nocy, gdy spali po imprezie w pokoju zajazdu, zrobił z ręki zdjęcie sobie i Ryanowi. Na tym, które sam otrzymał, to Carl leżał z zamkniętymi oczami. Jednak nie wyglądał na pogrążonego we śnie. Jego twarz była obita i pokryta krwią. Zapewne stracił przytomność. Osoba robiąca zdjęcie leżała tuż obok i szczyrzyła się radośnie do ekranu. Floyd nie mógł mieć pewności, bo z ich paczki tylko Raphael spotkał go osobiście, ale to chyba był sam Ahiga.

– Kurwa. – Floyd przełknął ślinę i spojrzął jeszcze raz na lakoniczną wiadomość. – „Trzymaj się Ryana Nortona i czekaj na polecenia”. Zajeście to załatwiłeś, Carl.

Pozwolił sobie na jedno westchnięcie. Potem schował telefon do kieszeni i rześkim krokiem ruszył w kierunku rozmawiającej grupki przy samochodzie.

– Hej, misiaczki! – zawołał, zwracając na siebie uwagę. – Co tam romansujecie beze mnie?

Przedstawienie musiało trwać.

* * *

Raphael nie wrócił do domu od razu po opuszczeniu willi Ahigi Ledgera. Przez kilka godzin włóczył się bez celu po mieście. Po prostu nie miał ochoty wracać do pustego domu po tym wszystkim, co dzisiaj zobaczył i usłyszał. Miał ochotę się w czymś zapomnieć, znów beztrąsko bawić się młodością. Przez to jeszcze z większą siłą uderzyło w niego to, że był teraz zdany tylko na siebie. Został sam. Nie było już Carla i Floyda.

Cóż, nie był tak do końca sam. Miał teraz kogoś, na kim zależało, jak jeszcze nigdy wcześniej.

Wrócił do domu i ze zdziwieniem odkrył, że nie jest sam. I nie chodziło tu o rodziców, którzy przedwcześnie wrócili z konferencji. Buty Johnny’ego wciąż stały w tym samym miejscu. Raphael zaglądnął do salonu i kuchni, ale nikogo tam nie

zastał. Udał się więc na piętro, do swojego pokoju. Rzeczywiście był tam Johnny i leżał na łóżku niemal w tej samej pozycji, w jakiej spał, gdy Raphael wychodził rano.

– Wujaszku? – zaniepokoił się chłopak. – Wujaszku, wszystko „okej”?
W ogóle, wychodziłeś gdzieś stąd dzisiaj? Nie, żebym cię wyrzucał, ale...

Johnny otworzył oczy i spojrzał na chłopaka. Dzisiaj jego skóra w miejscach obić przybrała jeszcze mniej przyjazny dla oka kolor. Nie wyglądał dobrze.

– A gdzie miałem iść? – spytał. – Co robić?

– Co robić?! – powtórzył z niedowierzaniem w głosie Raphael i pośpiesznie podszedł do łóżka. – Cokolwiek! Wszystko!

Usiadł przy Johnny’em i chwycił go za ramiona. Miał ochotę nim mocno potrząsnąć.

– Ahiga chce zabić ciebie, twojego bratanka, rodzinę, a może nawet całe miasto, a ty sobie siedzisz?! Powinieneś coś robić, działać... Walczyć!

Johnny parsknął i uśmiechnął się krzywo. Pobłażająco.

– Chyba naoglądałeś się za dużo filmów – odparł. – Myślisz, że co? Że niczym John Wick* czy inny mściciel spakuję walizę gnatów i jak gdyby nigdy nic wparuję do siedziby Banitów i sam jeden rozwalę każdego gangstera, który stanie mi na drodze, a mnie kule czarodziejsko imać się nie będą?

– Chciałbym, aby tak było, ale wiem, że to nie możliwe... Jednak, wujaszku...

– Raphael ścisnął mocniej ramiona Johnny’ego i spojrzał mu prosto w oczy. – Nie możesz tak po prostu się poddać, nawet nie próbując. Nawet jeśli miałbyś nie wrócić z tarczą, to przynajmniej cię na niej poniosą, jak herosa.

– Jak poetycko – parsknął mężczyzna, na jego ustach pojawił się jednak cień uśmiechu.

Wyzwolił się z uścisku i dłonią obtarł policzek Cherubina.

– Wujaszku...

– Płaczesz? – spytał. – Dla kogoś takiego jak ja? Dla tchórza? Ale skoro taki sprytny, wyszczekany dzieciak roni łzy dla mnie, to jak daleko jest w stanie się posunąć, hm?

Johnny przybliżył się jeszcze do chłopaka tak, że ten mógł poczuć na swojej twarzy i uchu jego oddech. Palcami dłoni, którą dotąd trzymał na jego policzku,

zjechał w dół, zahaczając o dolną wargę Cherubina, lekko ją wywijając. Zroszone śliną opuszki Johnny'ego zostawiły na drobnym podbródku chłopaka, drażniący ślad.

– Gdzie dzisiaj byłeś? – spytał Norton, niemal szepcząc mu do ucha.

– U Ahigi – przyznał chłopak, zerkając w bok czarnymi jak noc oczyma na jego twarz.

– Właśnie – podłapał Johnny, przesuwając powoli dłoń na smukłą szyję Cherubina. – U Ahigi. Widziałeś go osobiście? Byliście w tym samym pokoju?

– Tak, siedział za biurkiem – przyznał Raphael.

Drgnął, gdy Johnny skubnął palcami jego skórę w miejscu jabłka Adama. Mrowił go kark. Pojawiło się między nimi jakieś dziwne napięcie, ale nie mógł zdefiniować, co było jego powodem.

– I byliście tam sami?

– Przez chwilę tak.

– No, właśnie, mój drogi Cherubinie. – Johnny czułym gestem przeczesał jego krótkie, farbowane na blond włosy. – Byłeś z nim sam na sam. Dzielił was metr, może dwa. Miałeś szansę i to nie pierwszą, której ja nigdy nie będę mieć, i nie zrobiłeś nic.

– Ja miałem go zabić? Niby jak? – spytał Raphael.

Nie mógł sobie nawet tego wyobrazić.

– Nie wiem, rękami? – odparł Johnny, odsuwając się od chłopaka. Znów miał na ustach ten krzywy uśmiech. – Widzisz, to nie takie proste. Ja już to raz zrobiłem, tak mi się przynajmniej wydawało i nie było nocy, w której by mnie to nie dręczyło.

Na powrót położył się na łóżku. Cherubin spojrzał na niego, siadając obok po turecku. Wyglądał teraz o wiele starzej niż, gdy po raz pierwszy zobaczył go w sklepie. Wtedy aż na chwilę zapomniał, jak się oddycha. Może grał pewnego siebie, ale w środku był cały roztrzęsiony. Takie zrobił na nim wrażenie ten mężczyzna.

Teraz zupełnie nie przypominał tamtego siebie. Był zrezygowany. Iskra w jego zielonych oczach zupełnie znikła.

– Wujaszku. – Raphael nachylił się i złożył pocałunek na jego spękanych wargach. – Umówmy się, że od tej pory obaj będziemy zajebisti... jak John Wick. Jeśli i tak mamy zginąć, to przynajmniej w jakiś zajebisty sposób. Obaj zrobmy

wszystko, aby dopaść Ahigę. Obiecuję, że jeśli jeszcze raz przed nim stanę, to zrobię wszystko, aby go zabić. I ty też to obiecaj, wujaszku.

Johnny zaśmiał się gardłowo, przymykając oczy.

– Zgoda – odparł, uśmiechając się. Przyciągnął go za kark do pocałunku. – Niech i tak będzie.

Sam nie wiedział, dlaczego to robił. Już po raz któryś igrał z tym chłopakiem i pozwalał na to jemu. Czasami miał ochotę się położyć, tak jak teraz, i pozwolić komuś się wszystkim zająć. Po prostu zamknąć oczy i się oddać. Pozwolić komuś się sobą zająć. Oddać się komuś w panowanie. Nie chodziło tu tylko o kwestię seksu, co już samo w sobie było wystarczająco upokarzające.

Tłumaczył to sobie zmęczeniem ciągłą ucieczką i związaną z nią tułaczką po świecie. Wypaleniem. Jednak od zawsze wiedział, że to nie prawda. To było w nim już wcześniej, pewnie od samego początku. I Ahiga nim w to obudził. Był silny. Silniejszy od Johnny'ego i od każdego, kogo znał, pod każdym względem, nie tylko fizycznym. Był pewny siebie, zdeterminowany i nieugięty. To imponowało zbuntowanym dzieciakom, do jakich należał Johnny, ale on czuł, że jego zafascynowanie sięga znacznie głębiej.

Zawsze miał potrzebę udowodnienia innym swojej siły, dlatego wylądował jako nastolatek w gangu. Dużą miał w tym zasługę jego starszy brat. Ted był głupkiem. Prawdziwym, rasowym idiotą, ale to w niczym nie przeszkadzało. Jego siła i niezachwiana niczym pewność siebie imponowała kobietom, a przede wszystkim ojcu. Johnny od dziecka, częściowo podświadomie, robił wszystko, aby także zasłużyć na jego aprobatę. Czuł nieustającą potrzebę udowodnienia wszystkim swojej wartości i przewagi. Już po pierwszym spotkaniu Ahigi zrozumiał, że nigdy z nim nie wygra. Na początku go to frustrowało, ale później poczuł jakąś dziwną ulgę.

Przy nim nie musiał udawać, nie musiał z nim rywalizować, bo i tak nic by to nie dało. Z początku sądził, że Ahiga po prostu mu imponował, ale to nie była cała prawda. Zapragnął być jego, poddać mu się. Odsłonić się jak pies, pokazujący brzuch przywódcy watahy. Chciał do niego należeć. Przy nim czuł się słaby, co było jednocześnie dziwnie satysfakcjonującym i przerażającym uczuciem. Zaprzeczeniem

wszystkiego, przez co się określał. Wzbudzało w nim to wzgardę względem samego siebie.

Johnny zaśmiał się do własnych myśli. Spojrzał na chłopaka, który przyglądał mu się skonsternowany. Odsunął go od siebie, dając znak, że nie może liczyć na nic więcej.

Raphael zszedł z łóżka. Rozumiał to. Był za słaby. Jeśli chciał zdobyć tego mężczyznę, musiał stać się tego wart. Musiał stać się silniejszy.

Poszedł do sypialni rodziców i z górnej pułki w szafie ściągnął karton. W środku był rewolwer i pudełko naboji. Obrócił broń w dłoniach. Była ciężka i zimna, jednak sam dotyk metalowej, wyprofilowanej lufy, gładkość jej powierzchni, która czuł pod opuszkami palców, budziła w nim ekscytację.

Musiał stać się silniejszy od Ahigi Ledgera.

– Oddaj to, bo zrobisz sobie krzywdę.

Nim zdążył jakkolwiek zareagować, broń została mu odebrana. Za nim stanął Johnny.

– Wiedziałem, że poszedłeś zrobić coś głupiego – stwierdził Norton, ważąc pistolet w dłoni. – Mężczyźni zwykle tak reagują na odrzucenie. No to przynajmniej jeden problem rozwiązany. Przynajmniej nie muszę się martwić, skąd wziąć spluwę.

– Wujaszku... – zaczął niepewnie Cherubin.

– No... – Johnny uśmiechnął się krzywo i potarł go po włosach. – Ciesz się, że obudziło się we mnie sumienie, bo zajeście łatwo było cię zmanipulować. Jesteś rozpuszczonym, zblazowanym bachorem z dobrej rodziny i tym pozostań.

Pstryknął chłopaka w czubek nosa, na co ten zareagował zaskoczonym syknięciem. Schował broń za paskiem, a naboje do kieszeni. Chciał odejść, ale Cherubin chwycił go za nadgarstek. Odwrócił się, by na niego spojrzeć.

– Wujaszku, pierdoliłem od rzeczy. Wcale nie musisz nic robić! Lepiej nie rób. Nie idź tam! – poprosił błagalnie.

Johnny uśmiechnął się i poklepał chłopaka po głowie. Poszedł.

Musiał. Teraz wstydził się siebie. Tego, że cały czas tylko uciekał. Ryzykował życie swojej rodziny, nic nie robiąc, a nawet był gotów wykorzystać naiwność tego dzieciaka. Przekabacić go, a nawet uwieść. Byleby tylko uciec.

Tego właśnie w sobie od zawsze nienawidził. Tego chciał się wyzbyc. Teraz był ku temu najlepszy czas. Nie mógł też dać satysfakcji Ahidze. On znał jego słabości jak nikt inny. Chciał go upokorzyć.

Gdy wyszedł z domu Cherubina, w jego głowie reszcie zapanował spokój. Już wiedział, co mu zrobić. Zapewne przegra. Zginie on i jego rodzina, ale przynajmniej spróbuje. Da z siebie wszystko.

Gdy był w drodze do domu, rozdzwonił się jego telefon. Znów nieznany numer. Ten sam, co przedtem. Ahiga. Odebrał.

– Czego chcesz? – spytał.

Staął w miejscu i rozglądał się wokół. Zapewne był obserwowany, a może trzymali go na muszce.

– Już wiemy, że nie pokoju na świecie – odparł Ahiga, nawiązując do ich ostatniej rozmowy. – Wielu rzeczy, a ty nie chcesz mi dać kilku z nich. Zastanawiałem się, o co chodzi? Może nie kochasz swojej rodziny? Nie zależy ci na niej? Ale to nie to, prawda? Po prostu zapomniałem o tym, jaki jesteś naprawdę. Słaby.

Johnny zacisnął palce na obudowie telefonu. Sam wiedział o tym najlepiej.

– Wiesz – kontynuował gangster – chciałem zobaczyć twoje upokorzenia. Nasycić się nim, zanim cię zabiję. Chciałem widzieć cię pod ścianą, całkowicie pokonanego, zdemolowanego, gdy wszystkie twoje starania pójdą już na próżne. A potem chciałem, żebyś błagał o łaskę dla swojej rodziny na kolanach. I byłbym ci jej nie dał. Pomyślałem, że jeśli się zemszczę, wreszcie zaznam spokoju. Moje plany nie uległy znaczącej zmianie, ale zastanawiam się, czy to naprawdę przyniesie mi ukojenie.

– Co to ma znaczyć? – spytał Johnny, skonsternowany zezował na telefon, który przyciskał do ucha.

Serce biło mu jak oszalałe. Czuł adrenalinę wymieszaną ze strachem i czymś jeszcze. Czymś, co wywoływał u niego dźwięk głosu Ahigi.

Musiał chwilę poczekać na odpowiedź. Gdy cisza w słuchawce przedłużała się niepokojąco, myślał, że może Ahiga postanowił zakończyć ich rozmowę. Tak jednak nie było. Zamarł, gdy w końcu usłyszał odpowiedź. Niemal zapomniał, jak się oddycha.

– Naprawdę cię kochałem – powiedział mężczyzna. – Nie tego zgrywającego pewnego siebie, zakompleksionego chłopaczka, który musiał wszystkim udowodnić, że jest najlepszy. Ale tego, który krył się pod tą maską. Przy mnie nie udawałeś. Wiedziałeś, że ja bym cię obronił. A ja chciałem cię bronić. Chciałem żebyś był mój... Było by nam dobrze, Johnny. Byłoby nam wspaniale, gdyby nie ta twoja pierdolona duma. Chyba nigdy ci nie powiedziałem, że cię kocham, ale musiałeś wiedzieć. Wiedziałeś, prawda? A mimo to... Popatrz, do czego doprowadziłeś.

Czy wiedział? No pewnie. Mógł się oszukiwać, ale gdzieś tam w głębi zawsze wiedział. I to go tak przerażało.

– Ale to już nie ma znaczenia, prawda? – spytał Ahiga. W jego zimnym, pozbawionym emocji głosie Johnny wyczuł gorzką nutę. – Tydzień. Daję ci tydzień.

– Tydzień? – powtórzył Norton, nie rozumiejąc, o co chodzi gangsterowi. – Tydzień na co?

– Pomyślałem, że może potrzebujesz jakiegoś impulsu. Wysłałem ci pewne zdjęcie. Za równo tydzień od teraz on zginie, chyba że coś zrobisz.

– Co? Kto zginie?! Przecież miałem mieć sto czterdzieści dziewięć dni!

W słuchawce rozległ się ochrypły śmiech Ahigi.

– Dlaczego miałby grać fair? – spytał. – Ty tego nie zrobiłeś, gdy postanowiłeś mnie zabić. Nie miałeś nawet jaj, żeby stanąć ze mną twarzą w twarz. Pamiętaj, tydzień. Zegar tyka.

Rozłączył się. Johnny wszedł na swoją skrzynkę pocztową, na której rzeczywiście znalazł nieprzeczytaną wiadomość. Mail nie miał żadnej treści, ale zawierał załącznik. Otworzył go. Chwilę musiał zastanowić się nad tym, co właściwie przedstawiało niewyraźne zdjęcie.

Jedynie osoby znajdowały się na dalszym planie. Stali na betonowym placu. Parkingu. Johnny nie mógł dojrzeć ich twarzy, ale po chwili rozpoznał trójkę osób ze zdjęcia. Czuł, jak wielka gula rośnie mu w gardle.

– Boże... Ryan.

*John Wick – płatny morderca, główny bohater serii thrillerów pod tym samym tytułem, których motywem przewodnim jest zemsta. Proste siekanki bez głębi, ale sieka Keanu Reeves :)

Rozdział 15

W końcu dotarli. Z pokoju motelowego mogli oglądać wijącą się rzekę Colorado, która przepływała przez Austin. Oczywiście, nie tę, która tworzyła Wielki Kanion, to była rzeka Kolorado przez „K”, ale ta także robiła całkiem spore wrażenie. W końcu była to najdłuższa rzeka, która swój początek i koniec miała w Teksasie.

Pogoda była tu całkiem nie zimowa. Dziś, w południe, temperatura sięgała kilkunastu stopni, a ziemię pokrywały kolorowe liście drzew. Przypominało to raczej środek ciepłej w barwie i temperaturze jesieni. Sztuczne choinki i porozwieszane ozdoby, które można było zobaczyć na ulicach miasta, wyglądały wręcz trochę komicznie.

Takie wrażenie miał przynajmniej Ryan, gdy w dziwnie melancholijnym nastroju patrzył przez przestronne, motelowe okno na panoramę Austin. Pozostali członkowie wyprawy nie wydawali się w nastrojach do podziwiania widoków. Jak struci siedzieli na swoich łóżkach, gotując się do snu.

Do miasta przybyli kilka godzin wcześniej, ale spędzali je na odnalezieniu budynku, w którym mieszkał Santa Boy ze swoim basistą i, jak donosiły media, od niedawna także narzeczoną. Chyba im się to udało, ale wizytę, która, jak mieli nadzieję, nie zakończy się zawałem frontmana High Death, ani ich obitymi, nastoletnimi ryjami, postanowili odłożyć do jutra.

Ryan, patrząc na wijącą się rzekę, myślał o tym, że ta wyprawa zmieni życie ich wszystkich, nie tylko Trish. Chociaż ona sama się do tego nie przyznawała. Bo ona przecież chciała tylko „zobaczyć go na własne oczy” i „zrobić coś szalonego przed rozpoczęciem dorosłego życia”. Ryan w to nie wierzył. Ta wyprawa zmieni ich wszystkich.

Odwrócił się i zawiesił wzrok na Atsah, który jednak tego nie wyłapał. Skupiony był na odkopaniu czegoś w swojej torbie. Ryan nieświadomie powędrował dłonią do swojej blizny po wypadku, która przecinała łuk brwiowy. To przez nią Indianin dotknął go po raz pierwszy. Ryan długo się nad tym zastanawiał. Czy naprawdę ten dziwny chłopak chciał go tylko podręczyć? Teraz doszedł do wniosku, że to była tylko wymówka.

Chyba obaj poczuli to w tym samym momencie, zanim jeszcze cokolwiek do siebie powiedzieli. Gdy ich spojrzenia spotkały się na szkolnym korytarzu. Mógł sobie i innym, w tym Trish wmawiać coś innego, ale od razu wiedział, że Indianin nie miał nic wspólnego z tym głupim napisem na murze. To do niego nie pasowało. Więc dlaczego za nim poszedł?

Bo chciał wiedzieć o nim więcej. Bo chciał być bliżej niego. I dostał, czego chciał.

Ryan uśmiechnął się pod nosem i z powrotem odwrócił się przodem do szyby. Dotknął jej chłodnej tafli palcami, a potem oparł o nią czoło. Jego krzywy uśmiech jeszcze się poszerzył przez myśli, które chyba już na trwałe zakotwiczyły się w jego umyśle.

Chyba zadurzył się w Indianinie, który miał już na sumieniu czyjeś życie. Nieprzewidywalnym gościu ze słabością do kotów, co czyniło go tylko dziwniejszym.

– Zajebicie – skwitował.

Ale wybór należał do niego, prawda?

W środku nocy obudził go jakiś dźwięk. Chyba trzask drzwi. Usiadł na łóżku i zaczesał dłonią opadające na czoło włosy. Potrzebował chwili, aby dojść do siebie i uświadomić sobie, gdzie się znajduje. Pomimo środka nocy przez światła miasta w pokoju nie panowała całkowita ciemność, więc nawet bez włączania lampki dojrzał, że łóżko, w którym powinna spać Trish, jest puste.

Uznał, że pewnie poszła do łazienki, która znajdowała się na korytarzu, ale jednak postanowił na wszelki wypadek pójść za nią i sprawdzić, czy nic się nie stało. W tym celu uniósł się z pościeli, ale nocną ciszę przeszył kolejny dźwięk. Ryan obejrzał się za siebie, na łóżko, na którym spał Atsah.

Chłopak poderwał się do siadu i brał właśnie gwałtowne hausty powietrza. Większość jego twarzy przesłaniały długie, zburzone włosy. Nagie ramiona i klatka piersiowa błyszczały się w świetle miasta od potu.

Wystarczyło jedno, szybkie spojrzenie, aby Ryan domyślił się, co właśnie miało miejsce. Niewiele myśląc, w dwóch susach pokonał swoje łóżko i dopadł do Indianina.

Palce jednej dłoni zatopił w jego doskonale czarnych włosach, a drugą chwycił go za policzek.

– Hej, to był tylko sen – powiedział, jednym kolaniem wchodząc na łóżko. – Dobrze się czujesz? Miałeś koszmar.

– Tak, koszmar – mruknął Atsah nieobecny głosem. Przycisnął dłoń do oczu, a potem czoła. – Kurwa.

Chwilę jeszcze wydawał się niepewny, ale potem, nie patrząc Ryanowi w oczy, złożył w głowę na jego udach i oplótł go ramionami w pasie.

– Tylko na chwilę – powiedział, jakby się tłumaczył.

– Okej – odparł Ryan zaskoczony tym nagłym wtargnięciem przez Indianina w jego prywatną strefę.

Po krótkim zaufaniu włożył place w jego splątane włosy i zaczął je delikatnie przeczesywać. Od Indianina biło takie dziwne gorąco.

– Wiesz... – zaczął po chwili zupełnej ciszy między nimi. – Śnił ci się on?

– On?

– No, wiesz... ten chłopak, którego...

– Którego zabiłem? – dopowiedział Atsah gorzkim głosem. – Nie, on mi się nigdy nie śni. Nigdy mi się nie śnił. Chyba powinien, gdybym był normalny. Ale nie jestem.

– Co? Co to ma znaczyć?

Atsah podniósł się do siadu. Teraz wreszcie Ryan mógł zobaczyć jego minę. Ten cierpki, gorzki uśmiech niepasujący zupełnie do nastoletniego chłopca. To był uśmiech człowieka, dorosłego, który już za dużo w życiu doświadczył. No i te oczy. Doskonale czarne, lekko skośne i takie zmęczone.

– Nie śnię o niczym szczególnym. O czymś, co miałoby jakiś kształt i sens. Tak mi się przynajmniej wydaje. Jednak zawsze, gdy budzę się z koszmaru, budzę się z tym samym przekonaniem. Pewnością właściwie.

– Jaką pewnością?

Atsah wzruszył szerokimi ramionami.

– Że mógłbym to zrobić znowu – przyznał.

Ryan spojrzał na niego zszokowany.

– Że tego chcesz? Że cię do tego ciągnie? – dopytał.

Atsah parsknął, widząc niepewność malującą się na twarzy, która tak mu się podobała.

– Nie, nie sprawiło mi to przyjemności. Wręcz przeciwnie – wytłumaczył. – Chodzi o to, że ludzie chyba dzielą się na dwa rodzaje. Taki, którzy podstawieni pod ścianą, są zdolni to zrobić i takich, którzy nawet wiedząc, że w innym wypadku zginą oni albo najdrożsi im ludzie, nie są zdolni zabić drugiego człowieka. Myślę, że ta druga grupa jest dalej w ewolucji. Ona już się wyzbyła tej pierwotnej bestii, która niegdyś była w każdym człowieku. I była mu potrzebna, aby przetrwać w naturze. Ale czasy się zmieniły i już nie jest nam do niczego potrzebna, a we mnie ona nadal jest. Ukryta gdzieś tam w środku, za fałdami serca. I tylko czeka na impuls... Wiem, że pewnie tego nie rozumiesz. Bredzę.

Nie pojmował, to prawda. Nigdy nie da się w pełni zrozumieć drugiego człowieka. Bo każdy jest inny. Można się strąć, próbować, ale nigdy nie uda się tak do końca zrozumieć serca drugiej osoby.

– Nie bredzisz, tylko... Rzeczywiście chyba nie rozumiem, ale chyba też wiem, o co ci chodzi. Ja chyba bym nie umiał – przyznał Ryan. – Wiesz, nawet gdyby ktoś miał na muszce moją matkę i mógłbym ją uratować... To chyba nie umiałbym tego zrobić, zabić drugiego człowieka.

– Widzisz – mruknął Atsah. – A ja bym mógł. Dlatego to musi się skończyć.

– Co skończyć?

Atsah w geście zakłopotania zmierzwił swoje włosy z tyłu głowy. Zaraz jednak wyprostował się i spojrzał Ryanowi prosto w oczy.

– Lubię cię – przyznał – od samego początku. I to był błąd, że pozwoliłem sobie się do ciebie zbliżyć. Że jestem teraz tutaj. Coś mnie do ciebie ciągnie, od samego początku. I to nie jest moja naiwność. Moja głupota. Bo ja sobie obiecałem...

– Co takiego? – dopytał Ryan patrząc rozbieranym wzrokiem na Indianina.

Czuł, jak coś ściska go w piersi. Był już pewien, że nie spodoba mu się to, co przyjdzie mu za chwilę usłyszeć. Niemal się spłoszył jak dzika sarna, gdy Atsah w jakimś tęsknym geście dotknął jego brązowych włosów.

– Że nigdy się nie zakocham – odparł Indianin. – Bo ktoś taki jak ja nie może sobie na to pozwolić. Chyba byłbym wtedy zdolny zniszczyć cały świat, byleby tylko utrzymać to uczucie. Nawet obiekt tego uczucia.

To brzmiało strasznie, pomyślał Ryan, a jednocześnie ta myśl była jakoś dziwnie pociągająca.

– Chodźmy spać – rzucił Atsah i położył się z powrotem na łóżku. Bokiem, tyłem do chłopaka.

Ryan chwilę się wahał, ale postanowił nie wracać do swojego łóżka. Ułożył się na plecach. Jego bark stykał się z plecami Atsah. Niby nic, a jednak przyprawiało go o szybsze bicie serca. Tylko jeszcze do końca nie umiał sprecyzować, z jakiego powodu.

Z tego wszystkiego zapomniał o Trish, która nie wróciła już tej nocy do ich pokoju.

* * *

Sasza był tak zaspany, że nawet nie zwracał szczególnej uwagi na to, co było pod jego nogami i działo się przed nim, gdy wspinał się po schodach klatki do ich mieszkania. Był wczesny poranek, a oni właśnie wrócili od matki Saszy. Z jej ślubu, na którym, nie wiadomo czym motywowany, Santa Boy postanowił się oświadczyć. Kosmos jakiś. Sasza byłby tym znacznie bardziej podekscytowany, gdyby nie to, że tak strasznie chciało mu się spać.

Oczy niemal same mu się zamykały. Pewnie dlatego wpadł nosem na plecy idącego przed nim Santy Boy'a, który nagle postanowił się zatrzymać.

– Co jest? – spytał Sasza, pocierając nos.

– Uświadomiłem sobie, że zapomniałem zabrać telefonu ze schowka – odparł muzyk, odwracając się w jego stronę. Z kieszeni wyciągnął kluczyki do samochodu. – Skoczyłbyś?

– Hm? No dobra – zgodził się Sasza, odbierając je.

Ruszył w dół schodów. Nawet nie przyszło mu do głowy zapytać, dlaczego to on miał iść. Miał zbyt dobry humor, żeby przejmować się takimi drobnostkami. No i z natury był miłym chłopcem.

Santa Boy odprowadził go wzrokiem. Gdy chłopak zniknął z pola widzenia, mina muzyka uległa gwałtownej zmianie. Jakby nagle jego twarz skuł mróz. Właśnie taką miną obdarzył dziewczynę siedzącą przy drzwiach jego mieszkania, na pierwszym schodku prowadzącym na następne piętro.

– Czego chcesz? – spytał zimnym głosem. – Pieniądzy?

Dziewczyna gapiła się na niego swoimi wielkimi, ciemnymi oczami bez słowa przez parę sekund, po czym wybuchła głośnym śmiechem.

– O, cholera! – prychnęła, nie mogąc powstrzymać rozbawienia. – Dokładnie tak to sobie wyobrażałam.

Stała na schodku prezentując się w pełnej, pięknej okazałości i otrzepała swoje dzinsy.

– Czy wyglądam na kogoś, kto potrzebuje pieniędzy? – spytała, przekręcając głowę.

– To czego chcesz? Sławy?

– Hm, wtedy po prostu nagrałabym seks-taśmę z jakimś aktorem drugiej kategorii.

Santa Boy przymknął oczy. Nie chciał tego. Nie było mu to potrzebne. Nie teraz, kiedy wszystko wreszcie było dobrze.

– Po prostu spieprzaj.

Jego sfatygowane przez życie rockandrollowca serce niemal się zatrzymało, gdy usłyszał za plecami chrząknięcie. Odwrócił się, by spojrzeć na Saszę, gdy wspiał się bezszelestnie po schodach i teraz obrzucał muzyka nieprzychylnym, karcącym wzrokiem.

– Szybko się wyrobiłeś – prychnął Santa.

– W połowie drogi do samochodu skapnąłem się, że ty przecież nigdy nie wyciągasz telefonu z kieszeni, nawet jak prowadzisz. Ale to nieważne. – Wychylił się zza jego pleców i spojrzał na dziewczynę. – Przepraszam cię za tego prostaka.

– Spoko – parsknęła nastolatka.

Wydawała się bardzo rozbawiona całą sytuacją.

– A teraz chciałbym się dowiedzieć, kto to taki. – Sasza z powrotem skupił się na Sancie Boy'u. – I dlaczego tak ją potraktowałeś? Czy to jakaś twoja...

– Ogranicz tą swoją bujną wyobraźnię – prychnął muzyk. – Na ile lat ci wygląda?

– Cóż, nie posądzam cię o tyle przyzwoitości, aby stanowiło to dla ciebie dużą przeszkodę.

Santa Boy aż pokręcił z niedowierzaniem głową. Z wyrzutem popatrzył na swojego od niedawna narzeczonego. Dziewczyna znów się roześmiała i rzuciła czymś, co brzmiało jak „Ale jazda”.

– No? – ponaglił Sasza, wędrując spojrzeniem między tą dwójką.

Santa Boy podniósł ręce i oczy ku niebu, a potem podszedł do dziewczyny i nachylił się tak, aby ich twarze znalazły się na jednym poziomie. Sasza początkowo nie rozumiał, ku czemu to miało służyć, ale po chwili to do niego dotarło. Prawie spadł ze schodka, gdy z wrażenia zrobił krok do tyłu. Przed upadkiem uratowało go to, że wpadł na ścianę, do której przywarł plecami.

– O kurwa – wyrwało mu się.

– No.

Kosmos. Po prostu kosmos.

Dziewczyna siedziała na kanapie w salonie i ciekawsko rozglądała się po pokoju. Sasza potulnie poszedł zrobić coś do picia, wciąż nie wychodząc z szoku. Gdy wrócił z kuchni, rzucił siedzącemu w fotelu Sancierze przelotne spojrzenie. Dawno nie widział jego diabelskiej mordy aż tak wykrzywionej. Nie miał pojęcia, czego się spodziewać.

Gdy stawiał szklanki na stole, jeszcze raz zerknął na dziewczynę. Naprawdę byli uderzająco podobni. Mieli identycznie zbudowane kości twarzy, głęboko osadzone oczy oraz kształt uszu i nosa. U niej wszystko było po prostu złagodzone i razem dawało przyjemny dla oka, choć nietuzinkowy efekt.

– O kurwa – znów mu się wyrwało, gdy dostrzegł leżące na stoliku zdjęcia.

– Powtarzasz się – mruknął Santa Boy.

Zdjęcia przedstawiały młodszego o kilkanaście lat frontmana High Death w otoczeniu innych muzyków oraz kobiet. Któraś z nich musiała być matką

dziewczyny. Wszystkie wyglądały... Sasza nawet w głowie nie chciał przytaczać określeń, które przyszły mu na myśl.

Znów zerknął na dziewczynę. Była bardzo dobrze i gustownie ubrana, a z jej oczu biła inteligencja. Najwyraźniej jej matka poszła po rozum do głowy po przypadkowym spółdzeniu dziecka z zaćpanym metalowcem. Tyle dobrze.

– Ach, to. – Uśmiechnęła się dziewczyna, po czym lekko rzuciła: – Jestem adoptowana.

Sasza postanowił, że sobie usiądzie. Przykucnął na krawędzi kanapy i z nadzieją popatrzył na Santę Boy'a.

– Więc dlaczego akurat teraz? – spytał muzyk.

– Zwyczajna ciekawość – odparła dziewczyna i sięgnęła po herbatę. – Moi starzy to dentyści, mają własną klinikę. Powinam się cieszyć, bo jestem ustawiona do końca życia. Mam na tyle dużo rozumu, że skończenie studiów nie sprawi mi problemów. Większość ludzi całe życie walczy o to, aby posiadać jak najwięcej. To określa, wartościuje ich życie. Są szczęśliwi, jeśli mogą sobie kupić najnowszy model iPhone'a, a najlepiej jeśli nie stać na niego ich sąsiada. Ja więc powinnam się cieszyć z tego, że nie muszą się jakoś szczególnie starać. A jednak tak nie jest. I dręczą mnie te pytania, które tylko utrudniają życie. Po chuja to wszystko? Jaki jest tego sens? Jaki jest tego cel? I o co w tym wszystkim chodzi? W tym całym życiu? Więc przybyłam tutaj w poszukiwaniu odpowiedzi.

Sasza nie mógł się nie roześmiać. Aż chwycił się za czoło.

– Jesteście tacy sami – stwierdził rozbawiony, kręcąc głową. – Dokładnie tacy sami. Ale jazda.

Santa Boy był zły. Był wkurwiony, gdy ta mała mara ukazała mu się przed drzwiami ich oazy. Nie chciał, by cokolwiek zburzyło to, co udało mu się odzyskać. Czego już nigdy nie chciał utracić. Szczęścia.

Teraz jednak patrzył na to kruche, chude stworzenie o bystrych oczach i czuł zadowolenie. Nigdy nie pragnął mieć dzieci. Pewnie gdyby wiedział, zmusiłby tę kobietę do usunięcia. Taki wtedy był. Teraz zaś czuł spokój. Jeśli tylko Saszy to nie przeszkadzało, to wszystko było w porządku.

Chyba nawet się cieszył.

– Trudne pytania – odparł, odzywając dopiero drugi raz, odkąd usiedli w salonie. Sasza wbił w niego napięte spojrzenie tych wyłupiastych oczu. – Sam zastanawiałem się nad tym samym przez całe życie. Ja na szczęście znalazłem odpowiedź. Ty musisz poszukać sama.

Spojrzał na Saszę, uśmiechając się do niego.

Trish westchnęła i odchyliła się na kanapie.

– Miłość? – mruknęła cierpięciznym tonem. – Liczyłam na coś prostszego. Miłość jest trudna. Po za tym, moi starzy powiedzieliby mi to samo. I ksiądz w kościele. Jesteś królem metalu, liczyłam na coś bardziej oryginalnego.

– Przykro mi, że cię zawiodłem. – Zaśmiał się muzyk.

Trish machnęła ręką.

– No co zrobić? – odparła, posyłając im rozbawiony uśmiech. – W ogóle, gratuluję zaręczyn. Będę mogła nieść obrączki?

– Już się rozeszło? – zdumiał się Sasza. – I... i nie przeszkadza ci to?

– A co mi do tego? – Trish wzruszyła ramionami. – Niech każdy robi, co chce i nikomu nic do tego, jeśli tylko nie krzywdzi tym innych. Tego się trzymam. Świat byłby o wiele przyjemniejszy, gdyby wszyscy się tego trzymali i nie wpięrzali z butami w cudze życie, co nie?

– Kurde, Santa, mądre masz to dziecko.

– Po tatusiu.

* * *

Przez to wszystko, co usłyszał w nocy, zupełnie zapomniał o Trish i zasnął w łóżku Atsah. Rano, gdy jej absencja znowu mu o sobie przypomniała, bo dziewczyny nigdzie nie było, był bliski utraty zmysłów.

– Nie odbiera! – powiedział po raz kolejny, drepząc nerwowo wzdłuż brzegu rzeki. – Wyszła gdzieś nad ranem i nie odbiera pieprzonego telefonu!

Floyd starał się go jakoś uspokoić. Słowa nie pomagały, więc w końcu zdecydował się chwycić chłopaka za ramię i unieruchomić.

– To logiczne, że poszła do swojego starego. Nic jej nie będzie. To przecież Pocahontas. To demon, a nie dziewczyna.

– Ale dlaczego poszła bez nas?

– Bo tylko byśmy jej przeszkadzali. Pomyśl, to jej stary, bylibyśmy tym jak piąte koło u wozu.

– To w jej stylu – przyznał Ryan, trochę się uspokajając.

Nie zmieniało to faktu, że martwił się o przyjaciółkę. Byli w końcu w obcym mieście.

– Załatwi swoje sprawy, to wróci. Zobaczysz.

– Może. Ale dlaczego w takim razie mnie tu przytargała! I dlaczego on znowu się tu lipi?! – wzburzył się Ryan, gdy znów wyczuł na sobie wzrok Atsah, który cały dzień trzymał się na uboczu.

Przez to, co wydarzyło się w nocy, a przede wszystkim przez słowa, które padły, atmosfera między nimi była ciężka. Od rana nie zamienili ze sobą nawet jednego słowa.

Floyd również popatrzył w stronę, gdzie paręnaście kroków od nich stał Indian. Uśmiechnął się.

– Na te pytania akurat znam odpowiedź – stwierdził.

– Co masz na myśli? – zdziwił się Ryan.

– Pocahontas zabrała cię ze sobą, abyś był jak najdalej od naszej miejsciny i rzeczy, które się tam dzieją, a związanymi z twoim wujkiem. A Indianin patrzy na mnie z rzedzą mordy w oczach z dwóch powodów. Raz, że jest zazdrosny. I dwa, iż podejrzewa, zresztą nie bez słuszności, że mogę spróbować coś ci zrobić.

Uścisk jego dłoni na ramieniu Ryana stał się mocniejszy. Pociągnął go, aby spojrzeć na ekran jego telefonu.

– Co jest? – zdziwił się Ryan i skrzywił się, gdy dojrzał to, co Floyd chciał mu pokazać.

Mianowicie, zdjęcie przedstawiające jednego z chłopaków, z którymi trzymał Floyd. Tego najdurniejszego i najbardziej agresywnego. Carla.

– Co mu się stało? Kto mu to zrobił? – spytał Ryan, patrząc na zmasakrowaną, zakrwawioną twarz chłopaka.

Rozdział 16

Ryan słuchał opowieści Floyda z rozdziawionymi ustami. Gdyby matka to widziała, załamałaby ręce nad jego brakiem kultury i ogłady. No ale co on mógł poradzić? Starał sobie to wszystko ułożyć w głowie. Jakoś będzie musiał przetrwać fakt, że jego wujek naprawdę był celem szefa gangu, a razem z nim cała jego rodzina. Floyd wytłumaczył, że wraz z Cherubinem i Carlem dostali zlecenie robienia tego napisu na murze. Początkowo nie stanowiło to zbyt wielkiego wyzwania. Wszystko szło gładko, oczywiście do czasu.

Do czasu, kiedy to Cherubin powodowany swoją sympatią do Johnny'ego postanowił się wycofać. Carl uznał, że to świetny moment, aby zapunktować u mafii i wykazać trochę inicjatywy. Skończyło się to zupełnie inaczej, niż mógł się tego spodziewać. Ahiga Ledger, bardzo zły pan, nie był zbyt zachwycony i tak oto z jego rozkazu Carl skończył w takim stanie, jak widać było na zdjęciu. Do tego dalej był w rękach mafii. Cała sytuacja dla Carla mogła skończyć się jeszcze gorzej. To właśnie miało przekonać Floyda do współpracy, czyli prawdopodobnie zrobienia brzydkich rzeczy Ryanowi.

– Oczywiście, skoro ci to mówię, to znaczy, że nie zamierzam grać, jak mi każą – wytłumaczył chłopak.

Wydawał się przy tym bardzo wyluzowany, jakby to, co stanie się z jego przyjacielem, w ogóle go nie obchodziło.

– To po co tu jesteś? – dziwił się Ryan. – I mam niby uwierzyć, że jest ci obojętne, co zrobią temu idiocie?

Floyd zaplótł ramiona na masywnej klatce piersiowej i wzruszył ramionami.

– Carl musi wypić to, co sam nawarzył. Trzymałem się z nim, bo tak było wygodnie. Cherubin miał doświadczenie do wielu rzeczy, które tygryski lubią najbardziej, ale to tyle. Co tu dużo mówić, Carl to idiota. Skoro Cherubin się wycofał z biznesu, to już nic mnie przy nich nie trzyma. No i co mogę więcej powiedzieć? Po prostu nie lubię problemów.

Ryanowi trudno było w to uwierzyć. Jak można było mieć do tej sytuacji tak lekkie podejście? On by tak nie umiał. Oczywiście nie miał też powodów, aby wierzyć

w słowa i zapewnienia Floyda o tym, że nie zamierzał współpracować z mafią. Jedna kwestia była tu szczególnie podejrzana.

– To co tu robisz? – spytał. – Na tym przydrożu czekałeś specjalnie na nas. Więc to się kupy nie trzyma.

– Punkt dla ciebie. – Zaśmiał się Floyd, nie wydawał się jednak w ogóle zrażony. – Ale wtedy facjata Carla była jeszcze w całości. To on mnie za tobą wysłał, tak przynajmniej pozwoliłem mu myśleć. Chciał zapunktować u Ledgera. Jak się to skończyło, już wiemy.

– Pozwoliłeś mu tak myśleć? – powtórzył Norton, marszcząc brwi. – Dalej nie uzyskałem odpowiedzi na pytanie. Czego chcesz?

– Zaprzyjaźnić się? – zaproponował Floyd, unosząc przy tym grupą brew i uśmiechając się luzacko. – Uznałem, że to świetna okazja, żeby się poznać. Pomyślałem, że wyglądacie na ciekawą ekipę. Ty i ci twoi strażnicy. Chciałem się dowiedzieć, co to za cennego skarbu tak skrzętnie bronią.

Ryan przewrócił oczami i wyrwał się z uścisku chłopaka. Następny sprytny, pomyślał, mierząc go wkurzonym spojrzeniem. Jeszcze nie wiedział, w co miał wierzyć, a w co nie, ale nie tylko to zaprzętało teraz jego głowę. Naburmuszony odwrócił się w stronę, gdzie powinien stać Indianin. Rzeczywiście tam był i ich obserwował. Co sobie przy tym myślał? Tego właśnie chciałby się dowiedzieć Ryan.

Już wiedział za to coś innego. Chciał go. Już nawet przestał się w tej kwestii ludzi. Cholera, zakochał się.

I jego pierwsza miłość skończyła się, nim się tak naprawdę zaczęła. Atsah był zagadką. Chyba sam do końca nie wiedział, czego chce. Wysyłał sprzeczne sygnały. Raz szukał okazji, aby go dotknąć, jak chociażby z tym przeklętym opatrunkiem, czy na tej imprezie w zajeździe. Kiedy indziej zaś specjalnie się od niego odsuwał.

Albo inaczej... Doskonale wiedział, czego chce i wmówił sobie, że najlepiej będzie, jeśli tego nie zdobędzie.

Zatopiony w myślach Ryan nawet nie zarejestrował momentu, gdy dłoń Floyda znów spoczęła na jego ramieniu. Chłopak przyglądał mu się uważnie swoimi bystrymi, zielonymi oczami. Był w tym bardzo dobry. W obserwowaniu ludzi. W końcu to jedno z najlepszych hobby dla kogoś tak leniwego jak on.

Nagle rozdzwoniła się komórka Ryana. Chłopak sięgnął do kieszeni i odetchnął z ulgą, gdy okazało się, że to Trish właśnie próbowała się z nim skomunikować.

– No i gdzie polazłaś? – fuknął do telefonu Ryan, nie bawiąc się w uprzejmości.

– Nie każ mi się nie pienić. Czy ty wiesz... Co?

Rozmowa trwała jeszcze chwilę. Ryan stracił rezon i dalej bardziej słuchał, niż mówił.

– No i co? – zapytał Floyd.

– Jak zwykle zrobiła, co chciała – prychnął z niedowierzaniem Ryan, kręcąc głową. – Odnalazła Santę i sobie pogadali. I teraz najlepsze. Wszyscy mamy zaproszenie do jego domu.

Czterdzieści minut później siedzieli już na skórzanej kanapie w salonie legendy ostrego grania, Santy Boy'a we własnej, niepowtarzalnej osobie. Podobno to magia ekranu sprawia, że gwiazdy wyglądają jak przedstawiciele innej, lepszej rasy z kosmosu. Na żywo ubywa im co najmniej kilka centymetrów, a przybywa parę kilogramów.

Zasada ta najwyraźniej tyczyła się wszelakiej maści celebrytów, czyli aktorów i wymuskanych piosenkarzy, ale nie Santy Boy'a. Boże, Ryan pod spojrzeniem jego czarnych, głęboko osadzonych oczu czuł się jak mała, wyleniła mysz. Facet naprawdę był wielki i wytatuowane miał nawet palce i szyję. Cóż, Justin Bieber też mógł pochwalić się niezłą kolekcją sztuki na swojej wymuskanej, kanadyjskiej skórze. Jednak Ryan miał dziwne przekonanie, że za każdym z tatuaży Santy kryła się jakaś historia z jego życia, a żadna z nich nie opływała różowym lukrem. Raczej krwistą purpurą.

Ryan przypomniał sobie o tym, jak czytał, że Santa opuścił rodzinny dom, gdy był jeszcze w liceum. Później jego życie nie należało do najłatwiejszych, w dużej części z winy samego muzyka. W każdym razie, w tym wieku doświadczył już znacznie więcej od Ryana.

To samo tyczyło się jego, pomyślał chłopak i popatrzył na Atsah, który siedział obok. Przez to, że zajmowali kanapę w trójkę, stykali się kolanami.

– No. – Zachrypnięty, niepowtarzalny głos Santy Boy’a skierował uwagę wszystkich na jego osobę. – To który z tych szczyli, to twój chłopak?

– Żaden – odparła Trish, która zajmowała drugi z foteli. – Dlatego tu – kontynuowała, wskazując na Ryana – byłam... Jak to się mówi? Próbną jazdą, przez którą dowiedział się, czego tak naprawdę pragnie.

Zażenowany, a przy tym czerwony aż po skraj czoła Ryan, najchętniej ukryłby twarz w dłoniach, jednak ze wstydem wygrał strach. Z obawą zerknął na Santę Boy’a, wyczekując jego reakcji.

Ten tylko zaśmiał się pod nosem. Na szczęście nie wszedł jeszcze w tryb „ojca”. I chyba za dużo w życiu widział, aby zrobiło to na nim jakiegokolwiek wrażenie. Sasza, który przysiadł na oparciu fotelu Santy, uniósł brew w wyrazie zaciekawienia, ale nic nie powiedział.

– Ja też mam kilka pytań – oznajmiła Trish poważnym tonem i nachyliła się nad stolikiem w stronę swojego świeżo odnalezionego ojca. – A w tym jedno bardzo poważne. Wręcz zasadnicze.

Sasza poczuł, jak mięśnie Santy, z którym stykali się bokami, się napinają. Sam też był zdenerwowany. Dziewczyna na pewno miała jeszcze bardzo wiele, bardzo niewygodnych pytań. Szczególnie tych dotyczących jej biologicznej matki.

– No? – ponaglił, gdy żadne słowa nie padły.

– Czemu trzecia płyta High Death to taki straszny kicz? – wypaliła całkiem poważnie Trish.

– No cóż... – zaczął Santa zasepionym głosem, podtrzymując grę. – To były ciężkie czasy. Recesja na rynku i tak dalej. Musieliśmy nagrać coś, co spodoba się większej masie ludzi. Żeby plebs kupił. Podstawowe dobra bardzo zdrożały.

– Niech zgadnę. Biały proszek i nie chodziło o mąkę? – parsknęła Trish.

– To był ciężkie czasy – potwierdził Santa podniosłym głosem, jakby przynajmniej wspominał drugą wojnę światową.

Zarówno Trish, jak i jej przyjaciel, Ryan, okazali się wielkimi fanami mocniejszego grania. Po południe spędzili więc na przeglądaniu wszystkiego, co Santa przez te lata zdążył zgromadzić, a miało związek z zespołem.

Z całym łupem oraz zamówioną na obiad pizzą rozłożyli się na podłodze w salonie. Sasza nie mógł się nie uśmiechnąć, obserwując swojego kochanka. Santa Boy w życiu by się do tego głośno nie przyznał, ale podobało mu się tak żywe zainteresowanie młodego pokolenia, w tym jego dziecka, dziełem jego życia.

Santa Boy jakiś czas temu przyznał, że zaczął mieć to samo przeczucie jak on niegdyś. Że wszystko się spieprzy. Póki co było jednak dobrze. Nie tak, jak to sobie wyobrażali. Życie zafundowało im niezłą niespodziankę. Jednak Sasza, patrząc na Santę, który siedział na ziemi i dyskutował ze swoją córką o przewadze gitar ESP nad Gibsonami, zaczynał wierzyć, że od tej pory wszystko będzie w porządku. Może dużo w życiu nagrzeszyli, ale zasługiwali chyba na *happy end*.

Nawet nie mógł podejrzewać, jak bardzo przyjdzie mu się rozczarować.

Ustalili, że na noc zostaną w domu Santy Boy'a i Saszy. Do dyspozycji mieli mały pokój z pojedynczym łóżkiem i salon z rozkładaną kanapą. Pomyśleli, że po prostu podzielą się na dwójki, ale spojrzenie Santy kazało im zweryfikować plany. Tak, Trish dostała do wyłącznej dyspozycji pokój. Oni zaś we trójkę będą musieli gnieździć się na kanapie.

Z tego faktu zadowolony był tylko chyba Floyd. On zresztą zwykle wyglądał na zadowolonego z życia. Po prostu był typem człowieka, który potrafił cieszyć się z codziennej prozy. Niewiele rzeczy wydawało się mu przeszkadzać. Pozazdrościć, mruknął w myślach Ryan, śledząc wzrokiem chłopaka, który korzystał z tego, że zostali sami, i ciekawsko rozglądał się po mieszkaniu.

Właściciele wybrali się na wieczorny spacer z ich psem, Szczęściarzem. Sasza z jakiegoś powodu zaznaczył, że nie będzie ich „raczej długo”. Cokolwiek miało to znaczyć.

Obiekt obserwacji Ryana zniknął w kuchni. Najwyraźniej czuł się już w mieszkaniu gwiazdora Rocka jak u siebie. Spojrzenie niebieskich oczu Nortona padło więc mimowolnie na Atsah, który siedział w fotelu. Mało się dzisiaj odzywał. Jak Ryan o tym pomyślał, to od rana nie z jego ust nie wyszło więcej niż parę zdawkowych zdań.

– Co robisz? – zdecydował się więc odezwać jako pierwszy. Atsah siedział z nosem zawieszonym nad ekranem telefonu. – Co cię tak pochłonęło?

Indianin bez słowa wyciągnął w jego stronę telefon. Gdy Ryan się nad nim nachylił, ujrzał zdjęcie przedstawiające kota, którego już raz widział, siedzącego w zbudowanej przez Atsah budzie.

– Ojciec mi przysłał – wytłumaczył zdawkowo chłopak, unikając patrzenia na Ryana.

Czuł się głupio przez to, co wydarzyło się w nocy. Odsłonił się przed tym chłopakiem. To raz.

Nie chciał mu swoją ułomną jednostką spieprzyć życia. To dwa.

Niekiedy czuł się taki słaby. Potrzebował ukojenia w czyichś ramionach, ale zrzucając z siebie ciężar, obdarzał nim kogoś innego.

– Jednak spodobał mu się nowy dom – zauważył z uśmiechem Ryan.

Popatrzył na twarz Atsah, który usilnie unikał kontaktu wzrokowego z nim. Tknięty jakąś nagłą potrzebą zbliżył się do niego i odchylił mu włosy spadające na czoło. Miał ochotę zrobić znacznie więcej. Objąć go ramionami, spoconymi teraz dłońmi oburącz chwycić jego twarz i nakierować ją tak, aby ich spojrzenia się spotkały. I wszystko, co czuł, przekazać mu tym spojrzeniem. A potem usiąść mu na kolanach, zapaść się w tych szerokich ramionach i tak już zostać. Wzajemnie dawać i brać od siebie siłę.

Czuł, że mogliby stać się dla siebie takimi osobami, gdyby tylko Atsah mu pozwolił.

Nic takiego jednak się nie stało. Ryan odsunął się parę kroków, nim zdążyły pojawić się jakiegokolwiek słowa lub gesty. Do salonu wrócił Trish, która jakiś czas temu zniknęła w łazience, oraz Floyd. Z myszkowania po kuchni wrócił zwycięsko z butelką whisky w jednej ręce i dwulitrowej Coca-Coli w drugiej.

– Podpieprzyłeś to? – nie mógł uwierzyć Ryan. – Oszalałeś? Sancie Boy’owi?

Floyd odłożył swoje fanty na stół. Posłał reszcie oślepiający, szeroki uśmiech.

– Och, ma tego od zajebania w kuchni – stwierdził. – Nawet nie zauważy. A jak nawet, to przecież wybaczy swojej córusi, nie?

– No chyba nie – parsknął Ryan.

– Och, Ryan, kochanie, coś strasznie dziś spinasz poślady – wtrąciła Trish, ostrożnie odkręcając butelkę z colą. – Przyda ci się coś na rozluźnienie. Zresztą, nie tylko tobie. Sztywno tu jak w trupiarni. Floyd, skocz no jeszcze po jakieś szklanki.

– Na rozkaz! – odparł chłopak, wyginając się przy tym w parodii salutu i wyszedł z salonu.

– A jak wrócą, to co wtedy? – spytał sceptycznie nastawiony do planów tej dwójki Ryan.

– To będą z powrotem – odparła dziewczyna zupełnie nieprzejęta. – Ulokujemy się z naszymi zdobyczami w małym pokoju, który ma być dzisiaj w nocy moją sypialnią. Po za tym oni raczej już nie wrócą dzisiejszej nocy.

– Skąd ta pewność?

– Przecież słyszałeś chudego, że prędko raczej nie wrócą. – Pocahontas nie mogła powstrzymać złośliwego uśmiechu, patrząc na wyraz twarzy Ryan. – Boże, jaki ty niedomyślny jesteś. Oni poszli się pieprzyć. Przecież widziałeś minę Saszy, jak to mówił.

– Boże, Trish, pomyśl niekiedy dłużej, zanim coś powiesz – sapnął Ryan. – I jak możesz tak po prostu o tym mówić? Przecież to twój ojciec.

– No i okazał się całkiem spoko, więc chcę, żeby pożył jeszcze długo. A podobno aktywność seksualna obniża ryzyko zachorowania na raka prostaty.

Pomimo starań Pocahontas nie udało się utrzymać poważnego tonu. Parsknęła śmiechem, podobnie jak Atsah. Ryan skapitulował i tylko uniósł oczy ku sufitowi, jakby szukając tam wsparcia. Do pokoju wrócił też Floyd z tacą pełną szklanek oraz lodu.

Zapowiadało się na ciekawą noc dla wszystkich.

Trish wycofała się jako pierwsza. Nie przepadała za stanem upojenia. Pomachała chłopakom na pożegnanie i udała się do swojej tymczasowej sypialni, czyli małego pokoju, który kiedyś należał do Saszy.

Santa Boy i Sasza nie wrócili prędko ze spaceru, tak jak zapowiadali. Atsah, Ryan i Floyd zostali więc sami w salonie z sukcesywnie opróżnianą butelką alkoholu.

Wyglądało na to, że Norton miał z nich najsłabszą głowę. W końcu zasnął, siedząc na krześle z odchyłoną na bok głową. Nawet ślina mu trochę ciekła z kącika ust.

Atsah asekuracyjnie wyciągnął mu szklanekę z dłoni, którą trzymał na stole, i odsunął dalej. Poklepał go lekko po policzku, aby go ocucić. Ryan ocknął się i posłał mu zaspiane spojrzenie.

– Chcesz już iść spać? – spytał Indianin, uznając, że najwyższy czas zakończyć zabawę.

– Tak, jestem padnięty przez tą całą podróż – odparł Ryan i oparł czoło o jego ramię, na powrót zamykając oczy.

– Rozłóżę kanapę – zaoferował się Floyd i wstał zza stołu.

Skoro Ryan oddał się w objęcia Morfeusza, nie było sensu tego ciągnąć. Z Atsah raczej się nie dogadają. I to nie przez brak wspólnych tematów, bo mieli taki jeden, który właśnie drzemał przyklejony do Indianina, i nie za bardzo chcieli się nim dzielić.

Rozłożył więc kanapę, a z szafy, która wcześniej wskazał im Sasza, wyciągnął pościel. Znalazł dwie poduszki i jeden koc. Jakoś będą musieli się podzielić. Mieli ze sobą swoje bagaże, więc w łazience umyli zęby i przebrali się do spania. Zaspany Ryan zaplamił sobie przy tym podkoszulek pastą, co skomentował niezadowolonym mruknięciem, jakby ganił za to niesforeną substancję. Floyd parsknął pod nosem, obserwując płonne starania chłopaka przy czyszczeniu plamy. Z każdą spędzoną minutą Ryan stawał się dla niego coraz bardziej absorbującym umysł celem obserwacji.

Sam zaś czuł wzrok Indianina na sobie. Aż miał od tego ciarki. Jak sarna czująca na sobie wzrok pumy kryjącej się w mroku. Jak pies ogrodnika, parsknął w myślach. Sam nie weźmie, a drugiemu nie da.

Obmycie twarzy chłodną wodą trochę rozbudziło Ryana. Nie upił się za bardzo, był po prostu zmęczony. Wrócili w trójkę do salonu i stanęli przed rozłożoną kanapą.

– To jak to rozwiążemy logistycznie? – spytał. – No i mamy tylko dwie poduszki.

Teraz ze zdwojoną siłą uderzyło w niego to, na co pozwolił Floydowi w nocy spędzonej w zajeździe. Strasznie żałował, że dał się wtedy ponieść. To, że był wtedy

roztrzęsiony po tym, co powiedział mu Atsah, wcale go nie usprawiedliwiało. To czyniło to nawet bardziej żalonym.

Atsah nic nie odpowiedział, tylko położył się na skraju rozłożonej wersalki, plecami w stronę środka. Poduszkę rzucił za siebie, a pod głowę podłożył sobie ramię.

– No jaki uczynny – skomentował to Floyd i sam położył się na drugim krańcu, podkładając sobie pod głowę jedną z poduszek. – Trochę się nie lubimy, więc lepiej, abyś nas rozdzielał.

Poklepał miejsce między nimi, patrząc na skonsternowanego Ryana. Norton nie chciał spędzić obok Floyda jeszcze jednej nocy. Pomyślał nawet o tym, aby przespać się na fotelu, ale nie chciał też przepuścić szansy, aby być blisko Indiania. Zajął więc swoje miejsce między tą dwójką, wcześniej poprawiając sobie poduszkę.

– Spróbuj mnie dotknąć, a cię zabiję – syknął do Floyda.

– Spoko, mam jeszcze trochę instynktu samozachowawczego – odparł z rozbawieniem chłopak.

Oczywiście, mówiąc to, nie miał na myśli ostrzeżenia Ryana, a chłopaka, który leżał odwrócony do nich plecami.

Ryan bardzo starał się zasnąć, ale nic mu z tego nie wychodziło, mimo że jeszcze niedawno oczy same mu się zamykały. Leżał na plecach z zaplecionymi na brzuchu dłońmi, chociaż nie była to jego ulubiona pozycja do spania. Nie chciał jednak odwracać się do Floyda ani tyłem, ani przodem.

Powinien się bardziej upić, wtedy wszystko pewnie byłoby łatwiejsze. Przez kotłujące się w głowie myśli, wbił paznokcie w skórę dłoni. Cholera, raz się żyło, uznał. Uniósł się na łokciu w stronę odwróconego do niego plecami Atsah, przedtem zerkając jeszcze na Floyda. Ten wydawał się naprawdę spać.

W ciemności Ryan ledwie rozpoznawał kontury tatuażu, który Indianin miał na karku. Częściowo przesłaniały go też długie włosy chłopaka. To był jakiś indiański ornament wpisany w koło. Obiecał sobie, że kiedyś zapyta o jego znaczenie. Dotknął tatuażu palcami. Skóra w tym miejscu miała trochę inną fakturę.

Przechylił się nad ramieniem Atsah i popatrzył na jego pogrążoną we śnie twarz. Teraz nareszcie zrelaksowaną. Zawahał się, ale w końcu dotknął palcami jego

policzka, obrysował ostry profil nosa i pełny warg. Zabrał rękę, gdy Atsah otworzył oczy i spojrzał wprost na niego.

– Jesteś pijany? – spytał Indianin.

– Nie.

– Tym gorzej – skwitował Atsah. – Idź spać, Ryan. Tak będzie lepiej.

Chciał wrócić do swojej poprzedniej pozycji i zasnąć, ale chłopak mu na to nie pozwolił. Chwycił go za nadgarstek i nakierował jego dłoń na swoją bliznę, którą miał na czole.

– Już nie jestem dla ciebie słodki? – spytał, wbijając w niego niemal proszące spojrzenie błękitnych oczu.

Atsah błędził chwilę wzrokiem po jego napiętej w oczekiwaniu twarzy. Jednym z palców zahaczył o rzęsy chłopaka. Walczył ze sobą, ale nie miał aż tyle samokontroli.

– Będiesz tego żałował – rzucił jedynie i uniósł się z kanapy, ciągnąc Ryana za sobą.

Udali się do jedynej wolnej sypialni, czyli tej, która należała do Santy Boy'a i Saszy. Nie zaświecili światła. Ryan od razu po tym, jak przekroczyli próg, objął Indianina ramiona i zaplótł dłonie na jego karku. Zupełnie, jakby za chwilę mieli tańczyć wolnego na szkolnej dyskotecie. Ta myśl rozbawiła go do tego stopnia, że aż zaśmiał się krótko. Postanowił też ją wykorzystać. Przytulił się bardziej do niego, opierając bok twarzy na jego klatce piersiowej. W ten sposób słyszał szybkie bicie jego serca.

Atsah mógł próbować z tym walczyć, ale też pragnął bliskości. Przestał się opierać, gdy Ryan przylgnął do jego ciała. Objął chłopaka w pasie i oparł podbródek o szczyt jego głowy. Przymknął oczy, wreszcie odprężony. Dawno już nie czuł takiego spokoju.

Nie mówili nic do siebie, ale w pewnym momencie zaczęli poruszać się we wspólnym rytmie. Powoli, wręcz ślamazarnie, obracali się wokół osi. Naprawdę jak na studniówce, przeszło Ryanowi przez myśl. Uczucie było wspaniałe, jakby wreszcie znalazł się we właściwym miejscu, we właściwych ramionach, ale chciał dzisiaj czegoś więcej.

Odchylił się i sięgnął do ust Indianina. Ten zdawał się wahać, więc Ryan chwycił go za włosy i pociągnął. Atsah zaśmiał się cicho i zastosował do polecenia. Nachylił się, by połączyć ich usta w pocałunku. Ryan nie chciał zaprzepaścić szansy, więc objął go jeszcze mocniej za szyję. Długie włosy chłopaka laskotały go w twarz. Atsah był dość zachowawczy w swoich działaniach, więc to Ryan przejął kontrolę nad pocałunkiem. Wsunął język między jego wargi.

Z Atsah wreszcie opadły wszelkie blokady, bo zaczął żarliwiej odpowiadać na pocałunek, w końcu przejmując inicjatywę. Dłonie, które miał dotąd zaplecione na pasie Ryana, wsunął mu po koszulkę, przez co Ryanowi wyrwało się ciche westchnięcie. Czuł jak duże, męskie dłonie o twardym naskórku przesuwają się w górę jego ciała. Badały fakturę jego brzucha, żeber. Jeden z placów odnalazł nawet drogę do jego pępka, co przyprawiło go o przyjemny dreszcz i skurcz mięśni w tamtym rejonie.

W końcu Atsah zdecydował się przeprowadzić obdukcję także za pomocą wzroku. Ryan wyczuwając jego intencje uniósł ręce w górę, by mógł przeciągnąć mu podkoszulek przez głowę. Gdy ten opadł już na podłogę, zrobił to samo z koszulką na ramiączkach, którą miał na sobie Indianin. Teraz Ryan pożałował, że nie zaświecili światła. Mało widział, a było wiele do oglądania. Od czego jednak miał dłonie?

Teraz trochę się zawstydził, gdy stali tak naprzeciwko siebie półnaczy. Atsah chyba wolał, żeby to Ryan był tym, który inicjował kolejny etap. Chłopak przygryzł wargę, czując rosnące zażenowanie tym, że tak po prostu stali bez słowa i się na siebie patrzyli. Już wolał, aby znów złączyli się w pocałunku. Wtedy umysł był tak przyjemnie obezwładniony mgłą, która wszystko inne czyniła błahym, nieistotnym w tym momencie.

Przysunął się do Indianina i położył obie dłoni na jego klatce piersiowej. Czuł, że były spocone. Więc i Atsah musiał to czuć. Dziwnie podniecała go myśl, że zostawi na jego ciemnej skórze swój ślad. Czuł pod palcami fakturę jego mięśni. Zjechał dłońmi w dół, umyślnie zahaczając o sutki, by zatrzymać się na brzuchu. Atsah miał naprawdę wyrobione ciało. Uczucie dobrze zarysowanych mięśni pod palcami było niesamowite. Mógł też poczuć, jak chłopak głęboko oddychał.

Ze zdenerwowania aż zaschło mu w gardle, bo to teraz musiał pokonać kolejną przeszkodę na drodze jego dłoni. Wciągnął drżąco powietrze do płuc i spojrzał w górę, na twarz Atsah, prosząc, aby ten mu pomógł.

Indianin uśmiechnął się i chwycił za dłoń. Pociągnął go do łóżka, na które upadli razem. Przekręcili się na bok tak, aby leżeć twarzami do siebie. Atsah sięgnął dłonią do twarzy Ryana, dotykając jego blizny. Później przysunął się, aby złączyć ich usta w kolejnym pocałunku. Teraz to prowadził w tańcu ich języków. Następnie zszedł pocałunkami niżej, na szyję i obojczyki Ryana. Chłopak westchnął i mimowolnie naprężył mięśnie, poddając się przyjemności. Zadrzał z ekscytacji, gdy poczuł dłonie Atsah zsuwające jego spodnie wraz z bielizną. Sam nie pozostał dłużny i zrobił to samo.

Był już sztywny. Sapał zadowolony, gdy pomimo panującej w pokoju ciemności, dojrzał, że nie jest w tym stanie osamotniony. Do ciemnego penisa Atsah prowadziła linia czarnych włosów. Przeczesał je palcami, co Atsah nagrodził cichym mruknięciem. Później przejechał nimi wzdłuż penisa, zatrzymując się dłużej na główce. Kciukiem podrażnił dziurkę na szczycie.

Atsah sapnął podniecony i chwycił Ryana za podbródek. Pocałował go, a potem nie przerywając kontaktu wzrokowego, polizał swoją dłoń. Sam był swoich działaniach znacznie mniej wstrzemięźliwy. Położył się na plecach, ciągnąc chłopaka na siebie. Ryan oblewając się rumieńcem usiadł na nim okrakiem. Nerwowo zachichotał, gdy penis Indianina zahaczył o jego jądra, a potem przejechał wzdłuż jego rowka. Tam też się zatrzymał, zakleszczony między pośladkami chłopaka.

Atsah posłał Ryanowi zadowolony, trochę wręcz rozbawiony uśmiech i objął palcami jego jądra. Badał chwilę ich kształt, ważył je w dłoni, a potem lekko docisnął do ciała chłopaka. Ryan na to uczucie aż stęknął. Posłał Indianinowi oburzone spojrzenie. Ten już dłużej się nie bawił. Tym razem, aby ponownie nawilżyć dłoń, podsunął ją pod usta chłopaka. Ryan najpierw wystawił język jemu w figlarnym geście, a potem dokładnie i powoli przejechał nim wzdłuż rozprostowanej dłoni Atsah. Podobało mu się, jak błyszczały przy tym oczy Indianina. Atsah zaczął go masturbować. Szybko i dosadnie.

Ryan ogarnięty przyjemnością poczuł, jakby tracił siłę w mięśniach. Dotąd siedział wyprostowany, prezentując się Indianinowi w całej okazałości. Teraz nachylił się ku niemu, podpierając się dłonią obok jego głowy. Atsah wykorzystał ten moment, aby chwycić jego dolną wargę w zaczepny pocałunku. Ryan odpowiedział na niego, ale jednak postanowił wrócić do swojej poprzedniej pozycji. Teraz penis Atsah uwolnił się spomiędzy jego pośladków, a przecież Ryan nie mógł być jedynym, który czerpał przyjemność.

Wyprostował się z powrotem, na ślepo sięgając uprzednio nawilżoną dłonią za siebie. Odszukał penisa chłopaka i przejechał wzdłuż niego palcami, co zostało nagrodzone głębokim westchnięciem. Chociaż wstydził się jak jeszcze nigdy w życiu, poprawił się lekko w swojej pozycji, pozwalając Atsah znowu wślizgnąć się pomiędzy jego pośladki. Teraz odwagi mu już nie starczyło, więc zacisnął oczy, aby nie widzieć spojrzenia chłopaka i zaczął wykonywać powolne, okrężne ruchy, chcąc dać mu przyjemność.

Przez to, że trzyma oczy zamknięte, odgłosy, które obaj wydawali stały się jeszcze bardziej dosadne. Pokój wypełnił się miarowymi stęknieniami i głębokimi oddechami. Doszedł pierwszy, brudząc przy tym dłoń Atsah. Gdy gwałtownie otworzył oczy porażony gwałtownością przyjemności, którą poczuł, napotkał intensywne, głębokie spojrzenie Indianina. Ten skurczybyk musiał patrzeć wprost na jego twarz przez cały ten czas. Nie miał pojęcia, co zrobić teraz. Na szczęście Atsah nie miał takich problemów.

Zmusił Ryana, aby teraz on położył się na plecach i zawisł nad nim. Ciemne włosy zasłaniały mu większość twarzy. Potężny, z naprężonymi mięśniami przypominał Ryanowi dzikiego kota pochylającego się nad zdobyczą. Atsah dopadł do jego ust, całując go mocno, dociskając wargi do warg, a potem zsunął się na szyję chłopaka, zasysając się na skórze. Lekko ją nawet podgryzał. Masturbował się przy tym szybkimi, pewnymi ruchami. Po niedługiej chwili doszedł z głuchym jęknięciem na ustach. Złapał gwałtownie powietrze i ucałował Ryana w czoło, w miejsce, gdzie miał bliznę po wypadku.

Oporządzili się i poszli spać, tym razem zwrócenii do siebie twarzami. Ryan miał nadzieję, że Trish uratuje ich rano przed gniewem Santy Boy'a. O tym co to,

co między nimi zaszło, znaczyło dla Atsah, nie miał już siły dzisiaj myśleć. Zasnął trzymając go za rękę pewny tylko tego, że już jej nie wypuści. Nie pozwoli mu uciec.

Rozdział 17

Młodej dziewczynie, która siedziała w rejestracji hotelu, dali pięćdziesiąt baksów pod ladą, aby zajęła się Szczęściarzem i ukryła go przed obsługą tej wątpliwej klasy przybytku. To był tani motel, nie szczycący się gwiazdkami, ale przynajmniej mieli do niego blisko. W Austin na pewno znajdował się jakiś ośrodek pozwalający na trzymanie zwierząt, ale żaden z nich nie miał ochoty go teraz szukać, a tym bardziej jechać gdzieś na drugi koniec miasta.

Sasza rzucił kluczyki na mały, okrągły stolik, a cienką, skórzaną ramoneskę na fotel i uwalnił się na łóżku. Nawet nie ściągnął butów, ale na tyle lubił porządek i szanował czyjąś pracę, że jego stopy swobodnie zwisały poza drewnianą ramę. Założył ręce pod głowę i popatrzył swoimi wyłupiastymi, szarymi oczami na Santa Boy'a, który nadal stał na środku małego pokoju, zaczesując właśnie do tyłu swoje farbowane na czarno włosy.

– No i czego się tak szczerzysz? – spytał muzyk, patrząc na twarz chłopaka, którą przyozdabiał szeroki uśmiech.

– No bo zostałeś tatuśkiem – parsknął Sasza. – Doradziłbym ci testy genetyczne, ale ta mała wiedźma, nie dość, że wygląda jak ty po wypompowaniu testosteronu, to nawet gada jak ty. Zawsze sądziłem, że człowieka kształtuje głównie środowisko, w którym się wychował, ale dziś przekonałem się, że geny to jednak niesamowita siła.

– No nie? – zgodził się Santa Boy z rozbawionym uśmiechem.

Podchodził do tego na spokojnie, bo w zasadzie nie zmieniało to jego życia w znaczący sposób. Nawet czyniło je w jakiś sposób pełniejszym. Nigdy wcześniej nie posadzałyby się o coś takiego, ale teraz tak po prostu czuł.

– Jak łóżko? Wygodne? – dopytał, unosząc jedną z ostro zarysowanych brwi do góry.

– Hm? No nawet – przyznał Sasza, aż trochę wiercąc się na materacu. Rano był wykończony i zaspany po dłużej się w nieskończoność drodze powrotnej ze ślubu jego matki, ale teraz, po niespodziewanych atrakcjach czuł się w pełni rozbudzony.

I chciał Santy Boy'a. Może nawet był trochę zazdrosny. Potrzebował potwierdzenia, że nadal jest dla niego najważniejszy. – Chociaż nie tak jak nasze.

– Ach, tak? – podchwycił muzyk. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, którą wciąż miał na sobie i wyciągnął z portfela banknot dwudziestodolarowy. Rzucił go na łóżko. – Ja stawiam na Indiańca, a ty?

– Co? – Sasza zdziwionym wzrokiem powędrował od banknotu do twarzy Santy. – Chyba się nie odważą?

Santa Boy zbliżył się do łóżka i objął swoją dużą, spracowaną od szarpania strun dłonią drewnianą gałkę, która wieńczyła rzeźbiony słupek przy łóżku.

– Wyobraź sobie, że jesteś młodym, wiecznie napalonym nastolatkiem, który właśnie został sam w mieszkaniu swojego największego idola, którego plakat ma nad łóżkiem – zaczął rozbawiony. Jego czarne, teraz błyszczące oczy jednak skupione były całkowicie na twarzy Saszy. – Domyślam się, że moje pikselowe ślepiec nie raz i nie dwa obserwowały, jak dzieciak poleruje swoją własną gałkę. No i teraz został sam w domu swojego bożyszczka z gorącym, napakowanym i równie napalonym potomkiem Winnetou*. Co prawda, będziemy musieli wyprać pościel, ale sam byłbym zły, gdyby nie skorzystali z takiej okazji. To byłby grzech po prostu.

Sasza pokręcił z niedowierzaniem głową, parszkając śmiechem. To co Santa Boy miał w głowie nadal trudno było mu ogarnąć, nawet po tym całym spędzonym czasie razem. I tym wszystkim, co udało mu się zobaczyć i usłyszeć. Podczas tej durnej przemowy nie spuszczał jednak wzroku z dłoni muzyka obdarzonego przez naturę został obdarzony długimi, szczupłymi palcami, które z gałki ześlizgnęły się na wyprofilowany, drewniany słupek i objęły go mocno, przesuając się miarowo w górę i w dół.

– Może i grzech – zgodził się, dając się teraz złapać w pułapkę czarnemu spojrzeniu Santy Boy'a – ale ja stawiam na tego w dredach. Cały czas kleił się do dzieciaka.

Wyciągnął z kieszeni zmięty banknot i położył go na tym rzuconym przez muzyka.

– Nie znasz się na ludziach. Dzieciak był wpatrzony w Winnetou jak w obrazek. Słabo mu wychodziło ukrywanie tego. Im obu, z resztą.

– To może zabawią się we trzech? – zaproponował rozbawiony idiotyzmem tej rozmowy Sasza, wpadając na pewien pomysł. Chciał się trochę podroczyć z Santą. Posłał muzykowi figlarny uśmiech. – Obaj tacy młodzi i umięśnieni. Pełni werwy. Ach, ta młodość.

Teatralnie westchnął z utęsknieniem.

– Aż się rozmarzyłeś – parsknął Santa, widząc jego „natchnioną minę”.

– No wiesz, jak to sobie przeliczę, to gdy ty, już znany muzyk, tworzyłeś nowe życie na jakiejś libacji, ja miałem dwanaście, trzynaście lat i nigdy nawet nie trzymałem dziewczyny za rękę. Teraz dopiero dotarło do mnie z pełną mocą, jaki jesteś... stary.

– I co? Zamarzyło ci się takie młode, świeże mięso?

Sasza wciągnął głębiej powietrze do płuc, aż jego klatka piersiowa widocznie się uniosła, a potem wypuścił je z głośnym sykiem. Rozmarzonym wzrokiem zawędrował na sufit.

– Na pewno mają sporo werwy – stwierdził.

– I ta młodzieńcza werwa sprawia, że kończą, zanim zaczną. Nie sądzę, żeby jakieś szczeniaki mogłyby cię zadowolić.

– Niby dlaczego? – spytał Sasza, śledząc coraz bardziej rozpalonym wzrokiem każdy ruch Santy Boy’a.

To, jak oddycha, opuszkami palców bada fakturę drewna, jak pasma jego włosów spływają na jego szyję i ramiona. Wszystko to doprowadzało go do pasji. Po całym tym czasie razem czasami nadal wystarczyło mu to, że na siebie patrzyli. Albo pieprzyli jakieś pierdoły tak jak teraz. A on czuł kumulujące się w podbrzuszu gorąco. Teraz też. Jeśli to była jakaś choroba, to nie chciał się leczyć.

– Bo straszna z ciebie suka – parsknął Santa, uśmiechając się wrednie.

Sasza nie zamierzał nawet zaprzeczać. Lubił seks. Szczególnie ten dziki w wykonaniu Santy Boy’a. Już się z tym pogodził. Lubił też te ich idiotyczne przepychanki słowne.

– No taki jeden nieopierzony szczył to rzeczywiście może nie podołać moim wygórowanym wymaganiom – stwierdził. – No ale ich tam jest dwóch, chętnych i gotowych.

– Gangbang? – parsknął muzyk. – To by cię zadowoliło? Gdyby obie twoje dziury były wypełnione w tym samym momencie? Nawet jeśli skończyliby, jak tylko by ci wsadzili? Myślałem, że trochę wyżej się cenisz.

Sasza wyduł usta, udając, że to rozważa. Napiął mięśnie pleców, przez co skrzyknęły sprężyny w wysłużonym łóżku. Santa Boy patrzył się na niego roześmianymi oczami, uśmiechając się szeroko. Sasza widział dokładnie jego odsłonięte kły. Jakoś tak strasznie go to kręciło. Chciał poczuć je na swojej skórze. I jego paznokcie. A rano w łazience, przed lustrem obejrzeć dokładnie ślady, które pozostaną mu po tej nocy.

– Ale zaraz mogliby drugi raz, w końcu to młoda, jurna krew – stwierdził, patrząc muzykowi w oczy. Miał ochotę go wkurwić, tak naprawdę. – Może lepiej tak niż długo, ale z kimś, kto w połowie dostaje zadyszki? Ostatnio policzyłem wszystkie pęknięcia na suficie. Dokładnie piętnaście. Przydałoby się malowanie.

Santa Boy parsknął. Rzucił chłopakowi pokpiwające spojrzenie. Ciśnienie jednak trochę mu skoczyło. Jeśli miał na jakimś punkcie kompleksy, to był to właśnie wiek. Czterdziestka stuknęła mu już jakiś czas temu. Wiedział, że Sasza chciał go tylko podjudzić, ale trochę naprawdę go to dotknęło. Fakt, że się tym przejmował, wkurwiał go jeszcze bardziej.

Zmarszczył brwi i popatrzył na Saszę. Chłopak oddał tak samo twarde spojrzenie. Mierzyli się chwilę wzrokiem bez słowa. Gdy usta Saszy drgnęły w wyrazie rozbawienia, Santa poczuł, jak by coś go strzeliło. Aż mu żyła zapulsowała na czole.

– Pożałujesz – syknął swoim niskim, chropowatym głosem.

Sasza zdążył unieść jedynie brew w pytającym geście. Później wszystko potoczyło się błyskawicznie. Santa Boy puścił tę głupią gałkę od łóżka, której robił od jakiegoś czasu dobrze i zacisnął dłoń na kostce chłopaka. Docisnął ją w dół, wbijając łydkę w krawędź ramy łóżka. Sasza zasyczał z bólu i posłał Sancie wściekłe spojrzenie. Wyrwał gwałtownie nogę z uścisku, próbując przy tym kopnąć muzyka, co mu się jednak nie udało. Zsunął się w głąb łóżka i przekręcił na brzuch, aby się unieść, ale mu się to nie udało.

Santa Boy wspiął się na drewnianą ramę i zeskoczył na materac, zupełnie jakby miał o dwadzieścia lat mniej. W końcu Sasza zabronił mu palić, sam pilnował się, żeby nie pić za dużo, no i regularnie wykorzystywał karnet na siłownię, więc ostatnio czuł się jak nowonarodzony. I na pewno nie miewał zadyszek. Teraz zamierzał to uwodnić chłopakowi, którego właśnie docisnął swoim ciężarem do materaca, bezczelnie siadając na nim okrakiem. Sprężyny zaskrzypiały wręcz upiornie.

– Zobaczmy, kto zaraz będzie dyszał – wysyczał Saszy do ucha, pokładając się bardziej na nim.

Przedramieniem docisnął go mocniej do łóżka. Z premedytacją wbił mu łokieć na wysokości łopatki. Sasza stęknął i zezował na niego z ogniem w oczach.

– I co żeś wlaź w buciorach na łóżko?

Santa Boy parsknął śmiechem.

– Nigdy nie przestaniesz być dobrym chłopcem, co nie? – Zaśmiał się. – I jak cię tu nie uwielbiać?

– Kręci cię to, co nie? – podłapał Sasza z głupim uśmiechem.

Aż przeszedł go dreszcz, gdy poczuł gorący język w uchu. Pasma włosów Santy Boy'a drażniły go w policzek. Nie za bardzo mógł się teraz ruszyć i trochę ciężko mu się oddychało.

– Bardzo – przyznał muzyk.

Przytknął na moment czoło do rozgrzanego, spoconego karku chłopaka, przymykając przy tym oczy. Później zaczął go po nim obcałowywać. Dłońmi przejechał wzdłuż przedramion Saszy, aby zapleść ich palce razem. Przywarł bardziej do niego swoim ciałem, aby chłopak poczuł jego podniecenie.

Było fajnie, bardzo fajnie, ale nie mogło być za łatwo. Sasza naprężył wszystkie mięśnie, próbując unieść się na klęczki i zepchnąć Santę z siebie. Jedyne, co mu z tego przyszło, to pełny politowania rechot muzyka i ponowne, gwałtowne spotkanie z materacem hotelowego łóżka, które na to traktowanie odpowiedział kolejnym, głośnym skrzypnięciem. Santa Boy uniósł się, mocniej zaciskając uda wokół jego ud. Trzymał jego ręce, więc podkoszulek podciągnął mu zębami. Nie był w tym zbyt zachowawczy, więc poszło parę szwów.

Polizał dzieciaka wzdłuż kręgosłupa, od dołu do góry, a potem przejechał po jego bokach paznokciami, delektując się ukochanym ciałem. Jego zapachem, smakiem, ciepłem i tym, że pragnęło tylko jego. To ostatnie było w tym wszystkim najlepsze. Jeszcze kilka lat temu wyśmiałyby idiotę, który powiedziałby mu coś takiego, ale... Miłość miała niesamowitą moc, większą niż jakikolwiek narkotyk. Boże, czy inna wyższa mocy, rzeczywiście się zestarzałem, parsknął w myślach.

No ale nadszedł najwyższy czas, aby przejść do meritum.

Wsadził jedną rękę pod brzuch Saszy i zaczął mocować się z guzikiem oraz zamkiem jego spodni. Trochę mu nie szło tak na ślepo, więc Sasza w końcu sapnął sfrustrowany i mu pomógł. Posłał mu przy tym pełne politowania spojrzenie.

– Nie miałeś się opierać? – przypomniał Santa Boy, uśmiechając się wrednie. – Swędzi cię dziura?

– Po prostu musiałbym czekać wieczność przez te twoje stetryczale ruchy.

– Och, tak?

– Właśnie tak.

– Zobaczymy, kto się będzie krzywił, gdy będziemy wracać do domu.

Santa Boy zamruczał coś niewyraźnie i stargał gwałtownie rozpięte już spodnie pod linię jego tyłka razem z bielizną. Z tylnej kieszeni dżinsów Saszy wyciągnął saszetkę i pomachał nią ostentacyjnie jak wódz zwycięskiej armii flagą wroga.

– Ktoś tu jednak chyba czekał na te „stetryczale ruchy”. – Uśmiechnął się.

– Och, skończ już pieprzyć i rób, co masz robić – zbył go Sasza, czerwieniejąc jeszcze bardziej na twarzy i szyi. – Szczęściarz za chwilę się tam zaskuczy na śmierć z tej samotności.

– Zaraz ty będziesz skuczał ze szczęścia – oznajmił mu Santa, sięgając do własnych spodni. Sam był nadal całkowicie ubrany. Miał na sobie nawet kurtkę. – I dyszał.

Z sapnięciem ulgi wyswobodził ze spodni swojego penisa. Przejechał wzdłuż niego kilka razy dłonią. Sasza miał teraz więcej możliwości ruchu, więc uniósł się na czworaka i spojrzał za siebie, między swoimi nogami. Przez opuszczone spodnie mało co widział, ale przez moment dojrzał czubek ciemnego penisa Santy Boy'a. Obliznął się na ten widok. Sam też był już sztywny.

Uśmiechnął się do siebie słysząc szelest rozrywanej saszetki z lubrykantem. Gdy poczuł nawilżone palce na swoim rowku, posłał Sancio szybkie zaczepne spojrzenie i rzucił się do przodu. Teraz wszystko rozegrało się już błyskawicznie. Nie zdążył zjeść z łóżka, bo znów został przyciśnięty do niego masywniejszym ciałem. Sapnął wypompowany z powietrza, gdy Santa znów znalazł się na nim. Metalowe zamki i sprzączki jego kurtki drażniły i rysowały Saszy skórę. Muzyk chwycił go za sztywne włosy irokeza i wcisnął jego twarz w pościel. Omiótł jego kark gorącym powietrzem, a potem się w niego gryzł, jednocześnie wciskając w niego dwa palce.

Sasza jęknął w odpowiedzi na te dwa, bardzo dosadne doznania wyprane z delikatności. Aż łzy napłynęły mu do oczu. Na ile mógł w tej pozycji, wypiął się bardziej, aby być luźniejszym. Dziwne, ale czuł, jakby metalowe, zimne sprzączki i zamki kurtki Sancio parzyły jego skórę.

– O, kurwa! – sapnął, gdy po niedługim czasie wypełnionym gwałtowną, oszczędną palcówką, poczuł wbijającego się w niego penisa muzyka. Na szczęście, że też nawilżonego.

Zacisnął się na nim desperacko i przejechał dłonią po pościeli, zaciskając palce na materiale. Santa Boy stęknął zadowolony czując wytęsknioną ciasnotę. Wolną dłonią objął nadgarstek Saszy, drugą wciąż trzymał go za włosy. Ukontentowany, niczym wielki kocur otarł się policzkiem o jego kark i wygoloną głowę. Zamruczał przy tym swoim zachrypniętym głosem. Zaczepnie zacisnął jeszcze zęby na płatku ucha Saszy.

Jednak skończyło się na tym, że dyszeli obaj. Każde pchnięcie wyciskało z płuc Saszy jęknięcie, a z szarych, wylupiasty oczu łzy. Z przyjemną pustką w głowie poddawał się torturze, nic teraz do niego nie docierało. Czuł tylko mocne, głębokie pchnięcia i te pieprzone sprzączki drażniące skórę jego pleców.

Doszedł pierwszy z błogim jęknięciem na ustach, towarzyszył mu przy tym nagły rozbłysk światła pod kurczowo zaciśniętymi powiekami. No cóż, zarzucał Sancio, że pobrudził pościel swoimi butami, a przez niego motelowa pralnia będzie musiała poradzić sobie z plamami zupełnie innej natury. Teraz jednak nie miał głowy do takich rzeczy. Wciągając wreszcie głęboko powietrze do płuc, starał się jeszcze wchłonąć jak najwięcej z przyjemności i cierpienia, które dawał mu sztywny,

bezlitosny penis Santy Boy'a. Ukontentowany wsłuchiwał się w jego gwałtowne, co raz bardziej nierówne dyszenie, by w końcu poczuć gorąco jego spermy w swoim wnętrzu i ciężar jego ciała na sobie. Uśmiechnął się, gdy poczuł pocałunek na karku.

Muzyk wysunął się z niego i przewalił ciężko na plecy. Sasza przekręcił się na bok, twarzą do niego. Ha, nawet się dzisiaj nie pocałowali. Dłonią sięgnął do jego rozgrzanego policzka. Santa przymknął oczy, czując pieszczotę. Na ślepo wyszukał drugiej dłoni chłopaka i zaplótł z nim palce. To był męczący dzień, ale z dobrym zakończeniem.

Sasza spojrzął roześmiany na hotelowe łóżko. On już zdążył wyprowadzić Szczęściarza i pójść do sklepu po śniadanie, a Santa Boy nadal spał w tym samym stanie, w jakim oddał się w objęcia Morfeusza. Sasza miał więc teraz przed oczami widok leżącego na plecach, z rozrzuconymi ramionami mężczyznę w pełnym ubraniu, z jedynie penisem ostentacyjnie wystającym ze spodni. Ale była wczoraj dzicz, uśmiechnął się do siebie. Przez te cholerne sprzączki do kurtki Santy miał różowe zaciągnięcia na całych plecach.

Rzucił muzykowi na brzuch zapakowaną w folię kanapkę na brzuch, aby go obudzić. Kupił im też po kawie, która teraz czekała na stoliku.

– No budź się – rzucił. – Trzeba sprawdzić, czy nie splądrowali nam jeszcze chałupy. No i kto wygrał zakład.

* * *

Telefon w nocy odebrała Trish. Gdy wyszła z pokoju w celu udania się do toalety, zauważyła, że pozostawiony na stole w salonie smartphone wibruje. Na kanapie nie zauważyła ani jego właściciela, czyli Ryana, ani Atsah. Uśmiechnęła się pod nosem na ten widok. Dzwonił Johnny. I była to któraś z kolei próba. Informacja o kilkunastu nieodebranych połączeniach rzuciła się Trish w oczy, zanim odebrała.

Aż zmarszczyła brwi, słysząc jego głos. Ten wieczny luzak, który dotąd bronił się przed wzięciem odpowiedzialności za swoje czyny, prawie krzyczał do słuchawki,

wyraźnie podenerwowany. Jego głos załamywał się co jakiś czas. Johnny był wyraźnie przerażony. Zaczął mówić nawet nie czekając na odezwę z drugiej strony.

– Gdzie teraz jesteście?!

– W Austin, przecież ci mówiłam – odparła Pocahontas znacznie spokojniejszym głosem.

– Co, Trish?! Dlaczego ty... – zdziwił się Johnny. W jego głosie czuć było strach. – Czy z Ryanem wszystko w porządku?

– Tak, śpi. Jest w końcu środek nocy. Nie możesz jutro...

– Nie, to ważne! Oni wysłali kogoś za wami! Musisz mi powiedzieć, gdzie dokładnie jesteście! Ja już jadę. Do tego czasu musicie trzymać się miejsc publicznych, gdzie jest dużo ludzi...

Trish słuchając Johnny'ego, spojrzała na śpiącego na rozłożonej kanapie Floyda. To był tylko głupi dzieciak. Właściwie niegroźny. Więc albo to, co właśnie usłyszała, było podpuchą albo mafia wysłała kogoś znacznie groźniejszego. W obu przypadkach Johnny nie był tu do niczego potrzebny.

– I po co chcesz tu przyjechać? – spytała. – Oni chcą ciebie, więc trzymaj się od nas z daleka. Po to w końcu zabrałam tu Ryana, aby był jak najdalej od ciebie. Miałam nadzieję, że wykorzystasz ten czas na załatwienie swoich spraw. Chyba się jednak przeliczyłam.

– Nie rozumiesz...

– Rozumiem – przerwała mu chłodno Trish. – Do niczego się tutaj nie przydasz. Jesteś tchórzem, Johnny. Spierdoliłeś na lata, zostawiając swoją rodzinę na pastwę losu. Wróciłeś i co? Zamiast wreszcie załatwić swoje sprawy, kręciłeś się w kółko. Robiłeś wszystko, tylko nie to, co naprawdę trzeba było. I co? Powiedzmy, że rzeczywiście nasłali kogoś na Ryana. Do czego się tutaj przydasz? Popytałam trochę, Johnny. Nie potrafiłeś powiedzieć Ahidze w twarz, że chcesz się od niego uwolnić. Nie potrafiłeś spojrzeć mu w oczy. Przynajmniej tyle należy się osobie, którą chce się pozbawić życia. Tego zresztą też nie potrafiłeś zrobić. A później po prostu spieprzyłeś. Więc pytam się... Do czego się tutaj przydasz? Jesteś tchórzem, Johnny. Jesteś żaloszny.

Rozmowa się skończyła. Trish odłożyła telefon i poszła do głównej sypialni w mieszkaniu. Na łóżku ujrzała zwróconych w swoją stronę, pogrążonych we śnie, Ryana i Atsah.

Tak, jeśli ktoś mógł obronić jej najlepszego przyjaciela, to właśnie ten Idnianin. Obecność Santy Boy'a w ich życiu też działa uspokajająco. Zarówno on jak i Atsah wydali się Trish ludźmi zdolnymi do wszystkiego, każdej skrajności, gdy zmuszała ich do tego sytuacja.

* * *

Gdy Raphael po raz kolejny pokonywał skąpany w mroku korytarz, czując jeszcze większy niż zwykle, wręcz obezwładniający strach, Johnny właśnie zawracał samochód na drodze.

Nie jechał już do Austin, nie wracał też do ich miasta, aby wreszcie podjąć się tego, co powinien zrobić już dawno. Przynajmniej spróbować, nawet jeśli szanse na to, że nie zakończyłoby się to jego śmiercią, były minimalne. Nie, Johnny jechał na lotnisko. Znow uciekał.

Cherubin przełknął z trudem ślinę, gdy drzwi zostały przed nim otworzone. Kurczowo zaciskał pięści schowane w kieszeniach spodni. Tym razem to on nalegał na spotkanie z szefem Banitów, Ahigą.

Johnny miał rację, tylko on mógł się do niego zbliżyć. Stanać z jego koszmarem twarzą w twarz. I tylko on mógł go rozgonić. Postanowił to dla niego zrobić. Koszmar się skończy, a Johnny będzie mógł wreszcie spokojnie zasnąć w jego ramionach.

Zadrzał, gdy ich oczy się spotkały. Za pierwszym razem w spojrzeniu Ahigi czuł tylko chłód. Teraz dostrzegał w nim też głęboko skrywany smutek. Przez to wszystko stawało się jeszcze trudniejsze. Dlaczego ludzie musieli być tacy skomplikowani? Nie, skarcił się w myślach, nie mógł się teraz wycofać. Musiał być twardy. Robił to przecież dla Johnny'ego. Dla wujaszka.

Zacisnął mocniej jedną ze spoconych dłoni na strzykawce. Ludzie z gangu nie przeszukali go zbyt dokładnie, bo mieli go za nikogo. Nie długo przyjdzie im się przekonać, jak bardzo się mylili.

*Winnetou – fikcyjny bohater powieści Karola Maya, wódz plemienia Apaczów.

Rozdział 18

– I cóż cię tu sprowadza? Nie wzywałem cię, ale za to ty byłeś podobno zdolny zrobić wszystko, aby moi ludzie cię wpuścili. Groziłeś, prosiłeś... No ale powiedzmy sobie szczerze, jedyne co mógłbyś zrobić, to paść przed nimi i im obciągnąć. Chce mi się śmiać, jak na ciebie patrzę. Mały chłopiec z dobrego domu, któremu zachciało się pokozaczyć, ale zabawa przestała się podobać – parsknął Ahiga.

Jak zwykle siedział za swoim masywnym biurkiem. Jeszcze przed chwilą opierał się o nie łokciem i patrzył przez okno. Teraz odchylił się na krześle i zimne spojrzenie ciemnych oczu wbijał w zgarbionego chłopaka przed sobą. Spodziewał się jakiejś dziecinnej riposty. Dzieciak przypominał mu małego pieska, dożartego yorka albo jamnika, który chwyta cię za nogawkę, mimo że w środku aż cały trzęsie się ze strachu. I człowiek nie wie, czy dać mu kopa, czy się zacząć śmiać. Taki pocieszny szczeniak.

Teraz jednak nie uzyskał żadnej riposty.

– No to co? – spytał więc sam, unosząc przy tym brew i uśmiechając się pobłażająco. – Przyszedłeś tu błagać o litość dla swojego żigola? Chyba nie jesteś taki głupi?

Cherubin przestąpił z nogi na nogę. Trochę kręciło mu się w głowie. Nie do końca docierało do niego znaczenie słów tego straszego mężczyzny. Głupi? To akurat usłyszał wyraźnie. Tak, był głupi. Bardzo głupi. Jak te wszystkie rozchichotane idiotki z brazylijskich telenowel, zakochane w wypacykowanych lowelasach z wygolonymi klatami.

– Hej, obudź się! – Ahiga pstryknął palcami, poirytowany brakiem odpowiedzi. – Jak nie masz mi nic do powiedzenia, to po co tu przylazłeś? Czy ty... Jesteś naćpany? – spytał domyślnie.

Nachylił się nad biurkiem, aby spojrzeć dzieciakowi w oczy. Nie ujrzał w nich tego charakterystycznego błysku, który zawsze wzbudzał w nim trudne do zdefiniowania uczucie. Ni to irytacji, ni...

– Po prostu spieprzaj – powiedział, nie pozwalając sobie na dokończenie myśli i na powrót zapadając się w fotel. – Nie nadwyrężaj mojej cierpliwości. Bo i tak już jest napięta do granic możliwości.

– Cierpliwości? – podłapał Raphael, odważając się spojrzeć gangsterowi prosto w oczy. – Był pan dotąd bardzo cierpliwy. Nadal pan jest. Tak cierpliwie pan czeka. I czeka.

– Co tam bredzisz? – parsknął gangster, jeszcze się nie złościąc.

– Czekaj pan, a on nie przychodzi – kontynuował chłopak. – Mógłby pan go zabić gdziekolwiek był. Zabić jego rodzinę. Zemścić się. Ale pan tego nie zrobił. – Raphael, wciąż trzymając ręce w kieszeniach spodni zbliżył się do łóżka. – Cierpliwie pan czekał. Dalej pan czeka i się z nim bawi w „kotka i myszkę”. Podjudza, ale właściwie nic nie robi. Chce pan go zmusić do działania. Chce pan, żeby znów stanął przed panem. Z jakiegoś powodu sam pan do niego nie wyjdzie, więc siedzi pan tu i czeka, aż on tu przyjdzie. Prawda?

Zaparł się dłońmi o brzeg biurka i nachylił do przodu, pierwszy raz patrząc z takiego bliska na twarz Ahigi. Przeciętną i znacznie bardziej dotkniętą piętnem życia niż ta należąca do Johnny’ego.

– Chce pan zobaczyć go jeszcze raz – stwierdził Rapahel. – Jeszcze raz na własne oczy. A potem może i zabić, a może mu wybaczyć i zamknąć tutaj. W każdym razie, on i tak nie opuści tego miejsca. Nie wypuści go pan. Nie pozwoli odejść drugi raz. Nawet jeśli oznaczałoby to jego śmierć. Czy nie tak?

Ahiga otworzył usta, ale nie wyszło z nich żadne słowo. Poprawił się na fotelu. Jego i tak surowa twarz nagle stała się jeszcze bardziej napięta. Nie podobały mu się słowa, które usłyszał. To, jak bardzo były celne.

– I co? Postanowiłeś go ode mnie wybawić? – spytał po chwili z pogardliwym uśmiechem.

– Tak.

Ahiga zaczął się śmiać. Odchylił się na oparciu fotela i po prostu śmiał się donośnie. Dzieciak, pocieszny pekińczyk z nastroszonym futerkiem, był taki pewny siebie, gdy to mówił. Dawno nic go tak nie rozbawiło. Aż się zdziwił, gdy poczuł łzy

w kącikach zaciśniętych ze śmiechu oczu. Dotknął dłonią swojej twarzy. Dziwne, od dawna obce mu doznanie.

Zaraz jednak przestało mu być do śmiechu, gdy poczuł na szyi ukłucie. Zadziałał instynktownie, nim jeszcze w pełni otworzył oczy. Chwycił w stalowym uścisku nadgarstek chłopaka i odciągnął jego rękę od siebie, czując przy tym, jak coś małego zostaje wyszarpnięte z jego szyi. Wszystko to trwało może sekundę.

Dopiero teraz ujrzał w dłoni dzieciaka strzykawkę. Nadal była prawie pełna, więc niewiele substancji zostało mu wstrzyknięte. Na razie nic nie czuł. Całe jego rozbawienie sprzed chwili rozplynęło się w ułamku sekundy, jak dym z papierosa w rześkim, porannym powietrzu. Zastąpił je gniew. Ogromny gniew.

– Co to było?! – warknął. – Co to, kurwa, było?!

Nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Dzieciak nadal stał w miejscu jak wryty. Chyba nie przemyślał tego zbyt dobrze. Nie miał zapasowego planu. Był tylko głupim, rozpuszczonym dzieciakiem, który dał się zmanipulować. Trybiki w jego mózgu działały na zwolnionych obrotach, bo aby w ogóle odważyć się tutaj przyjść, musiał nafaszerować się jakimś gównem.

Ahiga sapnął sfrustrowany. Nawet gdy był dzieckiem, nie czerpał przyjemności z wyrywania bezbronnym muszką skrzydełek. Może wielu miało o nim zupełnie odmienne zdanie, ale nie był sadystą.

– Johnny, nie sądziłem, że możesz upaść aż tak nisko – mruknął, patrząc na złotowłosego Cherubina.

Jego gniew trochę zelżał, widząc niepewność i zaleknienie chłopaka. Znów zwrócił się do niego, ale tym razem znacznie spokojniej:

– Po prostu powiedz, co jest w tej strzykawce, a...

Nie skończył, bo Raphael uniósł wreszcie głowę i spojrzał mu prosto w oczy. Uśmiechnął się przy tym krzywo.

– Pieprz się – syknął, grając silniejszego, niż był w rzeczywistości.

Ahiga uśmiechnął się krzywo pod nosem. A chciał mu odpuścić. Zbyt łatwo dawał się manipulować ładnym dzieciakom. Najwyraźniej nie potrafił uczyć się na błędach.

Sięgnął do szuflady biurka po broń i wycelował w chłopaka. Mógł go zabić. Ot tak. Kosztowałyby go to mniej wysiłku niż zawiązanie sznurówki w bucie. I nie byłby to jego pierwszy raz, ani drugi, ani trzeci...

W tym momencie drzwi do pokoju się otworzyły i pojawił się w nich jeden z jego ludzi. Skonsternowany zastaną sytuacją był tylko przez moment. Nie takie rzeczy w swoim życiu widział.

– Przerwałem coś? – spytał swojego szefa z głupawym uśmiechem. – Później przyjść i wezwać od razu kogoś do sprzątania?

– Sam nie wiem, czy coś przerwałeś – przyznał Ahiga. Nie był pewny, czy rzeczywiście pociągnąłby za spust. – O co chodzi?

– O tego skurwiela Johnny’ego. To może przyjdę później, jak już szef się pozbędzie się gościa? W jakikolwiek sposób.

– Och, nie – podłapał Ahiga, odwzajemniając uśmiech podwładnego. Zabezpieczył i schował z powrotem broń do szuflady. – Mów śmiało.

Jego człowiek zerknął na stojącego jak słup soli chłopaczka, ale nie on tutaj był przecież od decydowania.

– No więc wyjechał w stronę Austin, tak jak szef mówił. Ale niedawno jeden z naszych, który akurat był na transporcie, zauważył go przypadkiem, jadącego w zupełnie odwrotnym kierunku.

– Naprawdę? – Ahiga uniósł brwi i wbił spojrzenie w Cherubina, który z pochyloną głową uparcie patrzył się w podłogę. – W jakim to niby kierunku?

– Na lotnisko – odparł jego człowiek. – Zatrzymać go?

– Nie, za duże ryzyko. Zbyt dużo służb i ludzi. Dowiedz się tylko, gdzie się wybiera nasz przystojniak.

– Oczywiście.

Gdy znów zostali w pokoju we dwójkę, Ahidze pozostało tylko napawać się miną dzieciaka.

– Popatrz, popatrz. Zaryzykowałeś dla niego życie, a on spierdolił. Wiesz, on ma to we krwi. Zastanawiam się, czy ja wtedy wyglądałem tak żałośnie, jak ty teraz. I co zrobisz?

Cherubinowi zadrżała warga. Gdy później wracał do tego myślni, dochodził do wniosku, że prawdopodobnie Ahiga pozwoliłby mu wtedy odejść i wszystko potoczyłoby się inaczej. Wróciłby do domu, do rodziców, zjadł kolację, te paskudne, ekologiczne kielki jego matki, wysłuchałby ich litanii nad jego fatalnymi ocenami oraz zachowaniem i poszedłby spać. W tamtym momencie jednak jego ciałem owładnęło rozgoryczenie i żal.

Znów rzucił się na Ahigę ze strzykawką w dłoni. Miał w niej rycynę. Sam wyekstrahował ją z rącznika, który w szklarni hodowała jego matka. Pamiętał, jak jako dziecko pomagał jej pielęgnować rośliny, a ona opowiadała mu o nich. Mawiała, że te najpiękniejsze są najbardziej niebezpieczne. Krążą w nich najgorsze trucizny. Że za pięknem zawsze kryje się zło.

Tym razem igła strzykawki nawet nie dotarła do celu. Ahiga złapał chłopaka za rękę i wykręcił mu ją z całej siły. Cherubin zahaczył boleśnie bokiem o kant biurka a potem upadł na podłogę. Ruch był na tyle gwałtowny, że także Ahiga na niej wylądował.

Strzykawka wyleciała Raphaelowi z dłoni i potoczyła się poza zasięg ich obu. Chłopak próbował zerwać się na równe nogi, ale Ahiga przycisnął go do podłogi. Był od niego znacznie silniejszy. W normalnej walce nie miał z nim szans. Szarpanina między nimi tylko odbierała mu resztki sił. Gdy tylko zdołał na tyle wykręcić ciało, bez zastanowienia ugryzł z całej siły gangstera w ucho, aż nie poczuł w ustach ciepła krwi. To zaskoczyło Ahigę, który wydał z siebie zbolące syknięcie i na moment poluzował uchwyt. Chłopak wykorzystał tę chwilę i wysunął się spod niego. Nie zdołał jednak wstać, bo znów został powalony. Zaraz znów został dociśnięty o wiele masywniejszym ciałem do podłogi. Spotkanie jego głowy i policzka z twardą powierzchnią było szczególnie bolesne. Ahiga trzymał go za włosy. Od uderzenia aż na chwilę pociemniało mu przed oczami.

Wszystko to działo się bardzo szybko. Raphael czuł narastającą panikę, która zaciskała mu gardło. Pośród chaosu panującego w jego głowie wyklarowała się jedna myśl:

– Ty nie chodzisz – rzucił, rozwierając szeroko oczy. – Twoje nogi...

Pożałował tych słów, zanim jeszcze skończył je wypowiadać. Kątem oka, wciąż przyciśnięty do podłogi, ujrzał, jak zmienia się twarz Ahigi. Dotąd twarz gangstera wykrzywił zwykły gniew, teraz było to coś, czego Cherubin nie umiał nawet opisać słowami.

To, że Ahiga nie był w pełni sprawny, wcale nie przyniosło mu ulgi. Czuł wręcz coś przeciwnego. Pętla wokół jego szyi stała się jeszcze ciasniejsza. Nikt nie wiedział – handlujące dzieciaki i nisko postawieni gangsterzy, pracujący na ulicach, którzy dostarczali Cherubinowi towar. Bo nie mogli wiedzieć. To była wielka tajemnica Ahigi. Nie mógł okazać żadnej słabości, bo w tym środowisku rządził najsilniejszy. I właśnie dlatego Cherubin już wiedział, że żywy tego miejsca nie opuści. Do tej pory jarzył się w nim jakiś słaby płomień nadziei. Teraz zgasł jak za podmuchem wiatru.

Po prostu się rozryczał, gdy poczuł jak zimne palce Ahigi spelzają na jego kark, a potem szyję. Każde, jeszcze delikatne, wręcz badawcze muśnięcie, wywoływały u niego skurecz wszystkich mięśni i wnętrzności.

– Nie chcę... – załkał.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, bo drzwi biura znów się otwały. Załzawionymi oczami dojrzał parę ciemnych butów. Po chwili stagnacji mężczyzna zaczął szybko się do nich zbliżać. Jeden krok, drugi, trzeci... Raphael poczuł gwałtowne, bolesne szarpnięcie w górę za ramię.

– Szefie! Co ten mały skurwiel...!

Następne było uderzenie w twarz. Tak silne, że głowę odrzuciło mu w bok, a przed oczami pociemniało. Promieniujący ból rozlał się po jego policzku i wzdłuż szczęki.

– Teraz to już nic – mruknął zrezygnowanym głosem Ahiga, unosząc się przy tym do siadu.

Oparł się plecami o biurko i zaczesał do tyłu rozczochrane włosy. Uśmiechnął się bokiem ust.

– No puść go już, bo coś złamiesz chuderlakowi. Wygląda przy tobie jak zapalka.

Masywnie zbudowany mężczyzna o nalanej twarzy i wygolonej na zero głowie spojrział skonsternowany na dzieciaka, którego trzymał za fraki. Gdy po wejściu dojrzał scenę rozgrywającą się na podłodze, miał pewność, że ten mały skurwiel zaatakował jego szefa. Teraz już nic nie pojmował.

Ahiga widząc, że te ta drobna sugestia, była trochę zbyt subtelna dla jego wielkiego podwładnego z małym rozumkiem, uśmiechnął się pod nosem.

– Jak go połamiesz i nie będzie się do niczego nadawał, to ty go zastąpisz – zagroził.

– Schylę się po mydło? – parsknął domyślnie mężczyzna, po czym przyglądał się chłopakowi, którego trzymał. – Cóż, gusta i guściki.

Zarechotał i puścił Cherubina, który wylądował twardo na podłodze. Wtedy wzrok mięśniaka padł na porzuconą szczypawkę.

– No ostro, szefie! Bym się nie spodziewał. To ja szefa zostawię samego.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Ahiga parsknął pod nosem rozbawiony idiotyzmem sytuacji, a potem jego wzrok padł na chłopaka. Dokładne na te jego ciemne, rozszerzone teraz do granic możliwości ślepie.

– Moje psy są mi bardzo wierne. Rozszarpałyby każdego, kto zaatakował ich pana – wytłumaczył. – Już tak nie spinaj tych kościstych pośladków.

Wszystko emocje z niego zeszyły jak powietrze z przekłutego balonika. Pokręcił zrezygnowany głową.

– To co teraz? – Usłyszał pytanie. – Nie wypuścisz mnie, prawda?

– Nie mogę.

– Wiem – odparł Raphael, pozwalając pojedynczej łzy spłynąć mu po policzku.

Sięgnął po strzykawkę i wbił igłę w swoją nogę, nim Ahiga zdążył jakkolwiek zareagować.

– Przekaż ode mnie Johnny’emu – rzucił z uśmiechem, wystawiając środkowy palec.

Rozdział 19

Trish uśmiechnęła się głupkowato i zerknęła w bok, a przede wszystkim sporo w górę, czyli na twarz swojego niedawno poznanego, biologicznego ojca. Sasza też tu był. No i jeszcze ten kudłaty pies wielbiący tego chudego gościa z irokezem na głowie, jakby był jakimś bogiem. Szczęściarz, czy jakoś tak. Przed chwilą Santa Boy i jego chłopak wrócili ze swojej nocnej eskapady. Stali więc teraz we czwórkę, wliczając psa, i patrzyli na parę śpiącą na łóżku gwiazdy Rocka i jego kochanka, od niedawna także narzeczonego.

– To chyba nie tak było w tej legendzie o Pocahontas? – parsknęła Trish szczerze rozbawiona całą sytuacją.

Sasza rzucił jej krótkie spojrzenie i pokręcił głową niczym przedstawiciel starszego pokolenia załamujący ręce nad upadkiem młodzieży. Sam był tak spedałony, że chyba bardziej się nie dało, świadczyła o tym chociażby jego miłość do kutasów, ale to z jaką lekkością dzieciaki w dzisiejszych czasach przechodziły do porządku dziennego nad pewnymi rzeczami, szczerze go zadziwiało.

Mój najlepszy przyjaciel w ubiegłej nocy miżdził się w łóżku mojego biologicznego ojca z innym nastolatkiem? Spoko, pożartuję sobie o tym z moim zaledwie wczoraj poznanym starym, parsknął w myślach.

– Wygrałem – stwierdził Santa Boy, pijąc do ich zakładu, czym wyrwał swojego chłopaka z zamyślenia.

Sasza musiał przyznać, że muzyk uśmiechał się w dokładnie w ten sam sposób, co jego latorośl. Wydawał się równie nieprzejęty, chociaż to przecież było ich łóżko. Sasza wyłącznie dla zasady przewrócił swoimi szarymi, wylupiastymi oczami i wyciągnął z kieszeni zmięty banknot, aby mu go podać. W końcu zakład to był zakład, nieważne jak idiotyczny.

– No dawaj, Szczęściarz – zwrócił się do psa, odpinając mu smycz od obroży. Nie mogło się przecież obyć bez kary.

Lekko niedowidzący owczarek collie bezbłędnie zrozumiał, czego od niego chciano. Dziarsko, z uniesionym ogonem, podszedł do brzegu łóżka i polizał śpiącego Ryana po twarzy. Chłopak przeklął cicho, a potem otworzył oczy. Odepchnął od siebie

pysk psa. Jego wzrok padł od razu na trójkę stojącą w pokoju, a wycentrował się oczywiście na Sancie Boy'u.

Inaczej to sobie zaplanował. Mieli wynieść się z łóżka rockmana zanim ten wróci i przenieść się z powrotem do salonu, zacierając za sobą wszelkie dowody zbrodni, ale po prostu zasnęli. Ryan ocknął się już jakiś czas temu, ale oddał się kontemplacji pogrążonej we śnie twarzy Indianina, zamiast go obudzić. Przekonywał sam siebie, że mają jeszcze czas. Że jeszcze pięć minut. Nawet nie chciało mu się spojrzeć na zegarek, bo było mu tak przyjemnie. Dopiero skrzypnięcie drzwi mieszkania wyrwało go z tego sennego letargu, a wtedy już było za późno. Kurczowo zacisnął więc oczy i postanowił udawać, że śpi. Miał nadzieję, że Santa Boy im odpuści po zajrzeniu do sypialni. No i że Trish jakoś pomoże im się z tego wykaraskać.

Oczywiście się przeliczył. Trzy sępy stały więc teraz nad nim i Atsah, bawiąc się w najlepsze, a on czuł, jak z zażenowania płoną mu trzewia i policzki. Zacisnął kurczowo oczy, postanawiając po prostu przeczekać, aż sobie pójdą, ale jego plan przetrwania zniweczył gorący, psi język nieznaną litości.

Spotkał swojego największego idola. Spędził pierwszą noc z chłopakiem, który mu się podobał, w tak wyjątkowym miejscu, jakim było mieszkanie, pokój, a precyzując – łóżko samego Santy Boy'a. Będzie pamiętał ostatnie kilkanaście godzin do końca życia, ale teraz po prostu chciał zniknąć.

– No dajcie mu już spokój. – Usłyszał nad uchem niski głos, a potem poczuł, jak objęty zostaje ramieniem, w którym skrył twarz. – Bo za moment dostanie ataku apopleksji.

Tak, Atsah nie był zbyt rozrzutny, jeśli chodziło o słowa, czy wyrażanie uczuć, ale zawsze można było na niego liczyć.

– Widzisz, jaki dżentelmen? – skomentował Sasza, zerkając na kochankę. – Możesz się czegoś nauczyć.

Pociągnął Santę Boy'a za rękaw w stronę kuchni. Uznał, że już się wystarczająco napastliwi nad dziećmi. Ani on, ani lider High Death, tak naprawdę nie mieli im za złe, że wykorzystali jedyną w swoim rodzaju okazję. Muzyk przecież

nawet sam wczoraj stwierdził, że byłby niepokieszony, gdyby tak się nie stało. Sasza w sumie też.

Trish wymieniła krótkie spojrzenie z Atsah i także opuściła sypialnię, udając się do kuchni. Ryan, który przez swojego wujka, idiotę i tchórze był prawdopodobnie w większym niebezpieczeństwie, niż to sobie uzmyslał, potrzebował kogoś takiego jak Indianin.

Pocahontas nie rozumiała, czym w swoich działaniach, kieruje się Ahiga. Jeśli chciał po prostu zemsty, mógł jej już dokonać lata temu, obierając za cel rodzinę Johnny'ego. Jeśli chciał jego samego, miał go teraz jak na tacy. Jednak jak do tej pory tylko kołował nad ofiarą niczym sokół. Trish nie rozumiała, czym Ahiga kierował się w swoich bezsensownych dla niej działaniach. Jakby sam do końca nie wiedział, czego chciał. A przez to też nie mogła też być pewna, czy to, co powiedział Floyd, była całą prawdą. Czy nikt inny, groźniejszy, nie została wysłany za nimi.

Dlatego to dobrze, że Ryan miał przy sobie kogoś takiego jak Atsah. Kogoś zdolnego do wszystkiego, jeśli znajdzie taka przyczepa. W to Trish nie wątpiła. To zobaczyła w oczach Indianina.

Powinni też trzymać się zatłoczonych, publicznych miejsc. A najlepiej dla nich będzie trzymać się Santy Boy'a.

* * *

Atsah zaśmiał się gardłowo i przytknął czoło do skroni chłopaka. Zsunął ramię, którym go dotąd odsłaniał przed natrętnymi gapiami, i zahaczył palcami o jego brew oraz bliznę. Jakoś tak lubił jej dotykać, badać opuszkami palców szorstką fakturę skóry w tym miejscu. Pocałował Ryana przy linii włosów.

Chłopak był zaskoczony. Oczywiście, speszzenie i ekscytacja także walczyły o prym wśród emocji, które się w nim teraz kotłowały. Wygrywało jednak zaskoczenie. Pozytywne. Sądził, że Atsah będzie jakoś próbował się wyplatać z tego, co między nimi zaszło. Z tego, co sobie powiedzieli, trochę słowami, a trochę gestami. Tak jednak najwyraźniej nie było. To zdjęło z serca Ryana kilka kilogramów.

Przechylił się i odnalazł usta Indianina. To wciąż wszystko było dla niego nowe, ale postanowił zacząć brać to, czego pragnął. Podobało mu się ta intymność,

którą zaczęli ze sobą dzielić. Teraz, gdy spędzili noc w swoich objęciach, wszystko stało się inne. Nawet zapach ich ciał. Teraz każdy miał na sobie nutę tego drugiego. I spojrzenia, którymi się wzajemnie obdarzali. Wszystko było nowe i inne. No i lepsze. Tak przynajmniej wydawało się Ryanowi.

Pocałowali się jeszcze raz. Dość niezdarnie, bo nie znali się jeszcze tak dobrze i musieli walczyć z cisnącym się na usta rozbawieniem. Oporządzili się szybko, by udać się do kuchni, gdzie już czekała na nich reszta. Ryan nawet przestał się wstydzić. Było mu teraz wszystko jedno. Nawet widok siedzącego już przy kuchennym stole Floyda nie mógł mu zepsuć tego poranka.

Santa Boy stwierdził, że on gównażerii usługiwać nie będzie i zapędził ich do zrobienia śniadania. W czwórkę przygotowali stos kanapek i po kawie dla każdego. Floyd cały czas przy tym zerkał na Ryana, co strasznie wnerwiało chłopaka. Chyba ich niespodziewany towarzysz podróży nie był zbyt pocieszony tym, jaki przebieg miała ubiegła noc.

– To co zamierzacie teraz zrobić? – spytał Santa Boy, gdy przenieśli się już z talerzem pełnym kanapek ze wszystkim, co znaleźli w lodówce, do salonu, w którym było znacznie więcej miejsca.

Dobre pytanie, pomyślała Trish i zerknęła na Ryana. Naprawdę miała szczerą nadzieję, że Johnny wykorzysta to, iż jego kuzyna nie ma w mieście i raz, a dobrze zakończy swoje sprawy. To właśnie powinien zrobić, jeśli w jego zgniłym sercu zachował się choć szczątek honoru. Stać się jednak mogło wszystko. Więc póki co, najlepiej było zostać jak najdalej i być otoczonym przez tłum. Pocahontas nie opuszczało wrażenie, że za dużo wymaga od tego farbowanego idioty w hawajskiej koszuli.

– Już chcesz się nas pozbyć? – spytała Santę Boy'a. – Nie martw się. Nie zmienię zdania i nie wystąpię o alimenty. Ale jednak sporo przejechaliśmy, by się tutaj dostać. Chcielibyśmy coś zobaczyć, zanim wrócimy.

– Zabytki? – zaproponował Sasza.

– Niby jakie? – prychnęła Trish. – To miasto powstało w dziewiętnastym wieku. A i tak jakiegokolwiek historyczne budynki to tylko marne podróbki architektury europejskiej.

Atsah lekko uśmiechnął się pod nosem na te słowa. Niewielu białych Amerykanów miało tak krytyczne spojrzenie na swoją historię i kulturę.

- Może chcecie zobaczyć studio nagrań? – zaproponował więc Sasza.
- A potem zapraszamy na imprezę.
- Imprezę? – zdziwił się Santa Boy.
- Młody ma dzisiaj urodziny – przypomniał jego chłopak, przewracając oczami.
- Nawet kupiłeś mu prezent... moimi rękami.

To był szalony dzień pełen wrażeń. Ryan był pewien, że zapięta go do końca życia. Cały spędzili z Santa Boy'em i Saszą, poznali świat muzyków od środka. Byli bliżej i widzieli więcej, niż większość fanów High Death nawet marzyła. Santa Boy nawet dał mu zagrać na swojej gitarze, pokazał mu parę chwytów. Zwiedzili też profesjonalne studio nagrań. Po prostu od kilkunastu godzin wszystko układało się zajebiście. Ryan wreszcie odetchnął pełną piersią i zapomniał na chwilę o tym wszystkim. O ojcu i o Johnny'm. Przez liczne rozrywki, które zapewniła im dzisiaj para muzyków, nie miał też szansy obgadać z Atsah tego, co było teraz między nimi. Jednak na wszystko przyjdzie przecież czas.

Już ciemniało, gdy przybyli do ostatniego przystanku dzisiejszego dnia, czyli domu, w którym mieszkał członek High Death o najkrótszym stażu w zespole, gitarzysta nazywany po prostu Młodym. To on otworzył im drzwi. Na widok Santy Boy'a jego twarz rozświetliła się niczym latarnia wieczorową porą. Powstrzymał się jednak od jakiegokolwiek kontaktu fizycznego, bo już się nauczył, że lider za tym nie przepadał.

– Dla ciebie.

Santa Boy wcisnął dzieciakowi prezent w postaci niewielkiego pudełka opakowanego w ciemny papier ze srebrną kokardą i bez czekania na odpowiedź wszedł do domu jak do siebie.

– Dzięki! Nie spodziewałem się. – Ucieszony gitarzysta obejrzał się za siebie na Santę. – Co to takiego?

– Hm? Pojęcia nie mam – odparł lider zespołu, przekrzykując muzykę dochodzącą z pierwszego piętra. – Serio sądzisz, że to ja kupowałem?

Sasza z rezygnacją pokręcił głową i w pocieszającym geście położył dłoń na ramieniu Młodego, gdy mijał go w progu. Santa mógłby się czasem trochę wysilić. Ten dzieciak nadal go uwielbiał. Mimo wszystko.

– Dzieciarnia, za mną! – rzucił do Ryana i reszty paczki.

– No, siema – przywitał się z czwórką nastolatków Młody, dopiero teraz zwracając na nich uwagę. – Wbijajcie śmiało. Skąd tak w ogóle znacie się z chłopakami?

Zanim ktokolwiek zdążył coś odpowiedzieć, Santa rzucił bez owijania w bawełnę:

– To bladolice cudo to moja córka. Tak że łapy precz.

Z gardła Młodego wydostało się tylko nieartykułowany dźwięk, co brzmiało podobnie do „Acha”. Rozszerzonymi oczami oglądał dziewczynę od dołu do góry i z powrotem.

– Acha – rzucił ponownie, tym razem wyraźniej.

Pocahontas uśmiechnęła się do niego i wzruszyła ramionami. Santa Boy chyba nie zamierzał się bardziej rozwlekać nad tematem, bo skupiony był już na czym innym, a mianowicie na obrazie wiszącym na ścianie w korytarzu.

– To Pedla* – zauważył. – Dalej utrzymujecie kontakt?

– Czasami. Gdy jest w Teksasie – odparł nagle wyraźnie speszony chłopak. – Jest... miły.

Santa Boy mruknął coś w odpowiedzi i wszedł głębiej do domu. Zaraz dopadł go tłum gości na urodzinach Młodego, który dotąd bawił się na piętrze. W większości byli to przyjaciele chłopaka w podobnym do niego wieku i z podobnym zamiłowaniem do mocniejszej muzyki, więc spotkanie Santy Boy'a stanowiło dla nich nie lada wydarzenie. Sasza także znalazł w tym pstrokatym tłumie paru swoich fanów, co szczerze go zdziwiło.

Gdy pierwsze emocje już opadły i impreza na nowo się rozkręciła, Ryan i reszta przepadła w ciągle powiększającym się tłumie gości. Floyd zniknął już gdzieś na początku, chyba czując, że tylko by zawadzał. Pocahontas trzymała się Santy Boy'a, który siedział w salonie na fotelu niczym król, wciąż otoczony wianuszkami przekrzykujących się fanów, którzy prosili go kolejne i kolejne historie,

najlepiej pikantne, z dziejów High Death. Wyglądało to tak, jakby muzyk ukradł imprezę jubilatowi i stał się jej główną atrakcją. Młodemu to chyba jednak nie przeszkadzało. Sam siedział na podłodze jak wierny psiak i także się przysłuchiwał.

Teraz Ryan i Atsah mieli więc wreszcie trochę czasu tylko dla siebie. Trochę pojedli, trochę popili, a potem poszukali miejsca, gdzie mogliby być sami. Na chwilę zagościli w opustoszałej kuchni, ale muzyka nawet tutaj była głośna i utrudniała rozmowę, a nawet nie pozwalała zebrać myśli. Postanowili więc wyjść na taras. Noc była bardzo ciepła, chociaż do marca jeszcze trochę brakowało.

– No to co teraz? – spytał Ryan, gdy już z plastikowymi kubeczkami w dłoniach ułożyli się w miarę wygodnie na schodach.

– Nie wiem – przyznał Atsah, patrząc przed siebie, na rozgwieżdżone niebo. – Obiecałem sobie, że się powstrzymam, ale się nie powstrzymałem. I nie żałuję. Więc, jeśli tylko mnie chcesz, będę twój.

– Łał, wypowiedziałeś naraz więcej niż pięć słów – zauważył ucieszony tym, co właśnie usłyszał, Ryan. – Czyli... że ten?

– Że ten – zgodził się Atsah, zaciskając dłoń na palcach Ryana, które właśnie dotknęły jego skóry.

Z wnętrza domu dochodziła przytłumiona, rockowa muzyka, co jakiś czas przecinana wybuchami pijackich śmiechów, a oni siedzieli na tarasie i patrzyli w słowa. Nie mówili do siebie, bo wcale tego teraz nie potrzebowali.

Pierwszy ciszę między nimi o dziwo przerwał Atsah:

– Coraz bardziej zaczynam wątpić, czy naprawdę jakiś bóg gdzieś tam istnieje – rzucił, patrząc w nieprzysłonięte tej nocy przez chmury gwiazdy.

– Dlaczego?

– Bo ci, którzy powinni zostać ukarani za swoje czyny, dostają nagrody – odparł Atsah, zapewne mając na myśli siebie. – A ci, którzy niczym nie zawinili, zostają ukarani. Albo więc jesteśmy częścią czegoś, czego ogromu nasze umysły nie potrafią objąć. Albo wszystko, co się wokół nas dzieje, jest po prostu zwykłym przypadkiem.

Atsah spojrział na skonsternowaną minę Ryana i uśmiechnął się pod nosem.

– Pieprzę od rzeczy – stwierdził. Odłożył kubek na schodek i wstał. – Idę do łazienki.

Ryan odprowadził go wzrokiem. Nie miał teraz nastroju na jakieś egzystencjalne dyskusje, ale przyszło mu na myśl pytanie, co on albo jego matka takiego zrobili, że Ted Norton skończył tak, a nie inaczej. Skłaniał się ku temu, że życie było po prostu zbiorem przypadków. Po prostu dla jednych układały się w lepszą, a dla innych w gorszą całość.

Obejrzał się za siebie, gdy usłyszał skrzypnięcie drzwi. Nie ujrzał jednak tego, kogo się spodziewał, czyli Atsah, a dzisiejszego jubilata. Ten wydawał się równie zaskoczony.

– Och, Ryan, tak? – zagadał. – Nie siedź za długo, bo dostaniesz wilka.

Wyminął go na schodach tarasu.

– Gdzie się teraz wybierasz? – zdziwił się Ryan.

– A, do sklepu – odparł Młody. – Zaczyna brakować czegoś do popitki.

Ryan zerwał się ze schodów i podszedł do chłopaka.

– Weź, ja pójdę – zaproponował. – Jubilat nie powinien chodzić do sklepu na własnej imprezie. Tylko mi powiesz, w którą stronę.

– Nie no. Goście tym bardziej nie powinni.

– Serio, to żaden problem.

Młody w końcu uległ. Dał chłopakowi pieniądze i pokazał mu, w którą stronę trzeba iść do sklepu całodobowego. Gdy miał wracać już na imprezę, w drzwiach domu minął się z tym wielkim Indianinem.

– Gdzie Ryan? – spytał chłopak, chwytając go za ramię.

– A, był tak miły i poszedł za mnie do sklepu – odparł Młody i zaraz syknął, gdy dłoń Atsah boleśnie zacisnęła się na jego ramieniu.

– Kurwa! – przeklął Indianin i pośpiesznie zbiegł ze schodów, a potem opuścił posesję.

Ryana znalazł szybko. Chłopak zdążył przejść zaledwie dwie ulice. Gdy Atsah go ujrzał, stojącego w świetle latarni, najpierw poczuł ulgę, ale zaraz potem żółć podpełnęła mu do gardła.

Ryan też go zauważył. Cały się trząsał. Rozszerzonymi oczami, w których kryły się dezorientacja, strach i błaganie o pomoc, spojrzął na Indianina, a potem znów pod swoje nogi, na leżącego tam bez ruchu mężczyznę.

Atsah nawet nie musiał się zastanawiać się, do czego tu przed momentem doszło. Sam był już przecież w takiej sytuacji. Szybko przecesał wzrokiem chodnik w poszukiwaniu narzędzia. Noża, który miał zatopić się w ciele kuzyna Johnny'ego, a kończył we wnętrznościach swojego właściciela. Podniósł go i schował po ubraniu. Chwycił roztrzęsionego Ryana za rękę i pociągnął za sobą, inaczej zaraz ktoś by ich tu znalazł.

Wątpił coraz bardziej.

*Nawiązanie do rozdziału 10 „Life is Cheap”

Rozdział 20

Obudzili się dokładnie w tym samym momencie, mimo że dzieliły ich setki mil. Obaj czuli także to samo. Po pierwsze, zdezorientowanie miejscem, w którym się znaleźli. Chociaż bardzo się starali, nie mogli sobie przypomnieć wydarzeń, które zaszły, zanim ich umysły spowił mrok. Tylko jakieś przebłyski wspomnień przebijały się przez mgłę. Obaj widzieli nachylającą się nad nimi postać, mężczyznę o indiańskich rysach twarzy. Pamiętali także strach, który wtedy czuli. I to uczucie rezygnacji, która paraliżowała ciało.

Raphael z trudem otworzył oczy. Jego powieki były tak strasznie ciężkie i jakby czymś sklejone. Głowa pulsowała mu tępym bólem. Mimo że otworzył oczy, nie widział wyraźnie. Zdołał jednak stwierdzić, że na pewno nie znajdował się w pomieszczeniu, w którym przebywał kiedykolwiek wcześniej. I nie była to sala szpitalna. Tyle mógł wywnioskować z rozmazanego obrazu małego pokoju, w którym się obudził. Całe jego ciało było jakby wypompowane z siły życiowej. Nie miał w sobie nawet tyle energii, aby unieść rękę. Czuł tylko mrowienie w kończynach, jakby wszystkie jego neurony strzelały elektrycznymi iskrami.

Obrócił głowę złożoną na poduszce i ujrzał wenflon w przegubie ręki, która dokuczała mu najbardziej. Z kroplówki, nieśpiesznie, pojedynczymi kroplami, wędrowało coś do jego żył. Kap, kap, kap... Tępo zagapił się na ciesz spływającą plastikową rurką i znów poczuł senność. Przymknął powieki, ale wtedy otrzeźwił go ten głos.

Przerażony, bo nagle wszystkie jego wspomnienia się wyklarowały, obrócił głowę na drugą stronę, by ujrzeć Ahigę siedzącego na krześle przy łóżku.

– Witamy wśród żywych – powtórzył mężczyzna.

Z jego twarzy trudno było odczytać jakiegokolwiek emocje. Przypominał jakiś starożytny, indiański monument wyciosany w skale przed tysiącami lat. Wyglądało na to, że dużo wysiłku i pieniędzy włożył w odratowanie chłopaka, ale to, co nim kierowało, pozostawało zagadką.

– Dlaczego? – z trudem spytał Raphael.

Jego gardło było zaciśnięte, a w ustach czuł okropną suchość, jakby w ogóle nie miał w nich śliny. Ahiga odłożył książkę, którą najwidoczniej do tej pory czytał. Sięgnął po plastikową butelkę z wodą, która stała na stoliku. Odkręcił ją i wypełnił do połowy szklanekę.

– Niezatruta – parsknął, gdy chłopak przekręcił głowę, nie chcąc napić się ze szklanki podstawionej mu przez niego pod usta. – Tak logicznie rozumując, po tych wszystkich wysiłkach, które włożyłem w odratowanie cię, to byłoby trochę bez sensu, gdybym chciał cię teraz zabić. Wiesz, krew do transfuzji na czarnym rynku jest bardzo droga i bardzo trudno ją pozyskać. Więc pij albo cię zmuszę.

Ostatnie zdanie nosiło już znamiona groźby, więc Raphael kiwnął nieznacznie głową w niemym geście zgody i upił kilka łyków. Nie nasycił tym pragnienia, ale przynajmniej przyniosło to ulgę jego ściśniętemu gardłu. Ahiga odstawił szklanekę z powrotem na biurko.

– Dlaczego? – zapytał raz jeszcze Cherubin teraz trochę mocniejszym, lecz wciąż słabo słyszalnym głosem. – Dzięki mnie go nie dostaniesz. On po mnie nie wróci. Zostawił nawet swoją rodzinę.

Mężczyzna zaśmiał się cicho. Patrząc na tego głupiego dzieciaka, miał wrażenia, jakby stał nad jakimś magicznym jeziorem, w którego tafli widział dawnego siebie. Obaj byli strasznie żałośni.

– Nie zabiłbym cię – powiedział. – Nie daje mi to satysfakcji, jeśli tak sądziłeś. Nie mówię, że nie mam na swoich dłoniach krwi. Mam i to wiele. Jednak w przeciwieństwie do zwierzęcia, ja nie atakuję najsłabszego osobnika ze stada. Zagryzam tylko tych, którzy byliby zdolni zagryźć mnie.

To była prawda, ale nie całkowita. Żałował tego złotowłosego idioty i w jakiś do końca niezrozumiały dla niego samego sposób się z nim utożsamiał. Obaj byli ofiarami tego samego. Nie umiał tylko powiedzieć, czy to była ich głupota, czy to był Johnny.

Cherubin uśmiechnął się słabo na te słowa. Więc to, co miało być białe, okazało się czarne. A to, co miało być czarne, okazało się być białe? Nie, wszystko było po prostu szare, pomyślał. To wcale nie napawało optymizmem, gdy nie dało się

wykreślić jasnej granicy pomiędzy złem i dobrem. Życie stawało się znacznie bardziej skomplikowane.

– Więc mnie wypuścisz? – spytał naiwnie, chociaż gdzieś tam w głębi już znał odpowiedź.

– Może i bym to zrobił – odparł Ahiga – ale kazałem moim ludziom cię prześwietlić, gdy byłeś nieprzytomny. Twój rodzice pracują na uniwersytecie, a twój ojciec nawet należy do partii. Policja i sąd nie są dla mnie problemem, ale są siły, które stanowią zagrożenie nawet dla mnie. Gdybyś był synem piekarzy albo kierowcy ciężarówki i sprzątaczką, po prostu zagroziłbym tobie i im, że moi ludzie poderzną gardła całej twojej rodzinie, jeśli spróbujesz sypać. I to by wystarczyło. Jednak nie jesteś synem piekarzy. Przykro mi.

Mnie też, pomyślał Raphael. Odkąd tylko zaczął pojmować trochę więcej, też zaczął pragnąć, aby jego rodzice byli kimś innym, chociażby i tymi piekarzami. Czuł, że ich zawodzi i nie spełnia ich oczekiwań. Nie lubił się uczyć, zupełnie nie interesował go ich świat. Nie chciał nawet iść na studia. Wiedział, że by się tam nie odnalazł, ale jego rodzice nie wyobrażali sobie dla niego innej przyszłości. Jego koledzy z podwórka uważali zaś, że on do nich także nie pasuje, bo jest z dobrego domu. Z innej, lepszej kasty.

Będąc dzieciakiem, postanowił im udowodnić, że się mylą. Szalał, rozrabiał, handlował, chociaż wcale nie musiał. Nie potrzebował tych pieniędzy. Zawsze był do wszystkiego pierwszy. Upiekł dzięki temu dwie pieczenie na jednym ogniu – jego rodzice w końcu poddali się i przestali wierzyć w jego świetlistą przyszłość, a koledzy go zaakceptowali. Sukces.

Tak mu się wydawało. Teraz jednak wylądował tutaj, a to przecież miała być tylko zabawa. No, chciał też trochę powkurzać rodziców. Ale na pewno nie chciał doprowadzić ich do rozpacz.

I chciał ich jeszcze zobaczyć.

Starał się to powstrzymać. Nie chciał, aby ten mężczyzna zobaczył go w jeszcze nędzniejszym stanie, ale mu się nie udało. Łzy napłynęły mu do oczu. Zacisnął wargi, które i tak zadrgały. Ahiga na szczęście tego nie skomentował nawet słowem,

czy drwiącym parsknięciem. Raphael nawet nie miał w sobie tyle siły, aby na niego spojrzeć. Wtedy dojrzałyby, że mężczyzna nawet się nie uśmiechnął.

Raphael pociągnął nosem i przygryzł dolną wargę, po chwili czując na języku słodycz krwi. Był taki głupi. Sam się w to wpakował. Nawet jakoś niespecjalnie obwiniął za swój obecny stan Ahigę. Jeśli ktoś oprócz niego samego ponosił za to odpowiedzialność, to był to...

– Gdzie on jest? – spytał.

– Wsiadł w samolot do Rio de Janeiro – odparł Ahiga, dobrze wiedząc, kogo dotyczyło pytanie. – Nabierzesz trochę opalenizny.

– Co? – Cherubin zaskoczony spojrział na gangstera. Gdy otworzył szeroko oczy, jedna łza uwolniła się spomiędzy długich rzęs i spłynęła po jego bladym policzku.

Ahiga uśmiechnął się lekko, widząc zdeorientowaną, przestraszoną minę chłopaka.

– Miałeś rację – przyznał. – Czekałem na niego. Ale znowu mnie zawiódł. Zawiódł też ciebie. Już nie będę dłużej czekał. Skoro góra nie przysłała do Mahometa, to Mahomet przyjdzie do góry. Wypoczywaj i nie próbuj niczego głupiego.

Dopiero teraz Raphael zauważył, że o jego łóżko oparta była kula. Ahiga chwycił ją i z wielkim trudem się uniósł. Twarz miał przy tym odwróconą tak, że chłopak mógł jedynie dojrzeć skrawek jego ucha. Ahiga wstydził się swojej słabości, była jego tajemnicą. Zнали ją tylko najbliżsi współpracownicy, ci, których Cherubin spotykał w willi gangstera, a teraz także i sam chłopak. Był to kolejny powód, przez który Ahiga nie pozwoli mu odejść.

Gangster dotarł w końcu do drzwi. Raphael nie spodziewał się, że mężczyzna odwróci się i na niego spojrzy. Jednak to zrobił, a jego usta wygięły się lekko w geście rozbawienia. Uniósł dłoń i wystawił środkowy palec.

– Sam mu będziesz mógł pokazać.

Cherubin nie mógł tego powstrzymać i zaśmiał się przez łzy.

* * *

Pod powiekami miał obraz twarzy. Widział jej szczegóły bardzo wyraźnie, bo od jego własnej dzielił ją może centymetr. Tak dużo, a tak mało zarazem.

Trudno było pomylić go z kimkolwiek innym. Rysy jego twarzy były zbyt charakterystyczne. Prawie wrzynały się w umysł Ryana. Na zawsze pozostaną żywe w jego pamięci. Tego był pewien.

Teraz, gdy z trudem otworzył powieki, ujrzał niemal taką samą scenę. Ktoś się nad nim nachylał. Czarne, długie pasma włosów tej osoby opadały swobodnie przysłaniając twarz o tak charakterystycznych rysach. Drażniły Ryana w policzek. Niemal taką samą scenę pamiętał jako ostatnią, nim zapadł w sen. „Niemal” robiło jednak ogromną różnicę.

– Trish... – wyrwało się z jego gardła. – Co... co się stało? Gdzie jesteśmy?

Dziewczyna wyprostowała się trochę i dłonią przejechała po czole chłopaka, zahaczając o jego zmierzwione teraz włosy. Siedziała na skraju łóżka, na którym leżał nakryty kołdrą. Nie rozpoznawał tego pokoju. Raczej nigdy wcześniej tu nie był. Nie pamiętał też, jak się tu znalazł. W głowie miał jeden, wielki mętlik.

– Jesteśmy w domu Młodego. To jego sypialnia – wytłumaczyła Trish. Zaczęła od najbardziej błahej rzeczy, aby powiedzieć cokolwiek. Zwykle rezolutna, teraz jakby przygasła. – Nie pamiętasz, jak tu dotarłeś?

Nie pamiętał wiele z ubiegłej nocy. Miał jedynie jakieś urywane przebłyski wspomnień, które nie układały się w spójną całość. Coś jednak podpowiadało mu, że musi zapytać o jedno:

– Gdzie jest Atsah?

Pocahontas spojrzała na Ryana ze współczuciem. Nie tak to wszystko miało wyglądać, pomyślała. Chociaż, właściwie, może właśnie tak. Czy nie z takim zamiarem zabrała Atsah ze sobą? Napierała na Ryana, aby się z nim zbliżył? W jej zamyśle, Indianin miał obronić Ryana, jeśli zajdzie taka potrzeba. I czyż nie to właśnie zrobił?

– Poszedł na posterunek policji przyznać się do tego, co zrobił w nocy – powiedziała w końcu.

Ryan zmarszczył brwi. Nie pamiętał niczego dokładnie, ale miał pewność, że Trish nie powiedziała mu prawdy. Mówiła tak, jakby chciała go przekonać. Tonem,

który sugerował, aby nie zadawał dalszych pytań, bo tak będzie najlepiej. Najlepiej dla niego. Co do tego nie miał wątpliwości.

Teraz już pamiętał.

Pamiętał, jak Atsah chwycił go za dłoń i pociągnął za sobą. Ryan był wtedy w takim szoku, że po prostu nic nie wiedział. Gdzie są, dokąd zmierzają i co wydarzy się później. Prawie zupełnie bezwładny i bezwolny dał się prowadzić ulicą pogrążoną w ciemności. W pewnym momencie zaczął padać deszcz. Czuł tylko zimne krople uderzające o jego skórę i to gorąco na dłoni w miejscach, gdzie ich ciała się stykały. A poza tym była tylko nicość.

Pamiętał, że schowali się w jakimś starym, opustoszałym domu. Nie działało w nim żadne światło. Wszystkie żarówki już dawno popękały albo odcięto prąd, bo nikt od dawna nie opłacał rachunków. W środku tego domu było nawet ciemniej niż na zewnątrz. Nie czuł jednak strachu, bo był przecież z Atsah, który cały czas ścisnął jego dłoń aż do bólu.

Cały dom trzeszczał. Poluzowane rynny skrzypiały poruszane przez wiatr. Deski parkietu wydawały jęki przy każdym ich kroku, który wzburzał także tumany pyłu. I deszcz uderzał miarowo o szyby.

Bolało.

Wszystko było bolesne. Zimne, trzeszczące deski wbijające mu się w plecy. Palce wbijające mu się w ramiona tak mocno, jakby chciały go złamać. I to.

Nie czuł podniecenia, ale pragnął tego, jak jeszcze niczego kiedykolwiek. Desperacko trzymał go przy sobie, sięgając jego ramion, szyi i włosów. Żałował, że sam nie miał tyle siły i nie mógł trzymać go w równie stalowym uścisku. Chciał posiadać i być posiadany. Ten jeden, jedyny raz być razem. Tak całkiem. Bo wiedział, że już nie będzie innej szansy.

Ale to wszystko nie tak. Nie miał obudzić się w ciepłe, w miękkość pościeli, czując na sobie opiekuńczy wzrok. Poderwał się z łóżka i tak, jak stały, czyli jedynie w spodniach i bez butów, rzucił się ku drzwiom pokoju. Drogę zagroziła mu jednak Pocahontas. Oparła się o drzwi i rzuciło:

– No i co niby zrobisz?

– Trish! – zawołał chłopak, próbując ją odsunąć. – To nie on! On nic nie zrobił! To ja, ja tamtego faceta... Kurwa!

Pocahontas chwyciła go za nadgarstek, a potem bardzo wprawnie nacisnęła go tak, że z ręki Ryana w momencie odpłynęła cała siła, odmawiając mu posłuszeństwa. Potem, nie chcąc tej przepychanki bezsensownie przedłużyć, kopnęła go z kolana w krocze i pchnęła tak, by upadł na podłogę.

– Siedź! – syknęła, gdy zszokowany Ryan z bolesnym jękiem próbował się unieść. – Powiedziałam, siedź!

– Ale...

Trish odetchnęła i oparła się ciężko plecami o drzwi. Spojrzała ten obraz nędzy, kulący się na podłodze.

– Zrozum – zaczęła już innym, miękkiem tonem – tak będzie lepiej.

– Lepiej?! Dla kogo lepiej?! – wybuchnął Ryan. – To ja zabiłem tamtego gościa. Nie wiem jak... Nigdy się nawet nie biłem... Po prostu miał nóż, groził mi... To chyba był człowiek Ahigi. Nie rozumiałem, czego ode mnie chce. Pytał się, gdzie jest Johnny... Powiedziałem, że nie wiem, ale mi nie wierzył. Wściekł się, wyciągnął nóż i jakoś tak... Nawet nie wiem, jak to się stało. W jednej chwili miał go w ręce, a w drugiej już upadał na ziemię z nożem w brzuchu... Nie wiedziałem, co robić. Stałem tak jak debil, a potem przyszedł Atsah i mnie zabrał...

Pocahontas kucnęła przy roztrzęsionym chłopaku i go objęła. Jego głowę przycisnęła z całej siły do swojej piersi. Jego łzy moczyły jej bluzkę.

– To ja go zabiłem. – Usłyszała po chwili zdławione przez płacz słowa. Jednak nie było już w nich żadnej mocy. Nie miały nikogo przekonać.

Ryan rozumiał, że tak będzie lepiej. Poddał się, bo był za słaby. Pocahontas objęła go mocniej i spojrzała przez okno na zachmurzone niebo. Atsah oznacza w języku nawaho orła. Symbol wolności. Samotny wędrowiec przemierzający przestworza niczym nieograniczony.

Miała nadzieję, że i ten jeszcze kiedyś wzbije się w niebiosa.

KONIEC TOMU I